5/2019

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Dwumiesięcznik wrzesień–październik 5 (66) / 2019 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)

UKRAINA ZEŁENSKIEGO

Fesenko | Iwański

Trump – NATO – Rosja

Ivo Daalder

Piotr Cichoracki

Ukraińcy we wrześniu 1939 roku

Pełczyńska-Nałęcz | Wyciszkiewicz

Polska–Rosja: o czym tu mówić?

Wojciech Wojtasiewicz

Gruziński kocioł: zamieszki i Tbilisi Pride

eprasa.pl 26a741fd42

REKLAMA









Ochrońmy Zamek Wojnowice przed pożarem!

www.zrzutka.pl/wojnowice

eprasa.pl 26a741fd42

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl 26a741fd42

eprasa.pl 26a741fd42



Grażyna Makara

Na Wschodzie zmiany. Reagujmy na nie

Analitycy i dziennikarze zajmujący się Wschodem często narzekali, że zajęcie to staje się monotonne. Aleksander Łukaszenka rządzi już trzecią dekadę, podobny wynik niedługo osiągnie Władimir Putin, jeśli nie zaszkodzi mu wybuch na Syberii albo inna tragedia, która wzburzy Rosjan. Nursułtan Nazarbajew niby oddał władzę, ale ma kontrolę nad krajem. Na Ukrainie cykl rewolucja–rozczarowanie powtarzał się regularnie, zamrożone regionalne konflikty na Kaukazie ani trochę nie zbliżają się do rozstrzygnięcia i tak dalej, i tym podobne.

A jednak wybory na Ukrainie pokazały, że społeczeństwa Europy Wschodniej są w stanie przełamać zastane schematy i zadziwić obserwatorów. Nie wiemy jeszcze, co przyniesie, zwłaszcza w kwestii konfliktu z Rosją, kolejna ukraińska rewolucja, która tym razem dokonała się za pomocą kartek wyborczych wiosną i latem, ale widać już, że kraj ten poszedł w nowym kierunku. Być może łatwiej teraz będzie Polakom rozmawiać z Ukraińcami o wspólnej przeszłości.

Zmienia się też pozycja Rosji – o czym w wywiadzie mówi w tym numerze Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Przywódcy Europy Zachodniej wysyłają do Moskwy coraz cieplejsze sygnały. Warszawa nie może pozostawać wobec tego obojętna. Nikt nie oczekuje od nas, byśmy zrezygnowali z popierania sankcji czy ze wsparcia dla Ukrainy, ale konieczne staje się, by Polska zdołała uruchomić chociażby podstawowe kanały komunikacji z Moskwą. Wiele tu zależy od woli przywódców Rosji, ale to w gestii polskich polityków i ich zdolności dyplomatycznych leży, czy nasze zdanie będzie respektowane na arenie międzynarodowej, czy też decyzje będą podejmowane za naszymi plecami. Warunkiem wysłuchania jest prowadzenie rozmowy.

Sprzeciw wobec rozmów Europy z Rosją dla samego sprzeciwu nie ma sensu. Ma sens, gdy służy Polsce albo gdy ustępując, zyskujemy coś, co jest zgodne z naszym interesem. Nie wszystkie rozmowy z Rosją oznaczają akceptację dla jej polityki na Ukrainie. Na razie próba podjęcia dialogu przez ministra Jacka Czaputowicza (spotkanie z Ławrowem, pierwotne poparcie dla przywrócenia Rosji głosu w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy) okazała się falstartem. Błędna była jednak taktyka, a nie sam zamysł. Nie oznacza to więc, że takich prób należy poniechać.

Andrzej Brzeziecki

eprasa.pl 26a741fd42

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Rafałem Pankowskim **Polacy wobec ludzi Wschodu** 7

Publicystyka

Rozmowa z Wołodymyrem Fesenką **Igrzyska są, ale trzeba jeszcze chleba** 21
Tadeusz Iwański **Pierwszy sługa narodu** 29
Rozmowa z Ernestem Wyciszkiewiczem **Trzeba czekać cierpliwie** 35
Rozmowa z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz **Gdy wrogość wystarcza** 43
Marek Budzisz **Gazprom – rosyjski gigant na progu zmian** 50
Wojciech Wojtasiewicz **Gruziński kocioł** 57
Juliusz Dworacki **Przyjaźń nieprzyjaciół z Północy** 64
Aleksander Kowalewski **Okrutny eksperyment. Życie w okupowanym Donbasie** 70
Bartosz Hlebowicz **Cienie Putina we Włoszech** 75

Rozmowa

Rozmowa z Ivo Daalderem **Donald Trump – osamotniony dyplomata** 82

Reportaż

Marcin Prengowski **To jednak Rosja** 89
Stasia Budzisz **Trzy tęsknoty za wodzem** 98

Historia

Rozmowa z Piotrem Cichorackim **Przeciwnik determinował stopień lojalności** 112
Rozmowa z Kate Brown **Czarnobyl – nasza przyszłość** 120

Konteksty

Rozmowa z Wiesławem Tarką **Kompletowanie Europy** 131
Krzysztof Popek **Dlaczego Macedonia jest Północna?** 138

eprasa.pl 26a741fd42

Kultura

Rozmowa z Tornike Bziawą **Pomiędzy wczoraj i dziś** 144
Wojciech Konończuk, Piotr Kosiewski **Nie tylko Ossolineum** 148
Rozmowa z Kapką Kassabovą **Granica jest zwierciadłem** 156

Artykuł sponsorowany

Mirosław Skórka **Współpraca międzynarodowa z młodzieżą. Czy mamy ofertę dla Europy Wschodniej?** 164

Recenzje

Tadeusz Iwański **Rzetelna monografia na stulecie obrony Lwowa** 170
O książce Damiana K. Markowskiego *Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918*
Jan Frassati **Grzech pierworodny II RP** 177
O książce Grzegorza Gaudena *Lwów: kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918*
Damian K. Markowski **Skruszyć milczenie betonu** 181
O książce Lutza C. Klevemana *Lwów. Portret utraconego miasta*
Maciej Robert **Pitawal fantasmagoryczny** 183
O książce Jurija Andruchowycza *Kochankowie Justycji*
Stasia Budzisz **Świetna powieść z nieszczęśliwym tytułem** 185
O książce Nino Haratischwili *Kotka i Generał*
Zofia Bluszcz **Wojna nie daje odpocząć** 188
O książce *Współczesna dramaturgia ukraińska od A do Ja*
Anna Łazar **Kryminalna historia** 189
O książce Leszka Szerepki *Ukraiński gambit*

eprasa.pl 26a741fd42

Nowa Europa Wschodnia

Dwumiesięcznik

Wydanie zostało dofinansowane przez
MIASTO WROCŁAW

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni sobie swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Andrzej Brzeziecki (redaktor naczelny), Sonia Knapczyk, Małgorzata Nocuń (zastępca redaktora naczelnego), Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ
Piotr Andrusieczko, Adam Balcer, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Bohdana Kostiuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski, Andrzej Zaręba (rysunki)

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice,
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
e-mail: office@kew.org.pl
www.kew.org.pl
Prezes Zarządu: Jan Andrzej Dąbrowski

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Szlak 26/12A
30-001 Kraków
redakcja@new.org.pl
www.new.org.pl

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)
Nakład 2400 egz.
Druk: Media Studio Reklamy Drukarnia,
Aleja Kołłątaja 73, Będzin 42-500

eprasa.pl 26a741fd42

Polacy wobec ludzi Wschodu

Z profesorem Collegium Civitas Rafałem Pankowskim ze Stowarzyszenia „Nigdy Więcej" rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: Stowarzyszenie „Nigdy Więcej" przygotowało Brunatną Księgę przedstawiającą przypadki ksenofobiczno-islamofobiczne mające miejsce w Polsce w latach 2017–2018. To nie pierwszy taki raport. Czy liczba takich incydentów wzrosła w porównaniu z latami poprzednimi?

RAFAŁ PANKOWSKI: Niestety tak. Monitoring przypadków na tle ksenofobicznym i rasistowskim w Polsce prowadzony jest przez nas od połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Przez wiele lat koordynacją pracy nad Brunatną Księgą zajmował się śp. Marcin Kornat będący prezesem Stowarzyszenia i redaktorem pisma „Nigdy Więcej". Ksenofobia nie jest nowym zjawiskiem. Nie mówię tylko o Polsce, ale szerzej o Europie Środkowo-Wschodniej. Ksenofobia i nacjonalizm mają niechlubne tradycje. Od wielu lat dokumentujemy przypadki napaści, agresji, wyzwisk na tle rasistowskim i ksenofobicznym w naszym kraju. Jednak w ostatnich latach jest ich dużo więcej. Zdajemy sobie sprawę, że to, co się nam udaje udokumentować, jest wycinkiem rzeczywistości. O wielu przypadkach dowiadujemy się z opóźnieniem. Jest też wiele zdarzeń, o których nigdy się nie dowiemy. Nie przywiązywałbym się do liczb, możemy jednak mówić o naszych obserwacjach. Ewidentnie mamy do czynienia ze skokowym wzrostem skali aktów agresji na tle rasistowskim i ksenofobicznym, w tym islamofobicznym. Rozpoczął się on latem 2015 roku. Chcę podkreślić, że nie mówię bezpośrednio o momencie zmiany władzy. Stało się to kilka miesięcy wcześniej.

Czy ta zmiana nie była skutkiem kryzysu uchodźczego w Unii Europejskiej oraz nacisku Komisji Europejskiej na państwa członkowskie w kwestii przyjmowania uchodźców?

Tak. W przypadku Polski była mowa o 7000 osób, co w skali prawie czterdziestomilionowego kraju nie było dużą liczbą. Kryzys migracyjny Polski dotyczył w nikłym

eprasa.pl 26a741fd42

stopniu, jednak zbiegł się z kampanią wyborczą. Różne ugrupowania prawicy i skrajnej prawicy konkurowały między sobą o to, kto zastosuje ostrzejszą retorykę antyuchodźczą, antyimigrancką i antymuzułmańską. Po raz pierwszy w Polsce mieliśmy do czynienia z sytuacją, gdy dyskurs islamofobiczny pojawił się w centrum debaty publicznej. Została zorganizowana cała seria demonstracji antyuchodźczych. Pamiętam na przykład demonstrację Obozu Narodowo-Radykalnego z września 2015 roku w centrum Warszawy przed Pałacem Nauki i Kultury.

Rok 2015 pokazał nam, jak plastyczne, podatne na manipulację mogą być nastroje społeczne. Odwołam się do wieloletnich badań Sławomira Łozińskiego dotyczących stosunku Polaków do różnych narodowości. Do 2015 roku nastawienie Polaków wobec uchodźców było podobne jak w innych krajach europejskich. Większość społeczeństwa uznawała, że jeśli ktoś ucieka z kraju objętego wojną, to należy go przyjąć. Od 2015 roku nastroje uległy radykalnej zmianie. Większość Polaków poddała się propagandzie politycznej, w tym mediów publicznych, i w kwestii uchodźców przyjęła postawę ksenofobiczną. Propaganda ta obudziła w społeczeństwie lęk przed innością. Islamofobia okazała się skutecznym narzędziem mobilizacji. Czymś szczególnie istotnym i alarmującym jest aspekt generacyjny tego zjawiska. Młodzi ludzie są bardziej podatni na ideologie nacjonalizmu i ksenofobii niż starsze pokolenia.

Jaka jest tego przyczyna?

Nie ma jednej, prostej odpowiedzi, ale z grubsza wiąże się to z kryzysem wartości. Jest on rezultatem porażki wychowawczej szkoły, która miała kształtować młodych ludzi w duchu tolerancji i poszanowania wartości humanistycznych. Nie chcę dużo mówić o roli Kościoła katolickiego, ale słowa papieża Franciszka na temat poszanowania ludzi innego wyznania czy pochodzenia w kontekście postawy polskiego Kościoła padają często na trudny grunt. Takim symbolicznym obrazkiem była papieska msza w katedrze na Wawelu odprawiana w ramach Światowych Dni Młodzieży w 2016 roku. Oficjalną straż informacyjno-porządkową w jej trakcie stanowili członkowie Młodzieży Wszechpolskiej w strojach organizacyjnych, sprowadzeni tam przez księdza Marka Różyckiego. Było to bulwersujące, ale zarazem symboliczne. Wszechpolacy samą swoją obecnością zaburzyli odbiór przesłania papieskiego.

Zatem młodzież jest bardziej podatna na nacjonalizm i ksenofobię. Są to ludzie urodzeni i wychowani w systemie demokratycznym.

eprasa.pl 26a741fd42

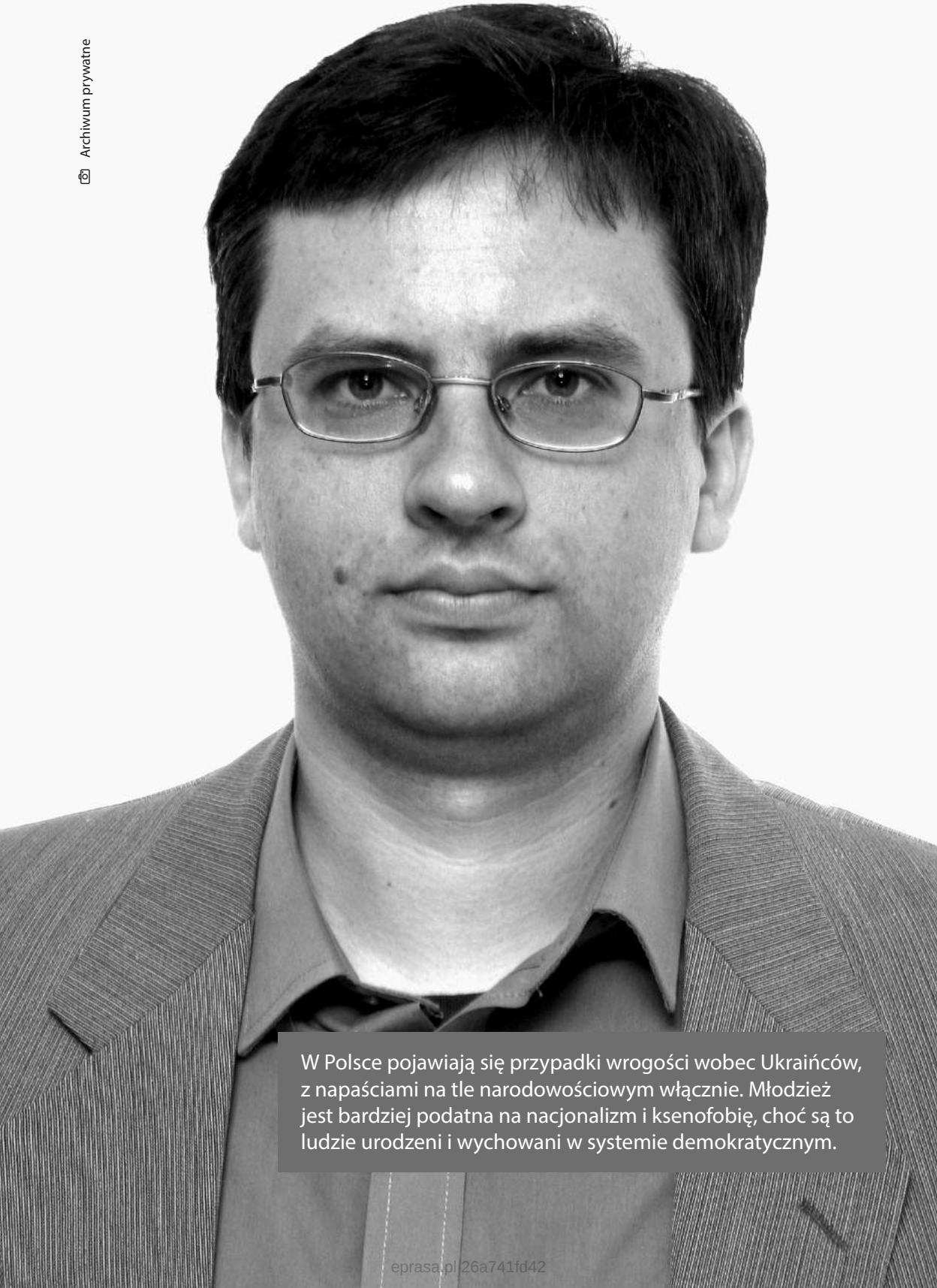

Archiwum prywatne

W Polsce pojawiają się przypadki wrogości wobec Ukraińców, z napaściami na tle narodowościowym włącznie. Młodzież jest bardziej podatna na nacjonalizm i ksenofobię, choć są to ludzie urodzeni i wychowani w systemie demokratycznym.

eprasa.pl/26a741fd42

Wydawać by się mogło, że będą bardziej tolerancyjni i otwarci na świat. Około 80 procent młodych ludzi ma niechętny stosunek wobec uchodźców. Islamofobia nie jest nowym zjawiskiem w Polsce. Gdzieniegdzie się już pojawiała, na przykład po zamachach z 11 września 2001 roku. Niechlubny udział Polski w wojnie w Iraku też przyczynił się do ugruntowania stereotypów. Jednak taka skala islamofobii, z jaką mamy dzisiaj do czynienia, pojawiła się w 2015 roku. Pomimo że muzułmanów w Polsce mamy niewielu (około 20–30 tysięcy osób), to konstrukcja wroga okazała się skuteczna jako narzędzie rozniecania ksenofobii i mobilizacji politycznej.

Niektórzy twierdzili, że w Polsce islamofobia zastąpiła antysemityzm. Byłem od początku ostrożny wobec tej tezy. Wydawało mi się, że nie tyle islamofobia zastąpiła antysemityzm, ile go uzupełniła. Od przełomu stycznia i lutego 2018 roku mamy do czynienia z falą antysemityzmu w Polsce.

Jest to świadectwo ignorancji wobec polskiej historii i tradycji. Mało który z działaczy Młodzieży Wszechpolskiej zdaje sobie sprawę z tego, że pierwsze słowa na temat istnienia Polski zostały napisane ponad tysiąc lat temu w języku arabskim i to przez żydowskiego kupca wysłanego przez kalifa Kordoby na ówczesne ziemie polskie. Niektórzy słyszeli o społeczności tatarskiej w Polsce, której historia sięga średniowiecza. Jednak również polscy Tatarzy bywają obiektami agresywnych wypowiedzi. Tutaj przykładem jest kuriozalny artykuł Dominika Zdorta opublikowany na łamach „Rzeczpospolitej", czyli gazety uchodzącej za poważną. W 2015 roku napisał tekst, w którym wzywał do deportacji wszystkich muzułmanów mieszkających w Polsce, łącznie z Tatarami. To świadczy o tym, jak się zdegenerowało nasze myślenie o polskiej historii i tradycji.

Czy nie musi dziwić fakt, że w Polsce pojawiła się islamofobia bez muzułmanów, zamachów terrorystycznych i uchodźców?

Jak najbardziej. W czasach tak łatwego dostępu do informacji, któż by przypuszczał, że miliony ludzi da się złapać na taką prymitywną propagandę. Brakuje umiejętności krytycznego myślenia, której nie rozwija wystarczająco szkoła, społeczeństwo obywatelskie, harcerstwo, Kościół, wspólnota lokalna ani rodzina. Mamy do czynienia z porażką wszystkich tych aktorów życia społecznego.

Kuriozalne zjawisko polskiej islamofobii polega na kreowaniu zagrożenia ze strony nieistniejącego wroga. Ale to może właśnie dzięki

eprasa.pl 26a741fd42

temu ta manipulacja jest łatwiejsza. W związku z tym, że społeczność ta jest tak nieliczna, to być może znacznie łatwiej zrobić z niej kozła ofiarnego. Nie jest to nowy mechanizm. Od wielu dekad w Polsce i szerzej w Europie Środkowo-Wschodniej istniał wszak antysemityzm bez Żydów. Termin ten spopularyzował Paul Lendvai. Zatem również islamofobia bez muzułmanów okazuje się paradoksalnie możliwa.

Czy mógłby Pan pogrupować przypadki opisane w Brunatnej Księdze?

Wiele napaści opisanych w naszym dokumencie jest rezultatem pomyłki sprawców wynikającej z niewielkiej liczby muzułmanów mieszkających w Polsce. Odnotowywaliśmy przypadki, kiedy za „Arabów" byli brani różni ludzie o ciemnej karnacji. Na przykład pochodzili z Włoch. Były takie zdarzenia w Częstochowie i Szczecinie. Był także przypadek zaatakowanego w pociągu pod Warszawą chilijskiego pianisty, którego wzięto za „Araba". Kilka dni temu w Gdańsku z podobnych przyczyn zaatakowano Hindusa. Często więc wynika to z ignorancji. Tak naprawdę mamy do czynienia z agresją wobec wszelkiej obcości pod sztandarem islamofobicznym. W tym kontekście nie izolowałbym zjawiska islamofobii od szerszego zjawiska ksenofobii.

Czy w raporcie pojawiają się również przypadki ataku na lokale gastronomiczne – popularne kebaby?

Tak. Jest ich dużo. Najpoważniejszym zdarzeniem były kilkudniowe zamieszki w Ełku na początku 2017 roku. Pojawiła się wtedy atmosfera pogromowa po nieszczęśliwym zdarzeniu, jakim była śmierć Polaka. Ta atmosfera i dynamika zdarzeń była groźna i przejmująca. Nie zmienia to faktu, że wielu młodych nacjonalistów jest amatorami kebabów. Mieliśmy do czynienia z absurdalną historią z Lublina polegającą na założeniu firmy „stuprocentowo polskiej" sprzedającej „prawdziwie polski" kebab.

Jakby Pan scharakteryzował reakcje różnych instytucji państwa, w tym tych, których zadaniem jest ściganie przestępstw, na przypadki ataków na tle islamofobicznym? Jak reagują na problem politycy, dziennikarze czy publicyści?

Generalnie ta sprawa jest zaniedbana i bagatelizowana od wielu lat. Nie było tak, że w przeszłości system działał znakomicie i w 2015 roku nagle przestał. Stowarzyszenie „Nigdy Więcej" od wielu lat próbowało to zagadnienie podnosić. W pewnym stopniu udało nam się zmienić świadomość społeczną, ale ewidentnie w sposób niewystarcza-

eprasa.pl 26a741fd42

jący. Dotyczy to również różnych instytucji, w tym tych powołanych do reagowania na takie zdarzenia. Głoszenie nienawiści narodowej, rasowej czy wyznaniowej w Polsce jest przestępstwem według konstytucji (artykuł 13) i kodeksu karnego. Był to jeden z pierwszych sukcesów naszego Stowarzyszenia. Przy wsparciu Jacka Kuronia i Tadeusza Mazowieckiego ten przepis znalazł się w ustawie zasadniczej. Duże zasługi miał w tym ówczesny student prawa i współpracownik Stowarzyszenia Adam Bodnar. Znam jednak tylko jeden wyrok sądu wprost powołujący się na wspomniany przepis. Był to wyrok sądu w Opolu, który w 2009 roku zdelegalizował Obóz Narodowo-Radykalny zarejestrowany w Brzegu. Dzisiaj takie organizacje jak ONR czy Młodzież Wszechpolska działają w sposób swobodny. Zauważmy, że te podmioty swoje nazwy biorą bezpośrednio z lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku, z najbardziej niechlubnych tradycji nacjonalistycznych i antysemickich, bliskich faszyzmowi.

Symbolicznym momentem była interpelacja posła Adama Andruszkiewicza wywodzącego się z Młodzieży Wszechpolskiej z Białegostoku i odpowiedź na nią w 2016 roku. Zgłosił interpelację w sprawie podręcznika przeznaczonego dla różnych instytucji, który informował, w jaki sposób reagować na przestępstwa z nienawiści. Były w niej wykorzystane materiały przygotowane przez Stowarzyszenie „Nigdy Więcej". Poseł zaprotestował przeciwko temu ze względu na swój bagaż ideologiczny. Zaskakująca była odpowiedź Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, które obiecało, że… nie będzie nigdy więcej korzystać z tej publikacji. Pozbawiono w ten sposób instytucje pewnego narzędzia edukacyjnego służącego do reagowania na symbole rasistowskie, które pojawiają się na stadionach, ulicach czy w internecie.

Jak reagowały takie podmioty jak policja czy prokuratura w sprawie przypadków opisanych w Brunatnej Księdze?

Rozmaicie. Wiele zależy od dobrej woli człowieka pracującego w danej instytucji i od tego, jak traktuje przepisy i wartości, które za nimi stoją. Często dostajemy informacje, że wspomniane organy odmawiają przyjmowania zgłoszeń. Instytucją, która serio traktuje problem, jest Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich.

Kilka lat temu wywołano strach przed muzułmanami, których *de facto* w Polsce nie ma. Jednak są Ukraińcy, których liczebność od kilku lat wzrasta. Podejmują w naszym kraju

eprasa.pl 26a741fd42

pracę. Według różnych statystyk ich liczba waha się od 600 tysięcy do 1,2 miliona osób. Jak Polacy odnajdują się w nowej dla nich sytuacji? Jaki jest stosunek Polaków wobec przyjeżdżających do naszego kraju Ukraińców?

Trudno generalizować. Pojawiają się przypadki wrogości wobec Ukraińców, z napaściami na tle narodowościowym włącznie. Nie jest też tak, że Polska po II wojnie światowej była całkowicie homogeniczna. Relacje polsko-ukraińskie są dzisiaj niezmiernie ważne z powodu dużej fali migracji, którą znamy też z, całkiem niedawnej, polskiej historii, kiedy Polacy wyjeżdżali za pracą do Wielkiej Brytanii. Oburzamy się często, kiedy pojawiają się przypadki złego traktowania Polaków w tym kraju. Tym bardziej powinniśmy jako społeczeństwo rozumieć, jak ważne jest dobre odnoszenie się do Ukraińców w Polsce. Mamy do czynienia z przypadkami dyskryminacji i eksploatacji ukraińskich pracowników. Do tego dochodzi historia, która chyba sama w sobie nie jest czymś, o czym ludzie myślą na co dzień. Jednak bywa ona instrumentalizowana przez Młodzież Wszechpolską czy Ruch Narodowy, lecz również przez ugrupowanie Kukiz ’15. Jest to o tyle paradoksalne, że Paweł Kukiz występował jako artysta w czasie protestu na Majdanie. Kilka lat później doszło u niego do wolty.

Czy nie jest to podobne zjawisko, z jakim mieliśmy do czynienia w szeregach partii rządzącej? Prezydentura Lecha Kaczyńskiego była wypełniona dialogiem polsko-ukraińskim. Obecne rządy Prawa i Sprawiedliwości są, mówiąc najdelikatniej, dalece wstrzemięźliwe wobec Kijowa.

Warto pamiętać, że lider PiS Jarosław Kaczyński również kilka lat temu był na Majdanie i wspierał ówczesną rewolucję. Można więc powiedzieć, że od tej pory w polskiej klasie politycznej doszło do pewnego zwrotu wobec Ukrainy i Ukraińców.

Również oficjalna ukraińska polityka historyczna nie przysłużyła się porozumieniu polsko-ukraińskiemu. Gloryfikacja najbardziej skrajnych elementów nacjonalizmu ukraińskiego, w tym z czasów z II wojny światowej, jest w ostatnich latach faktem godnym ubolewania.

Po polskiej stronie są tacy propagandyści jak ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski, który zradykalizował się w ostatnich latach. Akceptowalne było, kiedy mówił o potrzebie pamięci o ofiarach zbrodni ukraińskich nacjonalistów. Jednak kiedy przenosi swoją niechęć do nacjonalistów ukraińskich na tożsamość ukraińską jako taką, na kraj, na naród – ma to negatywne skutki społeczne. Akurat ksiądz Isakowicz-Zaleski jest postacią, która ma swój krąg promieniowania. Przykładem

eprasa.pl 26a741fd42

tego są coroczne pielgrzymki kibiców na Jasną Górę, w których od paru lat aktywnie uczestniczy jako czołowa postać. Młodzi ludzie słuchają tego, co mówi na temat stosunków polsko-ukraińskich. To, co głosi, nie buduje porozumienia i pojednania polsko-ukraińskiego.

Oprócz naruszenia homogeniczności polskiego społeczeństwa i sporów historycznych jakie jeszcze dostrzega Pan inne zagrożenia związane z napływem Ukraińców do Polski? Dlaczego odnotowywane są przypadki złego traktowania ukraińskich pracowników przez polskich pracodawców?

Złe traktowanie pracowników należy do przykrych aspektów kapitalizmu nad Wisłą. Dzisiaj, kiedy niektórzy nasi rodacy awansowali na drabinie społecznej i nie chcą wykonywać już pewnego rodzaju prac, za które biorą się Ukraińcy, mogą niejako odreagowywać swoje wcześniejsze frustracje na nich. Na pewno w rozwiązaniu tego problemu ogromną rolę mogłyby odegrać związki zawodowe. Tak dzieje się w Wielkiej Brytanii, gdzie miejscowe organizacje pracownicze starają się integrować pracowników przyjezdnych, w tym także Polaków. Tego w Polsce brakuje. Wiele do życzenia, i to od lat, pozostawia polityka integracyjna i imigracyjna państwa. Sporo dzieje się na poziomie samorządowym, ale to jest zdecydowanie niewystarczające.

Migracja może mieć pozytywne skutki dla Ukrainy w aspekcie krótkoterminowym, ale w dłuższym okresie będą one bardziej złożone, bo sytuacja demograficzna tego kraju też jest trudna. Jednak dopóki ogólna sytuacja na Ukrainie pozostanie taka jak dotychczas, czymś naturalnym i normalnym będzie, że wielu Ukraińców zechce szukać lepszego życia w Polsce.

Czy w Pana ocenie Polska stoi otworem przed przyjezdnymi ze Wschodu? Czy obsługa administracyjna (pozwolenie na pobyt i pracę) jest na wystarczającym poziomie?

Obsługa administracyjna z pewnością pozostawia wiele do życzenia, jak i szerzej polityka imigracyjna. Jest zafiksowana na kategorii bezpieczeństwa, a inne aspekty są zaniedbane. Polskie instytucje w wielu przypadkach starają się raczej ludzi odstraszać, niż przyciągnąć do naszego kraju. Pamiętam sprzed wielu lat śmiały pomysł nieco zapomnianej dzisiaj formacji politycznej – Konfederacji Polski Niepodległej. W swoim projekcie konstytucji proponowała, aby automatycznie wszystkim obywatelom krajów wchodzących w przeszłości w skład Rzeczpospolitej przyznać obywatelstwo polskie.

eprasa.pl 26a741fd42

Trudno sobie dzisiaj wyobrazić tak śmiały ruch. Problematyczne jest opieranie polskiej tożsamości na kategoriach etnicznych czy etniczno-religijnych, jak często dzieje się w praktyce przyznawania Karty Polaka. Jej koncepcja jest oparta na nieco archaicznym, niemieckim rozumieniu tożsamości narodowej przekazywanej głównie przez pochodzenie, a nie przez obywatelstwo czy miejsce zamieszkania. To, czy będziemy w stanie zrozumieć, że polskość czy polska tożsamość może być czymś szerszym niż tylko wąska kategoria Polaka katolika, jest dużym wyzwaniem, także w spojrzeniu na polską historię i historię Europy Wschodniej.

Edward Said napisał fundamentalną książkę o orientalizmie, w której opisał i skrytykował zachodnią, euroatlantycką iluzję dotyczącą tego, jak rzekomo dużo wiemy o Bliskim Wschodzie czy szerzej o Azji. Często orientalizm sprowadza się do reprodukcji skojarzeń podszytych stereotypami, które mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. Proponowałbym odniesienie tego krytycznego sposobu myślenia o problemie relacji międzykulturowych do polskich stosunków z krajami Europy Wschodniej. Myślę, że często podszyte są swego rodzaju orientalizmem, czyli taką pseudowiedzą, pseudobliskością, która sprowadza się do stereotypów, pomimo że z krajami tymi – Ukrainą, Białorusią, Litwą, Mołdawią czy Rosją – wiążą nas stulecia historii, często trudnej, ale wspólnej. Uważam, że orientalizm często przeszkadza nam w poznaniu świata.

W jaki sposób możemy sobie poradzić z tymi wszystkimi problemami, o których rozmawiamy?

Nie ma prostej recepty. Nie wystarczy tylko zmobilizowanie wymiaru sprawiedliwości, by zwalczał zjawiska, o których mówimy, gdyż ich skala przekroczyła już masę krytyczną. Jest potrzebny wielki wysiłek edukacyjny. Edukację rozumiałbym tu w sensie szerokim. Nie chodzi tylko o to, co się dzieje w murach szkoły czy uczelni. Taką ważną inicjatywą edukacyjną na rzecz tolerancji i szacunku dla różnorodności jest festiwal Jerzego Owsiaka w Kostrzynie. Jestem dumny z tego, że Stowarzyszenie „Nigdy Więcej" od wielu lat jest tam obecne. Organizujemy turniej piłki nożnej, warsztaty, dyskusje. Warto podkreślić, że futbol jest często kojarzony z nacjonalizmem i ksenofobią, a tak być nie musi, bo również sport może ludzi łączyć, niezależnie od koloru skóry, wyznania czy pochodzenia. Akurat takim pozytywnym doświadczeniem było Euro 2012 jako wspólne przedsięwzięcie polsko-ukraińskie. Stowarzyszenie „Nigdy Więcej" zrealizowało wtedy w Polsce

eprasa.pl 26a741fd42

i na Ukrainie we współpracy z wieloma organizacjami społeczeństwa obywatelskiego duży projekt pod nazwą „Respect Diversity", czyli „Szacunek dla różnorodności". Była to inicjatywa edukacyjna wykorzystująca piłkę nożną do propagowania pozytywnych wartości. Żałuję, że w Polsce zapomnieliśmy dziś o atmosferze wielokulturowości, która towarzyszyła wspomnianym mistrzostwom. Oczywiście były wyjątki, takie jak dzień meczu Polska–Rosja, kiedy doszło do starć między pseudokibicami, ale generalnie impreza ta miała charakter pokojowy i przyjazny.

Czy aby zmieniła się atmosfera w naszym kraju, nie musiałoby najpierw dojść do zmiany władzy?

Potrzebna jest przede wszystkim zmiana klimatu społecznego.

Rafał Pankowski jest socjologiem kultury i politologiem. Profesor Collegium Civitas. Jako pierwszy Polak został stypendystą Eton College. Studiował na Uniwersytecie Oksfordzkim oraz na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1996 roku zastępca redaktora naczelnego magazynu „Nigdy Więcej", współzałożyciel Stowarzyszenia „Nigdy Więcej", koordynator programu edukacyjnego „UEFA Euro 2012 Respect Diversity". Pracował między innymi jako ekspert-konsultant w Departamencie Tolerancji i Niedyskryminacji OBWE, współpracował z wieloma organizacjami eksperckimi i placówkami akademickimi, w tym londyńskim Chatham House, wiedeńskim Instytutem Nauk o Człowieku oraz Centrum Studiów Europejskich na Uniwersytecie Chulalongkorn w Bangkoku.

eprasa.pl 26a741fd42

REKLAMA

Wydawnicto Czarne poleca

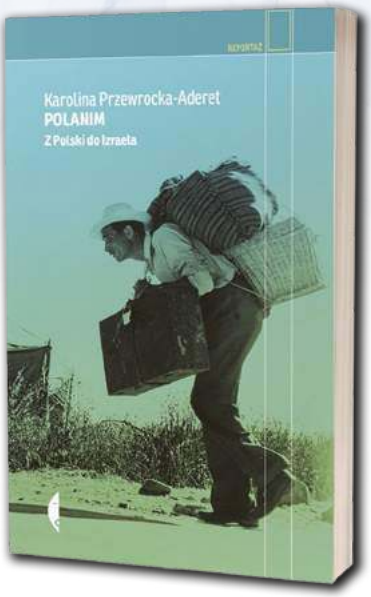

Ojczyzna zbudowana
na tęsknocie

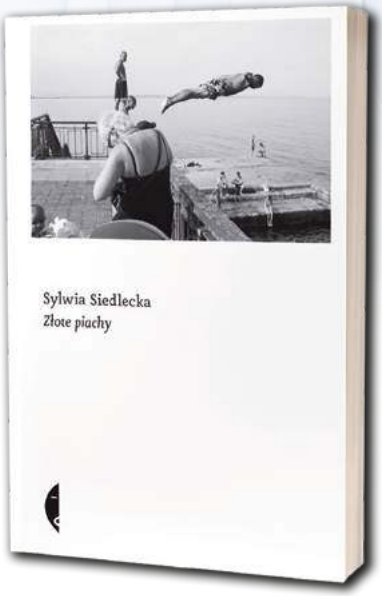

Na taką książkę o Bułgarii
czekaliśmy od lat



Współczesny patriotyzm
rozłożony na czynniki pierwsze

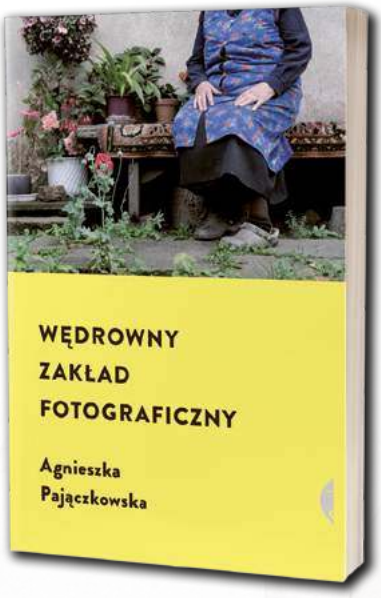

Pełna wzruszeń podróż
po przygranicznych wioskach
w poszukiwaniu zapomnianego świata

PRZEGLĄD POLITYCZNY
Midrasz
CHIDUSZ.COM
OCC WARSZAWA
Nowa Europa Wschodnia

CZARNE.COM.PL

eprasa.pl 26a741fd42

REKLAMA



XII KONKURS PRAC HISTORYCZNYCH im. Olega Kena

Fascynujesz się najnowszą historią i kulturą?

Bliskie są ci Polska, Rosja, kraje Europy Środkowej i Wschodniej?

Jesteś ciekawym świata studentem lub doktorantem?

Jeśli odpowiedź brzmi **TAK**, wyślij nam swoją pracę do **31.10.2019 r.**

Atrakcyjne nagrody czekają na laureatów!

SZCZEGÓŁY:
sanktpetersburg.polskijinstitut.gov.pl, petersburg@instytutpolski.org

Organizatorzy:

CENTRUM POLSKO-ROSYJSKIEGO DIALOGU I POROZUMIENIA

СПбИИ РАН

INSTYTUT POLSKI SANKT PETERSBURG

Patroni medialni:

АКТУАЛЬНАЯ НАУКА КОНКУРС

New Eastern Europe

Nowa Europa Wschodnia

epfasa.pl 26a741d42

REKLAMA

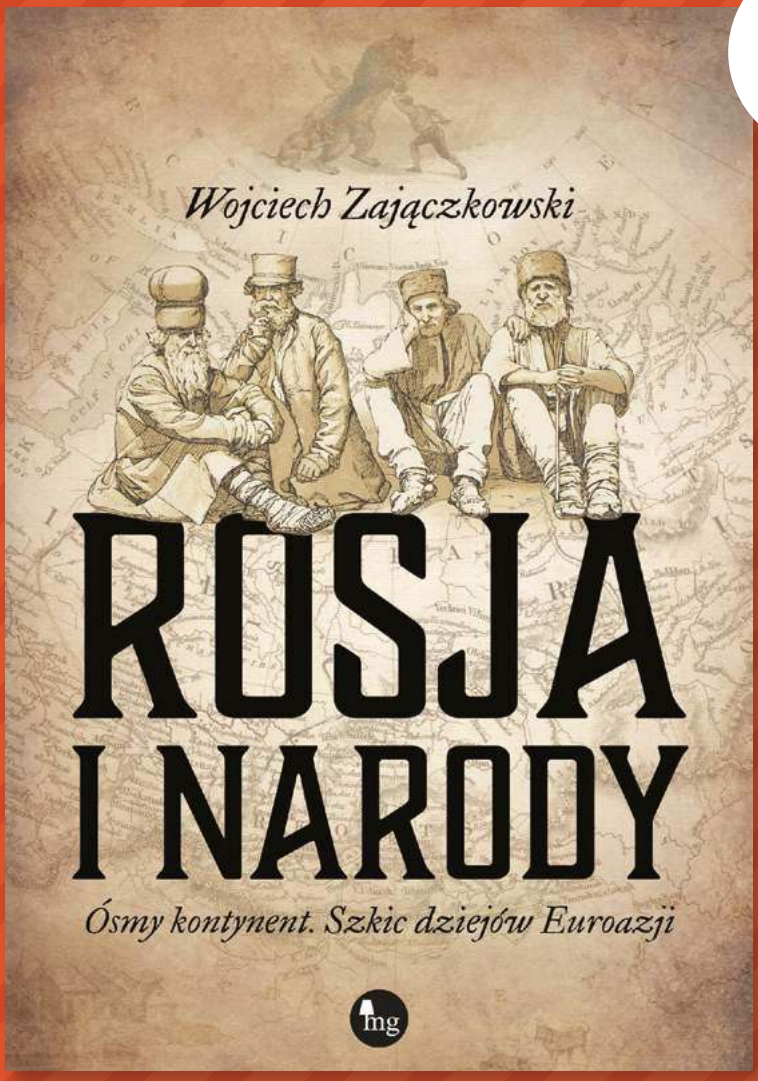

Dla każdego, kto pragnie zrozumieć Rosję minioną i współczesną, *Rosja i narody* Wojciecha Zajączkowskiego – historyka, dyplomaty, wieloletniego ambasadora w Rosji – jest pozycją obowiązkową. Dla nas Polaków opisywany proces jest szczególnie ważny, ponieważ również nasz kraj kilkakrotnie znalazł się w sferze wpływów rosyjskich i to w bardzo różnych okresach historycznych.

Napisana wartkim stylem książka w wyjątkowy sposób pokazuje ciągłość i dyskontynuację polityki rosyjskiej na przestrzeni kilkuset lat, zmuszając czytelnika do przewartościowania wielu sądów na temat przeszłości tego ważnego polskiego sąsiada.

www.wydawnictwoMG.pl fb.com/WydawnictwoMG

eprasa.pl 26a741fd42

REKLAMA



wydawnictwo KEW

Nowość

Klasyka literatury litewskiej

w przekładzie
Kamila Peceli

Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego we Wrocławiu

Nowa Europa Wschodnia

New Eastern Europe

Wilno – to miasto duch, miasto halucynacja. Nie można go sobie wyśnić albo wyobrazic – samo jest snem albo tworem wyobraźni. Po Wilnie chodzą duchy litewskich książąt, witają się ze znajomymi, zagadują dziewczyny i ponuro tłoczą się na przystankach trolejbusowych. Unoszą się tutaj i mieszają zapachy z czasów polskich, zapachy pożarów i epidemii oraz najbardziej banalny wyziew zwykłej benzyny. Tu nocami Żelazny Wilk strasznie wyje i woła o pomoc. Tu możesz nieoczekiwanie spotkać zmarłego, zamęczonego niegdyś przez gestapo albo bezpiekę, powtarzającego wciąż imię zdrajcy, którego nikt nie chce znać. W Pradze czy w Lizbonie starożytność unosi się obok dzisiejszej bezduszności. W Wilnie każdy dom, każde skrzyżowanie wąskich uliczek jest miejscem zarówno starożytnego życia, jak i dzisiejszej katalepsji. Wilno to wiele miast ułożonych jedno na drugim.

fragment książki

KSIĄŻKI DOSTĘPNE W NAJLEPSZYCH KSIĘGARNIACH ORAZ SKLEPIE INTERNETOWYM WWW.KEW.ORG.PL

eprasa.pl 26a741fd42

Igrzyska są, ale trzeba jeszcze chleba

Z Wołodymyrem Fesenką, ukraińskim politologiem, rozmawia Piotr Andrusieczko

PIOTR ANDRUSIECZKO: Na Ukrainie wybory parlamentarne zawsze przynoszą różnego rodzaju niespodzianki...

WOŁODYMYR FESENKO: I tym razem tak było. Dwie największe niespodzianki to rekordowa liczba głosów oddanych na Sługę Narodu w okręgach jednomandatowych oraz sukces Partii Szarija.

A jeśli wziąć pierwszą z nich, czyli okręgi jednomandatowe?

Na samym początku kampanii parlamentarnej badania opinii publicznej mówiły, że nieznani kandydaci z partii Sługa Narodu mogą otrzymać od 10 procent do 30 procent głosów. To dużo, bo z 30 procentami w wielu okręgach można wygrać wybory. Ale później, kiedy kampania się rozkręciła, okazało się, że są też silni konkurenci. Tymczasem kandydaci Sługi Narodu uzyskali niebywały wynik.

Jak im się to udało?

Nie im, ale Zełenskiemu. Podczas ostatnich dwóch tygodni kampanii wyborczej odegrał on ważną rolę. Jego aktywność publiczna, podróże w regiony kraju, rozmowy z urzędnikami zaowocowały wzrostem popularności samego Zełenskiego i jego partii. Swoją retoryką wpisał się on w oczekiwania wyborców. Dlatego wielu z nich zdecydowało się zagłosować na jego partię.

Niektórzy, komentując wyniki wyborów, mówią o elektoralnej rewolucji...

Tak, ja też odwoływałem się do tego terminu podczas wyborów prezydenckich, teraz również jest on odpowiedni. To kontynuacja elektoralnej rewolucji Zełenskiego. To głosowanie nie tyle na partię prezydenta, ile na niego samego. To akt poparcia dla Zełenskiego jako prezydenta.

Zauważyłem, że tym razem w wielu okręgach tradycyjną „kiełbasą wyborczą" nie kupiło się wyborców...

Podobnie było już wcześniej. W wyborach 2012 roku, w czasach Wiktora Janukowycza, większość kandydatów, którzy wygrali w okręgach jednomandatowych w Kijowie, było przedstawicielami opozycji. Ale teraz ten efekt objął cały obwód kijowski, wiele innych regionów, a nawet częściowo wschód kraju.

eprasa.pl 26a741fd42

Dla mnie symptomatyczna jest przegrana Ołeksandra Hranowskiego w Charkowie. To oznacza, że Hennadij Kernes, co wydawało się niemożliwe, traci kontrolę. Fenomen Zełenskiego silnie dał znać o sobie właśnie w Charkowie i częściowo w Odessie. W czasach gdy startuje wielu nieznanych kandydatów, działa marka partii. Ludzie wybierają partię, która jest im bliska, a większość popierała prezydenta, dlatego też większość była po stronie Sługi Narodu.

Na wschodzie widać zaś było przeprowadzoną ze sporym sukcesem kampanię partii Platforma Opozycyjna – Za życie Wiktora Medwedczuka, która przyniosła również rezultat w przypadku niektórych kandydatów tego ugrupowania w okręgach jednomandatowych.

Jak ogólnie ocenia Pan kampanię wyborczą partii, które dostały się do parlamentu?

Po pierwsze, dużą rolę odegrał wpływ prezydenckiej kampanii wyborczej. Faktycznie, jak mówili niektórzy politycy, ale też analitycy, była to trzecia tura wyborów prezydenckich. Partia Zełenskiego obrała bardzo dobrą strategię i zrobiła z wyborów parlamentarnych swoistą dogrywkę wyborów prezydenckich. Taki *ending* – jeśli mówić językiem szachistów. Nie zmieniła się nawet stylistyka ani hasła. „Prezydent – sługa narodu" przerobiono na „Deputowany – sługa narodu".

Zatem faktycznie można mówić o jednym wyborczym maratonie?

Tak. I to zagwarantowało Zełeńskiemu wygraną, a innym przyniosło porażkę. Niemniej na wyniki innych partii wpłynęły także błędy taktyczne albo strukturalne, na przykład partia Siła i Honor Ihora Smieszka miała eklektyczną listę wyborczą. Mdłą, niewyraźną kampanię prowadziła partia Pozycja Obywatelska Anatolija Hrycenki. Natomiast w przypadku Julii Tymoszenko i Batkiwszczyny sytuacja jest bardziej skomplikowana. Podczas wyborów prezydenckich zaczęła kampanię bardzo wcześnie, a podczas parlamentarnych moim zdaniem trochę za późno. Jej doradcy bali się, że znów zamęczą wyborców reklamą polityczną i zdecydowali się postawić wszystko na wyborczy finisz. I spóźnili się, dlatego że temat taryf komunalnych zaczął już eksploatować Medwedczuk i jego Platforma Opozycyjna.

Ale co najważniejsze, tak jak w 2014 roku, teraz można zaobserwować specyficzną tendencję: wyniki partii w wyborach parlamentarnych okazały się niższe niż wyniki ich liderów podczas wyborów prezydenckich. Dotyczy to niemal wszystkich poza Zełenskim. Podobnie było tylko z Jurijem Bojką i Platformą Opozycyjną, chociaż w tym przypadku istotną rolę odegrała aktywność Rosji.

Od początku niepodległości Ukrainy nie widziałem podczas wyborów parlamentarnych tak wielkiego i systematycznego wsparcia Kremla dla jednej siły politycznej. Tak było, owszem, w czasie wyborów prezydenckich w 2004 roku, gdy rosyjskie media pracowały na Wiktora Janukowycza. W swoim czasie Rosja

eprasa.pl 26a741fd42



Piotr Andrusieczko

Niektórzy już zaczęli porównywać styl zachowania Zełenskiego z zachowaniem Łukaszenki. Jego sposób rozmawiania z urzędnikami, z politycznymi działaczami może rzeczywiście trochę przypominać maniery Łukaszenki, ale z biznesem już bardziej Emmanuela Macrona.

eprasa.pl 26a741fd42

popierała też Natalię Witrenko, ale w wyborach parlamentarnych takiej ingerencji nigdy nie było. A teraz co tydzień kreowano jakieś wydarzenie, systematycznie pracowały ogólnokrajowe rosyjskie kanały telewizyjne, wspierając Platformę Opozycyjną. I chociaż Rosja miała wybór, bo był jeszcze Blok Opozycyjny i Partia Szarija, to wspierała tylko Platformę.

Jak wytłumaczyć fenomen ukraińskich wyborców, którzy szybko wycofują poparcie dla partii, na które głosowali. Chociażby wcześniejszy fenomen Frontu Ludowego, który w 2014 roku wygrał wybory i tak szybko stracił poparcie...

Tak, Sługa Narodu i Głos powinny pamiętać o smutnym losie Frontu Ludowego. Rola lidera w ukraińskiej polityce jest bardzo ważna i teraz okazała się też decydująca. Z drugiej strony wielu liderów, od Bojki i Tymoszenko do Andrija Sadowego i Smieszka, postawiło na to, że wybory parlamentarne to jak wybory premiera, co okazało się nieskuteczne. Od popularności lidera zależy popularność partii, jednak oprócz tego trzeba zajmować się samą partią. I smutna historia Frontu Ludowego jest tego dowodem: wygrali wybory, stworzyli frakcję, a partią nikt się nie zajmował, nawet nie wzięła udziału w ostatnich wyborach. I jeszcze jedna lekcja – Front poszedł na przekór oczekiwaniom społecznym. Wtedy dotyczyło to taryf i opłat komunalnych. Nie docenili tego problemu. Problem taryf zrujnował wizerunek Arsenija Jaceniuka i notowania Frontu. I teraz przed takim samym wyzwaniem stanie Sługa Narodu i Zełenski. Od tego, czy rozwiążą problem taryf, będą w znacznej mierze zależały dalsze notowania prezydenta i jego partii.

Chciałbym zapytać o tak zwany elektorat prorosyjski, ale nie wiem, czy można go w tak prosty sposób definiować. Chodzi mi o wyborców Platformy Opozycyjnej, ale też głosujących na Blok Opozycyjny i Partię Szarija. To w sumie spora liczba, biorąc pod uwagę brak Krymu i części Donbasu na wyborach.

Jednak mamy inną skalę poparcia. Do Majdanu, do dramatycznych wydarzeń 2014 roku, na Partię Regionów i komunistów głosowało ponad 40 procent wyborców. A teraz? Jeśli zsumujemy poparcie dla sił, które Pan wymienił, mamy mniej niż 20 procent. Około 5 milionów wyborców pozostało na Krymie i terenach okupowanych na Donbasie. Ale część byłych wyborców Partii Regionów, przede wszystkim młodszych, pozyskał Zełenski. I bardzo dobrze. On absorbuje były elektorat Partii Regionów, robi go bardziej umiarkowanym, bardziej centrowym i w tym aspekcie wykonuje pozytywną rolę.

Były elektorat Partii Regionów częściowo zagłosował na trzy partie, które można uważać za bardziej lub mniej prorosyjskie. Jednak ściśle prorosyjski elektorat, a wręcz proputinowski, według danych socjologów, stanowi niemal 12 procent ukraińskiego społeczeństwa. Sądzę, że absolutna większość tych ludzi zagłosowa-

eprasa.pl 26a741fd42

ła na Medwedczuka. Zmobilizowano ludzi, z których część nie głosowała w 2014 roku, a teraz „wyszła z podziemia". Medwedczuk utworzył swój holding medialny. Aktywizowała się też telewizja Inter, należąca do oligarchów Dmytra Firtasza i Serhija Liowoczkina, która promowała poradziecką tożsamość, powiedziałbym nawet radziecko-ukraińską. Wszystko to zadziałało na korzyść partii Medwedczuka. Poza tym proputinowskim elektoratem jest jeszcze około 12 procent Ukraińców, którym nie podoba się rosyjska agresja, ale psychologicznie i historycznie ciążą ku pojednaniu z Rosją.

Jak dużym niebezpieczeństwem jest obecność Platformy Opozycyjnej w nowym parlamencie?

Odpowiem trochę przewrotnie: niebezpiecznie jest, gdy do parlamentu nie wchodzą nacjonaliści. Lepiej, gdyby byli oni w parlamencie, a tak będą budowali swoją popularność na ulicy. Dotyczy to przede wszystkim Korpusu Narodowego.

W przypadku Platformy warto przypomnieć, że Blok Opozycyjny był przecież w parlamencie i niewiele z tego wynikało, a miał podobną liczbę deputowanych. Wielkich problemów więc nie przewiduję, ponieważ partia Medwedczuka znajdzie się twardym opozycyjnym getcie. Z dużym prawdopodobieństwem nie dadzą im stanowiska drugiego wiceszefa parlamentu, zwłaszcza gdy pretendować na nie będzie sam Medwedczuk. Byłby ogromny sprzeciw w parlamencie i poza nim. I trzeba tu brać pod uwagę wolę samego Zełenskiego. Myślę, że on powie swoim deputowanym, żeby żadnych stanowisk nie dawać ani Medwedczukowi, ani Poroszence.

Czy w tej sytuacji monopolizacja władzy nie niesie zbyt dużego ryzyka?

Bezsprzecznie. Z punktu widzenia interesów demokracji parlamentarnej i ograniczenia pokus nadużywania władzy, lepiej byłoby, gdyby powstała koalicja. To byłoby też lepiej przyjęte przez zachodnich partnerów.

Oznaczałoby to też podzielenie się odpowiedzialnością...

Tak. Dodatkowo jeśli Zełenski i jego ludzie będą o wszystkim sami decydować, to według prawa zachowania energii politycznej – gdy nie ma konkurencji i pluralizmu w parlamencie i w społeczeństwie – pojawia się konkurencja wewnątrz władzy. Tak było w ekipie Poroszenki, wcześniej wśród ludzi Janukowycza, a teraz może nastąpić walka między konkurencyjnymi grupami wewnątrz frakcji Sługi Narodu.

Pytam o monopolizację, bo zaniepokojone opinie słychać w Polsce i w innych krajach. Niektórzy zaczęli mówić nawet o możliwości pójścia Ukrainy białoruską drogą...

Niektórzy już zaczęli porównywać styl zachowania Zełenskiego z zachowaniem Łukaszenki. Dziennikarka Kristina Berdyńskych mówi jednak, że styl Zełenskiego jest różny – w zależności od sytuacji.

eprasa.pl 26a741fd42

Jego sposób rozmawiania z urzędnikami, z politycznymi działaczami może rzeczywiście trochę przypominać maniery Łukaszenki, ale kontakty z biznesem bardziej Emmanuela Macrona, a aktywność w sieciach społecznościowych, w internecie, mediach – raczej Donalda Trumpa. Myślę, że Zełenski jeszcze szuka swojego stylu. Ale pokusy związane z monopolem władzy będą duże. I mogą się pojawić ze strony niektórych osób w administracji prezydenta, na przykład jej szefa Andrija Bohdana, który dla „uproszczenia" kierowania administracją może uznać, że partnerzy są mu zbędni. Bohdan generalnie jest zwolennikiem prostolinijnej taktyki i strategii działania.

A jeśli spróbować ocenić ten krótki okres prezydentury Zełenskiego?

Jest jeszcze zbyt wcześnie, chociaż możemy już ocenić pewne jego cechy. Zwróciłbym uwagę na to, że on demonstruje zdecydowanie, szybkość, pewną nawet niecierpliwość. Nie chce czekać, długo się dogadywać. Jest zwolennikiem szybkich, zdecydowanych działań. I nie tylko on, podobny styl, nawet bardziej taki „czołgowy" albo styl „starego prywatu" [chodzi o PrywatBank, którego działania na rynkach często oceniano jako agresywne – przyp. red.], a więc brutalny, wyróżnia jego ekipę. I patrząc na rezultaty wyborów parlamentarnych, to jest skuteczne. To z kolei może ich przekonać, że trzeba przeprowadzić jeszcze przyśpieszone wybory samorządowe, chociaż tutaj jest więcej przeszkód prawnych.

Trudniej natomiast będzie w samym parlamencie. Nie widzieliśmy, póki co, istotnych decyzji politycznych, czyli takich, które przechodzą właśnie przez Radę Najwyższą albo rząd. Tam też zdecydowanie i szybkość mogą dać przewagę, ale z innej strony może wyniknąć kilka problemów. Wielu ludzi w otoczeniu prezydenta ma różne poglądy i póki co nie ma wypracowanych mechanizmów uzgadniania decyzji. Na razie ostatnią instancją jest Zełenski – jak on powie, tak będzie. Ale w wielu kwestiach widać różne punkty widzenia i nie wiadomo jeszcze, jak w przyszłości będą one uzgadniane. A od tego będzie zależała skuteczność władzy. Na przykład w kwestiach dotyczących reformy sądownictwa już widzę kilka opcji. Podobna sytuacja może być w zakresie polityki gospodarczej, chociaż tam dominują liberałowie, którzy też mogą się różnić co do rozwiązań. W polityce kadrowej już są sprzeczności i one mogą narastać.

Drugi problem dostrzegalny w zachowaniu Zełenskiego to swojego rodzaju nieustanny *performance*. Igrzyska są, ale trzeba jeszcze dać chleba. Czyli na przykład należy rozwiązywać kwestie taryf za energię i opłat komunalnych. Jesienią okaże się, jakie będą rezultaty. Są też plusy, prezydent nie waha się, demonstruje wolę – jego podróże po regionach przed wyborami były nie tylko elementem kampanii, ale też pokazem władzy, tego, kto w kraju jest gospodarzem. Obserwujemy teraz transformację sługi narodu w gospodarza kraju.

eprasa.pl 26a741fd42

Jeśli chodzi o politykę zagraniczną i Donbas, tutaj jest łatwiej ocenić. Zachowanie zewnętrznego kursu to niewątpliwy plus, ale istnieją problemy instytucjonalne. Nie ma wspólnych skutecznych działań między administracją prezydenta i MSZ. Możliwe, że to problem tymczasowy i nowy minister spraw zagranicznych go rozwiąże.

Widzi Pan w Zełenskim gotowość do uczenia się?

Jego niektóre działania na to wskazują. Wciąż nie starcza mu kompetencji i doświadczenia, ale już lepiej rozumie poszczególne problemy, zarówno jeśli chodzi o politykę zagraniczną, jak i wewnętrzną. Widać, że Zełenski zdobywa doświadczenie oraz że czuje się swobodniej niż na początku kampanii prezydenckiej. Lepiej mówi po ukraińsku.

Tak, uczy się, i to jest pozytywna cecha. Wydaje mi się, że jego przewaga nad Poroszenką polega na tym, że Zełenski nie boi się oddawać pełnomocnictw czy funkcji ludziom ze swojej ekipy. A Poroszenko próbował wszystko kontrolować samemu. Z drugiej strony zauważalne są ostatnio szerokie wpływy wspomnianego Andrija Bohdana. On odpowiada za zarządzanie państwem i nawet za stylistykę nowej władzy. I wydaje mi się, że to „łukaszenkostwo" idzie od Bohdana, który podpowiada prezydentowi, jak trzeba rozmawiać z urzędnikami: że ich trzeba naginać, krzyczeć na nich, krytykować publicznie i zwalniać publicznie, bo wtedy będą się bać.

A jeśli chodzi o wpływ oligarchów na Zełenskiego, przede wszystkim Ihora Kołomojskiego?

Widzimy paradoksalną sytuację. Po pierwsze, Zełenski chciał rozmawiać ze wszystkimi. Było spotkanie z przedstawicielami biznesu i byli na nie zaproszeni oligarchowie. Ale Kołomojski dał mu do zrozumienia: „z nami nie można rozmawiać jak z kołchozem, z nami trzeba rozmawiać osobno". Zełenski posłuchał i rozmawiał z Rinatem Achmetowem i nawet dwukrotnie z Wiktorem Pinczukiem. Wydaje się, że obydwaj oligarchowie okazali szacunek dla nowego prezydenta i znaleźli wspólny język, a przynajmniej wykazali pewną wolę finansowania tych projektów, o które prosił Zełenski. Czyli mimo dystansu widać pewną konstruktywną współpracę. Z Kołomojskim na razie tego nie ma. Na tym polega paradoks, bo oni się znają od dawna.

Według mnie, mamy tu do czynienia jednocześnie z problemami o naturze instytucjonalnej i psychologicznej. Oni nie wiedzą, w jaki sposób teraz ze sobą rozmawiać. Status Zełenskiego zmienił się, i Kołomojskiego to drażni. Oligarcha chce wpływać, ale w przypadku wielu kwestii już go nie słuchają, a nawet ignorują jego opinię. A on nie wie, jak ma rozmawiać z Zełenskim. Wcześniej to był młodszy partner, a teraz prezydent. Pinczuk i Achmetow szybko to zrozumieli, a Kołomojski psychicznie nie jest jeszcze gotowy.

Zełenski też nie wie, jak rozmawiać z Kołomojskim. A nawet, sądząc po wywiadzie udzielonym przez doradcę pre-

eprasa.pl 26a741fd42

zydenta Serhija Szefira i innych publicznych wypowiedziach, w ekipie Zełenskiego panuje zmęczenie Kołomojskim. Co będzie dalej? Trzeba poczekać i zobaczyć, jak będzie wyglądała dalsza polityka kadrowa: czy na przykład gubernatorem obwodu dniepropietrowskiego zostanie kandydat Kołomojskiego? Poza tym, czy zostanie przedłużony kontrakt między Kwartałem 95 i należącą do Kołomojskiego telewizją 1+1? Chodzą słuchy, że Achmetow zaprasza Kwartał do swojej telewizji.

Myślę jednak, że konfliktu nie będzie, przynajmniej ze strony Zełenskiego. Jednak Zełenski na pewno nie jest marionetką Kołomojskiego, podobnie jak Bohdan, który pracuje sam na siebie. To Bohdan jest teraz najbardziej wpływową osobą w otoczeniu prezydenta i jego status jest o wiele większy niż status Kołomojskiego.

Jak szybko zobaczymy spadek notowań Sługi Narodu i prezydenta?

Do września poparcie pozostanie na wysokim poziomie, ale jesienią czeka nas „ochłodzenie". Po pół roku to nieuchronne, zaś w ciągu roku możliwy jest wręcz upadek notowań. Wpływać na to mogą konkretne wydarzenia, podobnie jak za czasów Poroszenki klęska pod Iłowajskiem, następnie porozumienia w Mińsku. Myślę, że teraz może to być kwestia opłat komunalnych. Koniec roku będzie decydującym momentem. Tak czy inaczej, obniżenie notowań jest nieuniknione, ale czy dojdzie do krachu, tego nie wiemy.

Wiele zależy od tego, jak będzie zachowywał się sam Zełenski. Jest bardzo niestandardowym człowiekiem. Wielu oczekuje, że będzie słabym prezydentem, ale on już okazuje się nie taki wcale słaby. Wciąż natomiast pozostaje zagadką.

Wołodymyr Fesenko jest szefem kijowskiego centrum badań politycznych Penta, należy do najbardziej znanych komentatorów politycznych na Ukrainie.

eprasa.pl 26a741fd42

Pierwszy sługa narodu

Tadeusz Iwański

Ukraińcy powiedzieli stop politykom, którzy traktują państwo jak własny folwark. Zagłosowali jak Włosi, dla których hasło „Vaffanculo" wyjątkowo dobrze oddawało, co myślą o politykach, a także jak Francuzi i Kanadyjczycy chcący mieć u steru państwa polityka młodego, nowoczesnego i rozumiejącego otaczający świat.

21 kwietnia i trzy miesiące później – 21 lipca, nastąpiło trzęsienie ziemi w ukraińskiej polityce. Do władzy doszedł Wołodymyr Zełenski – aktor i komik, człowiek bez żadnego doświadczenia w pracy w administracji rządowej, parlamencie czy choćby samorządzie. Dotychczas politykę jedynie prześmiewczo komentował. Ukraińcy celowo wybrali niepolityka, bo mieli dość profesjonalistów u władzy. Ich fachowa wiedza, w społecznej percepcji, przejawiała się bowiem w „siadaniu na finansowe potoki", czyli defraudacji środków publicznych; kreatywność – w optymalizacji coraz to nowych „schematów korupcyjnych"; ciężka praca – w kosztownych urlopach na Malediwach, a lojalność dotyczyła wyłącznie kolegów, a nie wyborców. I to wszystko w kraju, który za wolność zapłacił „niebiańską sotnią" na Majdanie, dziesięcioma tysiącami poległych w wyniku wojny na wschodniej Ukrainie, prawie dwoma milionami przesiedlonych oraz utratą Krymu i części Donbasu. Ukraińcy zaryzykowali, przecież kraj stawia czoła hybrydowej agresji Rosji, lecz dla przytłaczającej większości z nich nie było innego wyjścia. Frustracja była tak dojmująca, że potencjalny Putin był uważany za zagrożenie mniejsze niż realny Poroszenko po raz drugi.

Dlaczego Zełenski?

Władza leżała na ulicy, a on po nią sięgnął. Już na początku 2018 roku niechęć do polityków była znaczna, bo prawie połowa wyborców deklarowała wybór kandydata spośród jeszcze nieistniejących partii. Po rewolucji godności Ukraina, dzięki wspólnej presji wspólnoty międzynarodowej i ukraińskiego społeczeństwa obywatelskiego, zobowiązała się do zmian, które zapewniły jej finansową pomoc z zewnątrz. Część z nich przeprowadzono, część jedynie zapoczątkowano, lecz prezydent Petro Poroszenko mógł pochwalić się ustabilizowaniem sytuacji makroekonomicznej i powrotem kraju na ścieżkę wzrostu gospodarczego (w latach 2014–2015 Ukra-

eprasa.pl 26a741fd42

ina straciła 17 procent PKB). Również sytuacja na wschodzie uległa wyciszeniu – po podpisaniu porozumień mińskich w lutym 2015 roku i tragedii odwrotu spod Debalcewe, linia konfliktu na Donbasie ustabilizowała się, a intensywność wymiany ognia spadła. Choć wojna nigdzie się nie podziała, podobnie jak i Kreml z planem podporządkowania całej Ukrainy, depesze z regionu przestały być tytułowane czerwoną pogrubioną czcionką, a ludzie po prostu przywykli do konfliktu. I z coraz większą ostrością zaczęli dostrzegać, że ofiara krwi nie przeszkadza politykom w starych praktykach korupcyjnych; że pomimo ust pełnych patriotycznych sloganów dotyczących „Ukrainy ponad wszystko", dla polityków liczą się tylko pieniądze.

W kwietniu 2018 roku ośrodki badania opinii publicznej[1] po raz pierwszy zmierzyły w sondażach popularności Światosława Wakarczuka – wokalisty kultowej grupy rockowej Okean Elzy i Wołodymyra Zełenskiego, lidera kabaretu Kwartał 95. Obaj to młodzi ludzie sukcesu, rozpoznawani w społeczeństwie, choć reprezentujący inne wartości – pochodzący z Galicji ukraińskojęzyczny Wakarczuk kojarzony był z Zachodem, patriotyzmem i kulturą wyższą na tej zasadzie, na jakiej rock'n'roll bardziej ceniony jest od popsy. Z kolei Zełenski reprezentował bardziej plebejski typ rozrywki: kanalizujący społeczne frustracje rosyjskojęzyczny kabaret, rozprawiający się nierzadko z dekomunizacyjnymi i ukrainizującymi zapędami pomajdanowych władz. Obaj cieszyli się największym zaufaniem społecznym i na starcie nieformalnej kampanii wyborcy dawali im w sumie prawie 15 procent poparcia. Większe nadzieje na udział w wyborach prezydenckich pokładano w Wakarczuku jako tym poważniejszym, wypowiadającym się na tematy polityczne i mającym krótki epizod w parlamencie po pomarańczowej rewolucji. On jednak zrezygnował miesiąc po tym, jak Zełenski w noc sylwestrową potwierdził swój udział w wyborach i jego sondażowe poparcie wystrzeliło w górę.

Frustracja ukraińskiego społeczeństwa jest tak dojmująca, że potencjalny Putin jest uważany za zagrożenie mniejsze, niż realny Poroszenko po raz drugi.

Źródeł sukcesu Zełenskiego jest kilka. Naturalnie, najważniejszym była rozpoznawalność, osiągnięta dzięki długim latom obecności w ukraińskim biznesie telewizyjnym, jednak to emitowany od listopada 2015 roku serial *Sługa narodu* (Zełenski wciela się w nim w rolę skromnego nauczyciela historii Wasyla Hołoborodki), który zrządzeniem losu zostaje prezydentem kraju i walczy z korupcją polityczną i oligarchami, przyniósł mu wielką popularność. Tak jak Polacy przede wszystkim

[1] Zarówno Rating Group, jak i Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii. W obu badaniach wynik był podobny. Na Ukrainie sondażownie nie muszą ujawniać zamawiającego, prace nad stosownym projektem ustawy toczą się obecnie w środowiskach pozarządowych.

eprasa.pl 26a741fd42

pamiętają Stanisława Mikulskiego jako Hansa Klossa, tak średnio statystyczni Ukraińcy utożsamiali Zełenskiego z nieporadnym, lecz uczciwym szefem państwa. I jak się okazało, było to skojarzenie na wagę realnej prezydentury.

Nie bez znaczenia jednak był też sposób prowadzenia kampanii wyborczej i komunikacji z wyborcami. Niezależnie od tego, kiedy Zełenski podjął decyzję o kandydowaniu i czy było to tylko jego pomysłem (na wpół oficjalna wersja mówi, że namówił go do tego Andrij Bohdan – obecnie szef Biura Prezydenta, wcześniej adwokat oligarchy Ihora Kołomojskiego), jego kampania była diametralnie inna niż kampanie oponentów. Zamiast podniosłych konwencji, tradycyjnych spotkań z wyborcami na centralnych placach miejskich i aktywem robotniczym w zakładach przemysłu ciężkiego, zamiast obiecywać „złote góry" i straszyć rozpadem państwa w przypadku głosowania na innych, skracał dystans. Posługiwał się sieciami społecznościowymi, w tym nieodkrytym politycznie na Ukrainie Instagramem, gdzie rozmawiał, a nie monologował; słuchał, a nie pouczał; zachęcał do współpracy, a nie składał obietnice. W jego haśle wyborczym „Zrobimy ich razem" zasadzała się zupełnie inna filozofia relacji między politykiem a wyborcą. Zełenski stawał po stronie ludzi przeciwko tradycyjnym politykom, upodmiotawiał ich, zachęcając do wspólnego działania. Wreszcie, mówił to, co ludzie odczuwali i chcieli od kandydata usłyszeć – o zbrodni i karze dla starego establishmentu jako podstawowych warunkach rozwoju kraju, o czystce kadrowej w ukraińskiej polityce i powierzeniu rządów ludziom nieuwiązanym i nieskompromitowanym.

Ukraińcy zaczęli dostrzegać, że ofiara krwi nie przeszkadza władzy w starych praktykach korupcyjnych, że pomimo ust pełnych patriotycznych sloganów dla polityków liczą się tylko pieniądze.

Ze!Parlament, czyli kto?

Jak obiecał, tak zrobił. Już w przemówieniu inauguracyjnym 21 maja Zełenski zapowiedział rozwiązanie parlamentu, a dwa dni później rozpisał przedterminowe wybory parlamentarne. Działał na granicy prawa, lecz w pełnej zgodności z nastrojami społecznymi, a cel uświęca środki. Zełenski i jego otoczenie uznali, że przyspieszone wybory pozwolą mu lepiej skapitalizować wielką popularność (bezprecedensowe 73 procent poparcia w drugiej turze wyborów), a liczna frakcja w parlamencie zwiększy jego władzę. Wynik przerósł najśmielsze oczekiwania. Sklecona naprędce, częściowo na zasadzie otwartych regionalnych konkursów, a często też bez konkursu, partia Sługa Narodu zmontowała partyjną listę i wystawiła 199 kandydatów

eprasa.pl 26a741fd42

w okręgach jednomandatowych, z których w wyniku wyborów 21 lipca wzięła odpowiednio 124 i 130. Szczególnie zaskoczył wynik w okręgach, gdzie spodziewano się niemal o połowę skromniejszego zwycięstwa. Tym samym po raz pierwszy w historii ukraińskiej niepodległości jedna partia uzyskała samodzielną większość parlamentarną.

Nowy parlament będzie pod wieloma względami bezprecedensowy. Nie chodzi tylko o fakt, że Sługa Narodu będzie miał jednopartyjną większość. Rada Najwyższa dziewiątej kadencji będzie charakteryzowała się najniższą od 1991 roku średnią wieku deputowanych (41 lat) i największym odsetkiem kobiet (około 20 procent), a aż 80 procent jej członków nigdy wcześniej nie sprawowało mandatu poselskiego. Najwięcej nowych i młodych polityków wprowadziła zresztą partia prezydencka, w której średnia wieku jest jeszcze niższa, a odsetek kobiet – wyższy. Kim oni/one są? Choć są wśród nich między innymi: śpiewający prokurator, profesjonalny tamada, fotograf ślubny, bodybuilder, mistrz lekkoatletyczny, masowy zaciąg do szeregów partii tuż przed wyborami przywiódł do parlamentu w większości przedstawicieli małego i średniego biznesu, deweloperów oraz tradycyjnie już przedstawicieli sektora rolno-spożywczego, dziennikarzy i wykładowców. Pod względem wykształcenia dominować zaś będą prawnicy i ekonomiści.

Statystyczni Ukraińcy utożsamiali Zełenskiego z nieporadną, lecz uczciwą głową państwa. I jak się okazało, było to skojarzenie na wagę realnej prezydentury.

Największy w historii klub parlamentarny, na potrzeby posiedzeń którego trzeba będzie powiększać najpojemniejsze pomieszczenia w budynku Rady Najwyższej, jest też wewnętrznie zróżnicowany. Choć na razie większość stanowią „wolne elektrony", bez jasnych powiązań politycznych, istnieją też różne nieformalne grupy, których członków można zaliczyć do „puli" tradycyjnych ukraińskich oligarchów. Największym „udziałowcem" jest Ihor Kołomojski – oligarcha skłócony z poprzednim prezydentem, który promował Zełenskiego w swojej telewizji 1+1 i którego (były?) adwokat Andrij Bohdan zajął kluczowe stanowisko szefa Biura Prezydenta. Oligarcha będzie mieć sporą siłę, z szacunków wynika, że może liczyć na ponad dwadzieścia bagnetów we frakcji i około trzydziestu w całym nowym parlamencie. Udział innych oligarchów w prezydenckiej frakcji jest skromniejszy: zięć byłego prezydenta Leonida Kuczmy, Wiktor Pińczuk, może liczyć na przychylność pięciu, sześciu deputowanych, a najbogatszy Ukrainiec Rinat Achmetow na dwóch lub trzech. Swoje „grupy" we frakcji mają także wysocy urzędnicy Biura Prezydenta: wspomniany Andrij Bohdan zapewne będzie mieć wpływ na pięciu, sześciu deweloperów, którzy realizują projekty architektoniczne z jego przyjacielem Andrijem Wawryszem, z kolei

eprasa.pl 26a741fd42

zastępca Bohdana, wskazywany na przyszłego premiera Andrij Honczaruk, także będzie mógł liczyć na pięcioro swoich byłych współpracowników z sektora pozarządowego. Wreszcie jest ponad dwudziestoosobowa grupa byłych członków sztabu Zełenskiego i jego przedstawicieli w regionach, którzy będą blisko współpracować z prezydentem. Jak silne będą poszczególne grupy, jakie powstaną nowe grupy i jakie będą one reprezentowały interesy i wartości, pokażą najbliższe tygodnie, podczas których zostaną obsadzone kluczowe stanowiska w rządzie, komitetach parlamentarnych i spółkach skarbu państwa. Jednocześnie wśród 254 deputowanych Sługi Narodu można zidentyfikować trzydziestu–czterdziestu ekspertów, aktywistów, pracowników naukowych i urzędników, którzy w przypadku połączenia wysiłków mogą stać się główną siłą napędową przyszłych reform.

Świeżo upieczonych sług narodu, którzy dopiero podczas odprawy u prezydenta Zełenskiego po raz pierwszy zobaczyli się w (prawie) pełnym składzie i z których jedynie czwarta część ma jakiekolwiek doświadczenie polityczne, kierownictwo państwa i partii natychmiast wysłało na naukę. Jeszcze pod koniec lipca pociągiem relacji Kijów–Truskawiec udali się oni do hotelu Rixos, w którym przez tydzień słuchali wykładów i uczestniczyli w warsztatach zorganizowanych przez czołową prywatną uczelnię Kyiv School of Economics, której zadaniem było nauczyć nowych parlamentarzystów, jak działa państwo i jak pisze się ustawy.

Perspektywy Zełenskiego perspektywami kraju

Proprezydencka większość parlamentarna zatwierdzi rząd powołany i skompletowany przez prezydenta i jego otoczenie. Formalnie oznacza to, że całość władzy w państwie jest w rękach jednego środowiska politycznego, którego zwornikiem jest Wołodymyr Zełenski. Porozumienie z innymi deputowanymi potrzebne jest jedynie do przeprowadzenia zmian w konstytucji (trzysta głosów, a nie dwieście dwadzieścia sześć, jak w przypadku zwykłej większości). Pełnia władzy niesie zarówno szanse, jak i niebezpieczeństwa. Niewątpliwie w przypadku woli politycznej prezydenta, umiejętnego zarządzania przezeń różnorodną frakcją parlamentarną i dobrej współpracy z rządem, reformy będą mogły być procedowane bez zbędnych obstrukcji. Wydaje się, że Zełenski ma wolę przeprowadzenia przynajmniej niektórych zmian potrzebnych Ukrainie. Jednocześnie wielki mandat społeczny i pełnia realnej władzy rodzą

Zełenski zapowiedział rozwiązanie parlamentu, a dwa dni później rozpisał przedterminowe wybory parlamentarne. Działał na granicy prawa, lecz w pełnej zgodności z nastrojami społecznymi.

eprasa.pl 26a741fd42

pokusę jej nadużywania – balansowania na granicy prawa, jego falandyzacji czy wreszcie jego mniej lub bardziej otwartego pogwałcenia. Inklinacje do takich działań widać było już po wyborze Zełenskiego: zarówno przy rozwiązywaniu parlamentu, jak i przy nominacji Andrija Bohdana na szefa Biura Prezydenta, który jako osoba lustrowana nie mógł objąć stanowiska szefa prezydenckiej administracji. Mniejszym złem będzie, jeśli pyszałkowatość nowej ekipy zostanie ukierunkowana na reformy, większym i chyba bardziej prawdopodobnym, jeśli dojdzie ona do wniosku, że zanim przeprowadzi reformy, musi w pełni odzyskać państwo z rąk poprzedników. Potwierdzeniem tej drugiej możliwości mogą być lipcowe próby odebrania części kompetencji merowi Kijowa Witalijowi Kliczce oraz wypuszczane balony próbne sondujące możliwość przeprowadzenia przyspieszonych wyborów samorządowych. Wytłumaczeniem będzie zbożny cel, mandat społeczny i chęć czynienia dobra „na skróty, bo system jest nieefektywny", lecz rezultatem – dalsze psucie państwa i jego zawłaszczanie.

Zełenski ma największą od 1991 roku szansę, by Ukrainę naprawić i skierować na szybką ścieżkę wzrostu. Jednocześnie jednak jego gwiazda może spalić się tak szybko, jak zawyżone są pokładane w nim społeczne nadzieje. Jeśli nie zacznie działać skutecznie dla dobra kraju, pierwszy sługa narodu może w społecznej percepcji błyskawicznie zmienić się w głównego dręczyciela tego narodu. Podobnie jak poprzedni prezydenci.

Tadeusz Iwański jest analitykiem ds. ukraińskich w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, stałym współpracownikiem Nowej Europy Wschodniej.

eprasa.pl 26a741fd42

Trzeba czekać cierpliwie

Z Ernestem Wyciszkiewiczem, dyrektorem Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, rozmawia Zbigniew Rokita

ZBIGNIEW ROKITA: Rosyjski ambasador Siergiej Andriejew po raz kolejny powiedział niedawno portalowi Sputnik, że stosunki polsko-rosyjskie są dziś najgorsze od II wojny światowej. Relacje PRL i ZSRR to złożona kwestia, więc postawmy sprawę inaczej: czy są one najgorsze od 1991 roku?

ERNEST WYCISZKIEWICZ: Mamy do czynienia z fundamentalnym konfliktem strategicznym między Rosją i Zachodem, który tlił się od lat, a po agresji rosyjskiej na Ukrainę uwidocznił się w pełni. Gdy do 2014 roku Polska wyrażała sceptycyzm wobec ścieżki rozwoju Rosji, widziano w nas rusofobów. Dziś nasze poglądy mieszczą się w europejskim mainstreamie.

Relacje polsko-rosyjskie są na poziomie politycznym praktycznie zamrożone. Obie strony z różnych powodów czekają na wzajemne ustępstwa. Nie należy jednak myśleć o stosunkach z Rosją tylko w wymiarze dwustronnym. Nasza polityka wobec niej to również wzmacnianie NATO, wojska amerykańskie w Polsce, sankcje unijne, dywersyfikacja dostaw ropy i gazu czy budowa bliskich relacji z Ukrainą.

Na jakich warunkach Polska dziś mogłaby zgodzić się na powrót do relacji w formie sprzed 2014 roku?

Powrót do jakiejś idealizowanej przeszłości po tym, czego Rosja dopuściła się na Ukrainie, jest praktycznie niemożliwy. Dziś chodzi o takie kształtowanie relacji, aby sprzyjały one powrotowi Rosji do grona państw respektujących prawo międzynarodowe.

Co więc Rosja musiałaby zrobić, by Polska chciała relacje poprawić?

Warunek jest prosty, zdefiniowany w unijnych dokumentach: wycofanie się z Donbasu i Krymu. Pomogłoby również powściągnięcie propagandzistów i hakerów. To dziś zapewne mało prawdopodobne, toteż musimy uzbroić się w cierpliwość. Nic za wszelką cenę. Aktywizm na zasadzie „musimy coś zrobić, bo jest źle", do niczego nie prowadzi. Ciężar inicjowania zmian i wykazania dobrej woli spoczywa więc na Rosji. Należy być pryncypialnym.

A do czasu spełnienia tych warunków nie powinniśmy *de facto* wznawiać tych relacji?

Niczego nie trzeba wznawiać. Relacje istnieją, a ich stan odzwierciedla po prostu bieżące uwarunkowania. Czy Rosja realizuje porozumienia mińskie? Czy przestała dopuszczać się nieprzychylnych ak-

eprasa.pl 26a741fd42

tów wobec innych krajów? Czy poczuwa się do odpowiedzialności za aneksję, okupację części Ukrainy, zestrzelenie MH17, specoperacje z wykorzystaniem broni chemicznej? Wreszcie, czy Rosja w relacjach z Polską – bądź szerzej: z Zachodem – zaproponowała konstruktywne propozycje, aby obniżyć napięcie?

Dziś powinniśmy usiąść głęboko w fotelu, otworzyć paczkę z popcornem i cierpliwie czekać, aż druga strona się zrefleksuje. Jednocześnie musimy mieć pod ręką pozytywną odpowiedź na ewentualne przyjazne rosyjskie inicjatywy.

Niemniej istnieją też stany pośrednie między spełnieniem warunków przez Rosję a ich niespełnieniem. Takim stanem byłoby na przykład rozpoczęcie poważnych negocjacji z Ukrainą na temat Krymu czy misji ONZ na Donbasie. Ważne są jednak rzeczywiste działania, a nie puste deklaracje.

Twierdząc, że nie powinniśmy ocieplać relacji z Moskwą, co próbował już czynić Berlin, Paryż czy Waszyngton, wychodzi Pan z pozycji moralnych, bezpieczeństwa, innych?

Co to znaczy ocieplenie relacji?

Na przykład złożenie wizyty w Rosji przez wysokiego rangą polskiego polityka.

Do tego potrzebna jest minimalna wola, której po drugiej stronie brak. Dowodem jest rosyjska reakcja na nasze próby reaktywacji Grupy do Spraw Trudnych, która przestała się spotykać po agresji rosyjskiej na Ukrainę. W 2017 roku MSZ wznowił działania polskiej części Grupy. Nowym współprzewodniczącym został prof. Mirosław Filipowicz.

Jaka była odpowiedź Rosjan?

Niet. Dopóki stosunki nie zostaną znormalizowane na rosyjskich warunkach, nic z tego. O pomyśle od początku nieprzychylnie wyrażał się między innymi ambasador Andriejew. Skoro Rosjanie mają problem z przywróceniem rozmów intelektualistów, to trudno sobie wyobrazić ewentualną wizytę prezydenta lub premiera w Moskwie. Takie spotkanie zwykle zwieńcza pewien etap rozmów, a nie je rozpoczyna. Przyjmijmy lepiej metodę małych kroków.

Wyłania nam się więc model: tak długo, jak Rosjanie nie spełnią polskich warunków, nie odbudujemy tych relacji. A o ile może być różnie na Donbasie, o tyle nie ma dziś przesłanek, że Rosja odda Krym. Musimy się więc przygotować na wiele lat zamrożonych relacji z największym sąsiadem.

To nie są polskie warunki, ale warunki sformułowane przez wspólnotę państw demokratycznych. Od ich spełnienia zależy sukces procesu odbudowy utraconego zaufania. Jeśli ma to zająć wiele lat, trudno. Nie widzę w tym problemu. Intensyfikacja relacji bez poważnej rozmowy o rozwiązaniu spornych kwestii byłaby fasadowa i bezproduktywna. Celem przecież nie jest odbudowanie relacji z Rosją, ale obrona ładu światowego

eprasa.pl 26a741fd42



CPRDiP

Mamy do czynienia z fundamentalnym konfliktem strategicznym między Rosją i Zachodem, który tlił się od lat, a po agresji rosyjskiej na Ukrainę uwidocznił się w pełni.

prasa.pl 26a741fd

opartego na przestrzeganiu prawa międzynarodowego.

Czy wśród polskich decydentów nie ma pokusy, której ulegają zachodni partnerzy – aby mimo problemów również stopniowo resetować stosunki z Rosją?

Polska jest w innej sytuacji niż Włochy, Niemcy czy Francja. Kilkanaście tamtejszych dużych wpływowych koncernów i banków zainwestowało – a czasami utopiło – poważne pieniądze w Rosji. Firmy te z różnym skutkiem usiłują nakłonić rządy do powrotu do *business as usual*, stąd biorą się rozmaite spotkania i narracja sugerująca zbliżenie. Nie ma polskich firm, które działałaby w Rosji na taką skalę i których zyski byłyby zależne od tamtejszego rynku, a więc nie pojawiają się podobne naciski.

Owszem, w Polsce też panował kiedyś pogląd, że rynek rosyjski to potencjalne eldorado. Tymczasem po wprowadzeniu przez Moskwę spożywczych kontrsankcji okazało się, że polscy producenci świetnie sobie poradzili, między innymi znajdując atrakcyjne rynki gdzie indziej.

Podobnie było z sankcjami rosyjskimi nałożonymi na Polskę w czasie rządów PiS kilkanaście lat temu w sprawie polskiego mięsa.

Zgadza się. Korzystnym okazuje się fakt, że poza energetyką nie mamy strategicznych gospodarczych powiązań z Rosją, bo dzięki temu zachowujemy odporność na dość szczególne rosyjskie praktyki biznesowe. Pamiętajmy, że jednym z priorytetów w polskiej polityce gospodarczej wobec Rosji od lat jest zmniejszanie zależności od rosyjskiego gazu.

Czy istnieją w ogóle relacje polsko-rosyjskie na poziomie politycznym?

Niektórzy twierdzą, że nie. Zawsze jednak będą istnieć – dopóki nie zlikwidujemy placówek dyplomatycznych.

Nie mam na myśli istnienia ambasady i konsulatów. Myślę o tym, jak funkcjonują te relacje. Mówił Pan o ich zamrożeniu.

Spór sprzed kilku lat o liczbę zezwoleń na transport towarów przez polskie firmy przewozowe pokazał, że w razie konfliktu są sposoby i mechanizmy umożliwiające jego rozwiązanie. To prawda, że niewiele dzieje się na wysokim poziomie politycznym, i trzeba się do tego przyzwyczaić. W maju doszło jednak w końcu do spotkania ministrów spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza i Siergieja Ławrowa w Helsinkach, udało się chwilę porozmawiać – nie „przez komunikaty prasowe", ale twarzą w twarz.

A czy możemy wskazać cele strategiczne, które stawia sobie Polska? Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz w analizie dla Fundacji Batorego zarzuca polskim władzom, że nie mają takich celów, stąd później trudno weryfikować, jak udana jest nasza polityka.

Wyobraźmy sobie, że mamy wiosnę 2013 roku i przyjmujemy cele strategiczne

eprasa.pl 26a741fd42

wobec Rosji na lata 2014–2020. A potem „bum": Krym, Donbas. Co się dzieje z tymi celami? Trzymamy się ich kurczowo czy naradzamy się nad kolejną strategią? Mam dość fetyszyzowania słowa „strategiczny". Zbyt często bowiem strategie stają się nieaktualne, zanim zostaną zatwierdzone. Zamrażają rzeczywistość, ekstrapolują procesy z przeszłości w przyszłość. Tym bardziej dziś, gdy wciąż mówimy, że panuje ogromna niepewność: począwszy od sytuacji politycznej na świecie, a skończywszy na wpływie nowych technologii.

Powinniśmy działać na rzecz realizacji ogólnych interesów – w szczególności wzmacniania roli prawa międzynarodowego i instytucji wielostronnych, zacieśniania relacji sojuszniczych – aby oddalić ryzyko powrotu archaicznych koncepcji koncertów mocarstw i stref wpływów. Natomiast bieżące cele w polityce wobec wschodniego sąsiada powinniśmy wyznaczać wariantowo, w zależności od tego, czy Rosja będzie stawać się bardziej zamknięta i agresywna, czy otwarta i koncyliacyjna.

Ale czymś innym są cele, a czymś innym korekty metod ich osiągnięcia. Te pierwsze nie zmieniają się tak prędko. Możemy wyznaczyć sobie mniejszy cel: sprowadzenie do kraju wraku tupolewa. Odnośnie do tego, że jego pozostawanie w Rosji jest zagrożeniem, nie mam wątpliwości.

Nie, to nie cel strategiczny. To sprawa, która w zasadzie nie powinna stanowić przedmiotu negocjacji. To własność państwa polskiego. Kropka.

Możemy się obrazić na rzeczywistość i zapaść w fotelu z popcornem, ale jednak należy negocjować, skoro nie odzyskaliśmy wraku od dziewięciu lat.

Ale to nie jest cel strategiczny. To może być probierz dobrej woli drugiej strony. Poza tym zagłębianie się w fotelu nie oznacza bezczynności, tylko zerwanie z aktywizmem dla samego aktywizmu.

Naturalnym jest jednak stawianie sobie przez państwo celów. Jednym z nich było zapewne niedopuszczenie do odzyskania przez Rosję prawa głosu w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy. Tymczasem parlamentarzyści większości krajów zachodnioeuropejskich poparli przywrócenie Rosji prawa głosu. To porażka Polski.

Zgadzam się, istnieją pewne krótkoterminowe i mierzalne sprawy. Przywrócenie Rosji prawa głosu można uznać za porażkę Zachodu, ale to nie koniec świata. W Rosji pojawiły się euforyczne reakcje sugerujące, że to koniec izolacji. W dużej mierze przesadzone, niemniej należy uważać, by wspomniana decyzja pozostała epizodem, a nie wstępem do dalszych bezwarunkowych ustępstw. I to jest zadanie dla polskiej polityki.

Przed 2014 rokiem istniały kanały komunikacji intelektualistów polskich i rosyjskich: Forum Obywatelskie Krzysztofa Zanussiego czy wspomniana Grupa do Spraw Trudnych. Można było w ten sposób tłumaczyć

eprasa.pl 26a741fd42

swoje stanowiska, część tych informacji szła wyżej. Czy istnieją dziś jakieś kanały komunikacji pozwalające dotrzeć ze swoim punktem widzenia do decydentów po drugiej stronie?

Czy jesteśmy w stanie dotrzeć tymi kanałami do decydentów? Oba kraje się różnią. W Polsce można dość łatwo wskazać osoby, które są zaangażowane w kształtowanie polskiej polityki wschodniej – jest ich dwadzieścia–trzydzieści. Dotarcie do polskiego ministra czy wiceministra spraw zagranicznych jest relatywnie łatwe. Po drugiej stronie sytuacja jest diametralnie inna. Rosyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych ma zupełnie inne umocowanie niż polskie. W pewnych sferach decyduje resort dyplomacji, w innych administracja prezydenta, dochodzą do tego również wpływowe służby. Zidentyfikowanie osób, przez które możemy przekazać nasz punkt widzenia decydentom, jest niełatwe. Grupa do Spraw Trudnych pozwalała nam do części uszu docierać z uwagi na to, że współprzewodniczącym po drugiej stronie był rektor MGIMO w randze wiceministra spraw zagranicznych.

Dzisiaj te kanały kończą się na indywidualnych kontaktach. Oczywiście jest z kim rozmawiać, i rozmawiamy, ale nie przeceniałbym możliwości kontaktu naszych interlokutorów z decydentami.

Z kim więc możemy rozmawiać, jeśli już powiedział Pan, że nie z politykami i tylko z pewnymi intelektualistami?

Zostają nam ci, którzy są zdolni do krytycznej analizy polityki Rosji, rozumiejący problemy międzynarodowe, które generuje obecny system władzy w Rosji, widzący przyszłość przed demokratyczną Rosją. Ta grupa istnieje. Rosyjskie społeczeństwo obywatelskie nie jest tak pasywne, jak nam się wydaje. Nie jest to może środowisko liczebnie imponujące, ale Rosja będzie się zmieniać, czy nam się to podoba czy nie, z uwagi na wiek osób kształtujących system władzy. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć kierunku zmian, ale możemy wyciągać rękę i rozmawiać z tymi, którzy rokują. Nawet jeśli przyjdzie nam się z nimi nie zgadzać.

Z kim się więc spotykacie?

Organizujemy spotkania młodych liderów, rozmawiamy na przykład z młodymi aktywistami, którzy u siebie zajmują się dostosowaniem infrastruktury dla obywateli czy przestrzenią publiczną – sferami, w których państwo abdykowało, bo woli zajmować się Syrią czy Chinami. Nie prowadzimy krucjat demokratyzacyjnych. Przyjeżdżających do Polski Rosjan na ogół nie interesują spory o pomniki, a budżet partycypacyjny czy ścieżki rowerowe. Pytają, dziwią się. W zainicjowanym przez Centrum programie wymiany młodzieży wzięło do tej pory udział około sześciu tysięcy młodych osób z Polski i Rosji. To nasza długofalowa inwestycja.

Różnimy się tu od Rosjan, którzy mogą podejmować działania na większą skalę – od superprodukcji filmo-

eprasa.pl 26a741fd42

wych po finansowanie ugrupowań politycznych czy dużych portali internetowych.

Centrum podejmuje działania na „swoją" skalę. Wolę wybrać grupę docelową i skonstruować konkretny przekaz. To działania miękkie i trudno mierzalne, rozproszone, nieczyniące pozorów wielkich projektów czy festiwali.

Mieliśmy jednak stosunkowo masowy kanał komunikacji – mały ruch graniczny (MRG). W 2016 roku został zawieszony z niejasnych przyczyn. Co musiałoby się zdarzyć, żeby polska strona wyraziła wolę przywrócenia małego ruchu?

Mamy argument bezpieczeństwa, w związku z którym ruch zawieszono. Opiera się on na faktycznych działaniach rosyjskich, ale czy taka reakcja ma sens w przypadku projektu takiego jak MRG? Jestem sceptyczny.

Z drugiej strony, brakuje danych, które pokazywałyby, czy polscy mieszkańcy strefy przygranicznej stracili na zawieszeniu MRG. Odnośnie zaś do spadku liczby wjeżdżających z obwodu do Polski Rosjan to nie jest on dramatyczny: to jakieś 10–15 procent. Polskie służby znacznie zwiększyły wydawanie wiz narodowych w ostatnich latach, toteż zezwolenia MRG ograniczające przecież swobodę przemieszczania stają się mniej potrzebne.

Na pewno Polacy nieco rzadziej kursują do obwodu po paliwo i papierosy, co z perspektywy dochodów państwa jest korzystne.

Co musiałoby się stać, żeby odwieszono MRG?

Jeśli trzymać się argumentu bezpieczeństwa, to szans na zmianę nie widzę. Rosjanie musieliby zdemilitaryzować obwód, na co się nie zanosi.

Jeśli okazałoby się, że ekonomiczne skutki zawieszenia są nieodczuwalne dla Polaków, to MRG traci sens, bo Rosjanie mają inne możliwości wjazdu do Polski. Pamiętajmy też, że relacje przygraniczne nie ograniczają się do MRG. Działa na przykład program współpracy transgranicznej Polska–Rosja na lata 2014–2020 z budżetem w wysokości prawie 60 milionów euro.

A czy Rosjanie zgodziliby się na odwieszenie małego ruchu granicznego?

Rosjanie nie wyrażają tym szczególnego zainteresowania. Powód jest prosty: drobne utrudnienia w dostępie do polskich sklepów sprawiają, że środki, które wydaliby Rosjanie w Polsce, zostają w obwodzie, a kaliningradzkie sklepy należą do konkretnych osób, którym na tym zależy. Choć jednocześnie władze rosyjskie najpewniej by nie protestowały.

Istnieje teza, że gdybyśmy wyrazili wolę odwieszenia ruchu, doszłoby do nowego otwarcia w relacjach. Nie przesadzałbym. Rosjanie nie zauważyliby tego, tak jak nie widzą, że dbamy o radzieckie cmentarze.

A czy poza Centrum istnieją jakiekolwiek granty czy programy rządu polskiego na rzecz współpracy ze społeczeństwem obywatelskim w Rosji?

eprasa.pl 26a741fd42

Nie znam systemowych programów wzmacniania rosyjskiego społeczeństwa obywatelskiego. Wsparcie jest rozproszone, udzielane *ad hoc*, w zależności od projektu. Z pewnością nie jest wystarczające. Częściowo wynika to z przekierowania środków raczej na państwa Partnerstwa Wschodniego, gdzie realizacja projektów jest dużo łatwiejsza i tańsza. W Rosji trudniej o sukces, ponadto dochodzą względy bezpieczeństwa. O ile wiem, trwają jednak obecnie w MSZ dyskusje nad stworzeniem nowych instrumentów, które w większym stopniu uwzględniałyby Rosję.

Twierdzi Pan więc, że jeśli chodzi o nasze relacje, piłka leży po rosyjskiej stronie?

Piłka jest po ich stronie, ale my mamy dużo małych piłeczek, które możemy serwować rosyjskim organizacjom, aktywistom i na tym polu powinniśmy być bardziej zaangażowani, niż byliśmy do tej pory.

Ernest Wyciszkiewicz jest dyrektorem Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. Wcześniej zastępca dyrektora Centrum, koordynator programu ds. bezpieczeństwa energetycznego, zmian klimatu i prawa międzynarodowego w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Absolwent stosunków międzynarodowych Uniwersytetu Łódzkiego i programu Dual Diploma Université Marc Bloch (Strasbourg) i UŁ w zakresie współczesnej translatoryki.

eprasa.pl 26a741fd42

Gdy wrogość wystarcza

Z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz, ekspertką do spraw międzynarodowych, rozmawia Andrzej Brzeziecki

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Polska inteligencja w ślad za Norwidem marzyła, by mieć polską partię w Moskwie – ten postulat ostatnimi czasy jest chyba najmniej realny w historii?

KATARZYNA PEŁCZYŃSKA-NAŁĘCZ: On zawsze był mało realny. Wcześniej można było, co prawda, myśleć, że taka partia jest możliwa – mam na myśli prozachodnią elitę, która postrzegała Polskę jako bramę do Europy. W ograniczonym zakresie, ale w sposób znaczący tak było w czasach Związku Radzieckiego – polska kultura, polski film i czasopisma były najlepszym źródłem wiedzy o Zachodzie dla Rosjan. Zainteresowanie Polską przetrwało do lat dziewięćdziesiątych XX wieku, a nawet i później, ale pokolenie Rosjan patrzących z zaciekawieniem na Polskę – mówiąc brutalnie – zestarzało się. Zarazem straciło wpływ na rosyjską rzeczywistość w wyniku zmian, jakie zaszły w tym kraju. Z drugiej strony Polska była atrakcyjna do niedawna jako nieskazitelny przykład prozachodniego, liberalnego i demokratycznego zwrotu. „Skoro wam się udało, to może i dla nas jest szansa" – mówili rosyjscy liberałowie. To jednak także uległo zmianie w ostatnich latach, więc nawet ta niewielka grupa rosyjskiej inteligencji wyraża rozczarowanie Polską.

Mnie interesują ludzie władzy. Czy potrafi Pani wskazać w obecnej rosyjskiej elicie postaci przychylne w jakikolwiek sposób Polsce?

Nie…

To z kim w ogóle rozmawiać w Rosji?

Rozróżniłabym w kręgach rosyjskiej władzy dwie kategorie polityków, jeśli chodzi o stosunek do Polski. Pierwsza kategoria to ludzie zupełnie obojętni, którzy owszem uprzytamniają sobie czasem, że jest taki kraj jak Polska, ale myślą o nim wyjątkowo rzadko. Gdy to już się dzieje, podchodzą do nas w sposób pragmatyczny. Takie okienko pojawiło się w latach 2008–2012, kiedy Polska była w oczach Moskwy krajem nie pierwszoplanowym, ale istotnym – wówczas mogliśmy coś ugrać w stosunkach z Rosją. Wiązało się to z efektem kumulacji naszego znaczenia w Unii Europejskiej, w NATO i w regionie. Na Kremlu zdano sobie sprawę, że trzeba nas brać pod uwagę. To z przychylnością oczywiście nie miało nic wspólnego.

Druga kategoria polityków rosyjskich to ci, którzy po prostu czują do Polski niechęć – z różnych powodów. Najłatwiej wskazać na rosyjskich imperialistów, którzy nie lubią nas, bo promujemy wolnościowe ideały, ale są też tacy,

eprasa.pl 26a741fd42



Archiwum KEW

Rozróżniłabym w kręgach rosyjskiej władzy dwie kategorie polityków, jeśli chodzi o stosunek do Polski. Pierwsza kategoria to ludzie zupełnie obojętni. Druga kategoria polityków rosyjskich to ci, którzy po prostu czują do Polski niechęć – z różnych powodów.

prasa.pl 26a741fd42

którzy uważają, że to my ich z założenia nie cierpimy, więc nie ma co się wychylać z życzliwymi gestami wobec Polski.

Jeśli więc szukamy w Rosji dialogu, to w tej pierwszej grupie, ale do tego musimy zwiększyć swoje znaczenie w Europie.

Czy wykorzystaliśmy to okienko w latach 2008–2012?

Była wola i chęć. Utworzono całą gamę struktur dwustronnych – poczynając od Grupy do Spraw Trudnych i Forum Obywatelskiego, miały miejsce wizyty przywódców obu krajów, wskaźniki ekonomiczne poszły w górę, wprowadzono mały ruch graniczny… Korzyści były obustronne – bo z Rosją też może być sytuacja *win-win*.

Dokładnie w połowie tego okresu miała miejsce katastrofa smoleńska – najpierw była ona bodźcem do wzajemnych ciepłych gestów, także na poziomie społeczeństw – pod polską ambasadą składano kwiaty – ale potem stała się zarzewiem nieporozumień – dlaczego?

Rosjanie postąpili jak zwykle, czyli odmówili całkowicie przyjęcia jakiejkolwiek odpowiedzialności za to, co się stało, choć wiemy, że były nieprawidłowości na przykład po stronie rosyjskich kontrolerów lotów. Sprawa katastrofy to jednak przede wszystkim *test case* zdolności Polski do efektywnego działania wobec Rosji w sytuacji kryzysowej. Niestety nie wypadł od dobrze. Pokazaliśmy bowiem zbyt mało „siły" – mam na myśli oczywiście stanowczość i siłę polskiego państwa, nadmiernie zaufaliśmy drugiej stronie. Nie mieliśmy też jednoznacznych czerwonych linii, nieraz oburzaliśmy się o nieistotne sprawy, innym razem przemilczaliśmy kwestie kluczowe. I wreszcie po międzynarodową solidarność sięgnęliśmy nie w opozycji do Rosji, ale do siebie nawzajem.

Największym błędem było jednak to, że podzieliliśmy się i skłóciliśmy wewnętrznie. Politycy obu stron obrzucali się wzajemnie oskarżeniami. W efekcie nie byliśmy w stanie jako państwo prezentować spójnej i jednoznacznej linii wobec Rosjan. Co więcej, odpuściliśmy sobie w istocie kluczowe cele, takie jak pomnik na miejscu katastrofy, o którym dzisiaj nikt już nie pamięta.

Według Pani, Polska po 2015 roku wycofała się z fundamentalnego sporu z Rosją o granice Zachodu. To powinno przecież sprawić, że rozmowa z Moskwą winna być łatwiejsza.

Myśmy nie wycofali się z tego sporu w wyniku świadomej decyzji politycznej. To był jedynie skutek uboczny polityki wewnętrznej, polityki wobec Unii Europejskiej oraz wobec Ukrainy. Kwestionując idee liberalnego świata, jak trójpodział władzy, wchodząc w spór z Brukselą o praworządność oraz w polemiki z Ukraińcami odnośnie do wspólnej historii, przestaliśmy być ambasadorem idei zachodniej, liberalnej demokracji na Wschodzie. To z pewnością leżało w interesie Rosji, ale jednocześnie spadła nasza pozycja w oczach samych Rosjan. Można

eprasa.pl 26a741fd42

by więc sądzić, że teraz powinno być nam łatwiej rozmawiać z Rosjanami, ale redukując nasze znaczenie w świecie, zredukowaliśmy nasz potencjał w rozmowach ze wschodnim sąsiadem. Innymi słowy: Polska dla Rosji była ważna dopóty, dopóki odgrywała rolę w sporze o granice Zachodu, gdy przestała odgrywać tę rolę, jej znaczenie zmalało. Ten konflikt był bodźcem, by nas poważnie traktować.

Jednocześnie szereg problemów zostało: kwestia wraku tupolewa, problemy historyczne, kwestia bezpieczeństwa Polski w kontekście wojny na Ukrainie, a także rosyjskich ingerencji w naszą przestrzeń polityczną, informacyjną i społeczną.

Jesteśmy, po USA i Kanadzie, w czołówce państw pomagających militarnie Ukrainie. To by świadczyło, że jednak bierzemy udział w sporze na linii Wschód–Zachód.

Wojnę na Ukrainie polski rząd obecnie traktuje jako wyzwanie dotyczące *stricte* zagadnienia bezpieczeństwa. Tamten spór był sporem o granice cywilizacji, był sporem o wartości i sposób życia całych społeczeństw. Pomagając teraz Ukraińcom, nie bierzemy udziału w dyskusji o stanie demokracji w tym państwie, jedynie wzmacniamy sojusznika skonfliktowanego z naszym potencjalnym przeciwnikiem.

Jakie mamy dziś pole manewru w stosunkach z Rosją?

Coraz mniejsze, choć wciąż możemy więcej, niż teraz robimy. Sytuacja cały czas się zmienia, zmieniają się, i to na gorsze, uwarunkowania globalne i regionalne. Jeśli chodzi o bezpośrednie relacje polsko-rosyjskie, to pole do zwiększenia naszej wagi w tych relacjach leży między innymi nad Dnieprem, bo, jak mówiłam, mając przyjacielskie stosunki z Ukrainą, znaczymy w oczach Rosjan więcej.

Po zwycięstwie Wołodymyra Zełenskiego pojawiła się szansa na poprawę sytuacji. Mamy bowiem do czynienia z partnerem, o którym co prawda wciąż mało wiemy, ale który przywiązuje mniejszą wagę do kwestii historycznych, więc rozmowa z nim może być łatwiejsza. Początek nie jest jednak zbyt dobry – nowy prezydent Ukrainy wybrał się do Brukseli, Berlina, Paryża i Kanady. W Polsce był 1 września, ale była to jedynie wizyta wielostronna podczas obchodów rocznicowych, a my potrzebujemy spotkań dwustronnych poświęconych relacjom polsko-ukraińskim.

By poszerzyć nasze pole manewru, musimy jednak przede wszystkim odbudować pozycję w Unii Europejskiej oraz w regionie. Tylko pozornie możemy uważać, że sytuacja jest zadowalająca, bo sankcje wobec Rosji zostały utrzymane do początku 2020 roku. Obserwuję bowiem w Europie zmianę polityki względem Moskwy. Widać, że podjęto już prace nad ociepleniem klimatu: wycofano się z ostracyzmu wobec Rosji w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy, przywracając jej tam głos; Peter Altmaier, niemiecki minister gospodarki i energii, pofatygował się do Rosji, gdzie podpisał umowę o współpracy; Dmitrij Miedwie-

eprasa.pl 26a741fd42

diew był goszczony w Paryżu, a Emmanuel Macron zaprosił Władimira Putina do swojej letniej rezydencji – oznacza to nie tyle oficjalne spotkanie, ile przyjacielską wizytę.

Powodem zmiany podejścia do Rosji najważniejszych europejskiej graczy jest zmiana globalna. W obliczu napięć amerykańsko-chińskich Europa chce zamykać drugorzędne fronty. Gdyby doszło do dramatycznego pogorszenia sytuacji międzynarodowej, Berlin i Paryż chcą mieć w Moskwie partnera, a nie przeciwnika. To dla Polski, która pozostałaby na marginesie Unii Europejskiej i domagałaby się dalszych sankcji wobec Rosji, scenariusz bardzo niebezpieczny.

Jak wytłumaczyć politykę Warszawy wobec przywrócenia Rosji głosu w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy – byliśmy „za, a nawet przeciw"?

Zagubieniem. Szef Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jacek Czaputowicz ma przeczucie dotyczące sytuacji, o której mówiłam, i chciał zachować się konstruktywnie, by właśnie nie wylądować na marginesie, ale nie do końca chyba przemyślał swoje kroki. W efekcie najpierw, w maju podczas Komitetu Ministrów, poparliśmy przywrócenie Rosji głosu, a gdy to upubliczniono i doszło do głosowania, zaczęliśmy tę decyzję krytykować i oprotestowywać. Można docenić tę wolę „konstruktywnego" podejścia do Rosji Czaputowicza, ale akurat w sprawie sankcji powinniśmy być nieugięci, zaś swoją aktywność kreować na poziomie społeczeństwa, choćby przywracając mały ruch graniczny.

Czy Rosja jest dziś zagrożeniem dla Polski?

Nie powinniśmy już myśleć o Rosjanach w kategoriach dziewiętnasto- czy dwudziestowiecznych – że wejdą tu z wojskami i będą nas okupować, czego nie należy rozumieć jako zachęty do wykluczenia czynnika militarnego: Polska musi się zbroić i dbać o swoją armię. Niemniej dziś największe zagrożenie to ewentualne konsekwencje eskalacji konfliktu na Ukrainie – także społeczne i ekonomiczne. Po drugie, należy się obawiać politycznej, informacyjnej i biznesowej penetracji naszego kraju. Na te zagrożenia nie odpowie się, lokując tu kolejnych amerykańskich żołnierzy – oczywiście, oni powinni tu być, ale ważniejsza jest nasza pozycja w Unii Europejskiej. Musimy być silni w Europie, by nie podejmowano ponad naszymi głowami decyzji ekonomicznych i w sferze bezpieczeństwa niekoniecznie dla nas przychylnych.

W przypadku rurociągów Nord Stream nigdy jednak nie zdołaliśmy mieć pozycji, którą nasz niemiecki sojusznik bratby pod uwagę.

Tutaj mamy ewidentną kolizję interesów. Opór między innymi ze strony Polski spowolnił jednak projekt i spowodował, że jest on postrzegany w Europie jako kontrowersyjny. Niemcy i Unia Europejska zaangażowały się też w negocja-

eprasa.pl 26a741fd42

cje z Rosją mające na celu zagwarantowanie tranzytu gazu przez Ukrainę. Oczywiście wiemy, że te zobowiązania Rosji nie muszą być dotrzymane. Wpływ na politykę unijną nie oznacza, że wszystkie nasze interesy uda się przeforsować, ale że jesteśmy w stanie oddziaływać na kwestie dla nas absolutnie fundamentalne, takie jak na przykład utrzymanie sankcji, w sytuacji braku realnych ustępstw ze strony Kremla.

Przyjmijmy, że mimo obojętności Rosjanie czasem zajmują się Polską – co jest głównym ich celem?

Chodzi o uczynienie z Polski przedmiotu, a nie podmiotu polityki międzynarodowej. Czyli gra na to, by Polska jak najmniej liczyła się w świecie i miała jak najmniej sojuszników. Do tego nie potrzeba działań dyplomatycznych, wystarczy działalność mniej jawna. W przypadku relacji polsko-ukraińskich wszystko, co dzieli nasze kraje, może znaleźć się w polu zainteresowania rosyjskich służb – choćby organizacje skrajnie prawicowe i ludzie o poglądach antyukraińskich i antyeuropejskich.

Drugi przypadek: afera podsłuchowa. Wiele przesłanek mówi, że mogły w niej maczać palce rosyjskie służby, ale państwo polskie jest niezdolne, by zająć się tą sprawą i zbadać ją obiektywnie. To jest sygnał dla Rosji, że jesteśmy bezsilni.

Czyli Moskwie chodzi bardziej o izolację Polski niż podporządkowanie jej sobie?

Jedno może wynikać z drugiego. Polska mająca złe relacje z największymi graczami w Europie i niemogąca liczyć na wsparcie amerykańskiego sojusznika zajętego Chinami może popaść w zależność od Rosji. Mam na myśli taką zależność, gdy Rosjanie operują na naszym terytorium, a my nie mamy możliwości przeciwdziałania temu.

Czy polityk, który mówi o potrzebie rozmowy z Rosją, ma szanse wygrać wybory w Polsce?

Temat rosyjski od jakiegoś czasu nie jest przedmiotem debaty publicznej w Polsce i nikt nie zgłasza takich postulatów. Zapytałabym raczej, czy polski polityk, który działa na rzecz zbliżenia polsko-rosyjskiego na modłę węgierską, może utrzymać się przy władzy. Trudno to sobie wyobrazić, ale nie wykluczam tego.

Musiałoby się to wiązać z naszym rozejściem się z Europą, ze zmianą relacji amerykańsko-rosyjskich. Póki jednak nie wróci do Polski wrak Tu-154, nie widzę szans, by polskie społeczeństwo zaakceptowało zbliżenie z Rosją.

Jakie są inne warunki brzegowe, żeby zacząć rozmawiać z Rosjanami?

Tak jak dla nas ważny jest wrak, tak dla nich istotne są pomniki czerwonoarmiejców. Ich demontaż naprawdę został odebrany jako uderzenie w godność Rosjan i to we względnie szerokich kręgach. Łatwo nam bagatelizować te nastroje, bo tradycyjnie uważamy Rosję za kraj, gdzie

eprasa.pl 26a741fd42

życie ludzkie ma niską cenę i nie przywiązuje się wagi do humanitarnych wartości.

Może jakiś gest symboliczny mógłby tu pomóc, ale nie widzę – zresztą po obu stronach – woli, by inwestować we wzajemne relacje. Obie strony są usatysfakcjonowane względną wrogością.

Czyli jesteśmy skazani na kontakty konsularne – gdy Polak złamie sobie nogę na wakacjach w Petersburgu, to nasz konsul zadzwoni, gdzie trzeba, żeby pomóc, ale nic ponadto.

Nie jesteśmy. Powinniśmy politykę wobec Rosji prowadzić na wielu polach, a nie tylko w relacjach bilateralnych. Więcej wysiłku należy włożyć w to, by mieć zdolność oddziaływania na europejską politykę wobec Rosji. Możemy przywrócić mały ruch graniczny, możemy podjąć w Europie dyskusję o zniesieniu wiz dla Rosjan – adresatem tych gestów byłoby społeczeństwo rosyjskie. Powinniśmy mieć też więcej przedstawicielstw gospodarczych w Rosji, więcej programów skierowanych do rosyjskich organizacji pozarządowych.

Prowadząc taką politykę, trzeba mieć jednak w głowie większy obrazek, w którym mieści się też Unia Europejska i Ukraina. Polityka wobec Rosji robiona w oderwaniu od Ukrainy i Europy jest niebezpieczna.

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz jest dyrektorką ForumIdei, think tanku Fundacji Batorego. Z wykształcenia socjolożka i politolożka. Przez wiele lat związana z Ośrodkiem Studiów Wschodnich, później wiceminister spraw zagranicznych RP oraz w latach 2014–2016 ambasadorka Polski w Rosji. Od 2008 roku do 2012 roku zasiadała w Polsko-Rosyjskiej Grupie do Spraw Trudnych.

eprasa.pl 26a741fd42

Gazprom – rosyjski gigant na progu zmian

Marek Budzisz

Odnowione kierownictwo Gazpromu stoi przed szeregiem wyzwań. Stawką jest pozycja najważniejszej rosyjskiej firmy. Spółka przespała między innymi wzrost znaczenia gazu skroplonego LNG – teraz musi nadrabiać stracony czas.

Gdyby chcieć wymienić główne problemy, przed którymi stoi rosyjski gazowy gigant Gazprom, to lista musiałaby być długa. Jednak w najbliższych miesiącach firmie przyjdzie rozwiązać kilka najpoważniejszych: zmierzyć się z rosnącą konkurencją na rynku europejskim ze strony producentów i dostawców gazu skroplonego LNG, doprowadzić do zakończenia i sfinansowania niezmiernie ambitnych i kosztownych planów inwestycyjnych (Nord Stream 2, Turecki Potok, Siła Syberii) oraz przeprowadzić trudne rokowania z Kijowem w sprawie przedłużenia umowy tranzytowej i zaspokojenia roszczeń Ukrainy związanych z dotychczasowym kontraktem.

Na to nakłada się perspektywa pokoleniowej zmiany w koncernie, związana ze spodziewanym odejściem jego prezesa Aleksieja Millera, któremu w 2021 roku kończy się kontrakt menadżerski.

Zmiany kadrowe już się rozpoczęły. Ich tempo oraz głębokość świadczy również o tym, że koncern znalazł się w trudnym momencie swej historii, a nie można wykluczyć, iż na progu zmian o charakterze fundamentalnym.

Twardy i bezkompromisowy

Na początku lutego Gazprom poinformował, że z jego zarządu odchodzą dwaj wiceprezesi – odpowiadający za zaopatrzenie rosyjskiego rynku wewnętrznego Walerij Gołubiew oraz nadzorujący eksport Aleksandr Miedwiediew. Obserwatorzy porównali te zmiany do trzęsienia ziemia. Nie tylko dlatego, że ostatnie ruchy kadrowe na tym szczeblu miały miejsce w 2011 roku, ale również z tego powodu, że pozycja zdymisjonowanych, w strukturach firmy, ale również i państwa rosyjskiego, była znacznie wyższa, niźli mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać.

Dotyczy to w szczególności Miedwiediewa, który przyszedł do Gazpromu wraz z jego obecnym szefem Aleksiejem Millerem w 2001 roku, choć wcale nie należał

eprasa.pl 26a741fd42

do jego ekipy. Mało tego, ich wzajemne relacje były na tyle złe, że Miedwiediew po przyjacielsku doradził w swoim czasie, aby Miller „nie pokazywał się" w siedzibie odpowiadającej za eksport firmy Gazprom-Eksport, którym kierował Miedwiediew. Rosyjscy dziennikarze są przekonani, że pozycja tego ostatniego wynikała z protekcji, jaką cieszył się na najwyższych szczeblach rosyjskiej władzy. Nazywając rzeczy po imieniu, chodzi o poparcie Władimira Putina. Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku młody Miedwiediew mający za sobą pracę w austriackim Donau Banku (został tam wysłany w wyniku decyzji najwyższych władz Związku Radzieckiego) zaczął pracę w firmie IMAG, której zadaniem było między innymi wspieranie władz Petersburga w próbach ściągnięcia zagranicznych inwestycji. A jak wiadomo od lata 1991 roku za ten obszar aktywności petersburskiego merostwa odpowiadał późniejszy prezydent Rosji. Właśnie wtedy Miedwiediew zaczął współpracę z firmą Kineks, w której swe kroki w biznesie rozpoczynał Giennadij Timczenko, przyjaciel Putina, obecnie jeden z najbogatszych rosyjskich oligarchów (piąte miejsce na liście „Forbesa"), współwłaściciel Novateku, największej prywatnej firmy gazowej w Rosji. Założony przez Timczenkę Kineks (w 2014 roku w związku z sankcjami Timczeko sprzedał swój pakiet 44 procent akcji firmy) z czasem stał się firmą Gunvor, jednym z trzech największych światowych traderów ropy naftowej.

Rewolucja kadrowa w Gazpromie sprowadziła się do tego, że z firmy odeszli wszyscy członkowie jej wyższego kierownictwa, którzy przyszli do koncernu wraz z Aleksiejem Millerem.

Trzeba też pamiętać, że jeśli myślimy o Gazpromie jako o narzędziu państwa rosyjskiego w jego imperialistycznej i agresywnej polityce podporządkowywania sobie słabszych państw i dyktowania niekorzystnych warunków umów gazowych, to za te działania odpowiadał właśnie Miedwiediew. On negocjował kontrakty eksportowe, on uprawiał politykę „dziel i rządź", on uczynił z Gazpromu użyteczne narzędzie rosyjskiej ekspansji. Jego odejście jest, jak można przypuszczać, nie tylko symboliczne. Był on znany ze swej twardej i bezkompromisowej postawy w trakcie negocjacji. To on odpowiadał za brutalne rozmowy z Ukrainą oraz przerwanie w ich trakcie dostaw paliwa.

Zmiany, zmiany, zmiany

Wydawało się, że zmiany personalne na tym się zakończą, co byłoby świadectwem umacniania się pozycji Aleksieja Millera, jednak poszły one głębiej. W marcu z firmy odszedł Andriej Krugłow, odpowiadający za finanse człowiek „z ekipy Millera",

eprasa.pl 26a741fd42

natomiast będący członkiem zarządu Witalij Markiełow, który zachował swą pozycję we władzach firmy, przestał nadzorować inwestycje koncernu. Mianowano dwóch nowych wiceprezesów (Oleg Aksiunin i Elena Burmistrowa), a samą strukturę, czyli centralę giganta, czeka, jak zapowiedziano, pierwsza od dwudziestu lat głęboka reorganizacja. Nowy wiceprezes (Aksiunin) ma nadzorować inwestycje, w tym remonty istniejących sieci. Wraz z jego nominacją miał miejsce inny istotny fakt, a właściwie dwa – po pierwsze, na emeryturę odszedł Siergiej Prozorow, który jako członek zarządu firmy przez lata nadzorował ten obszar, a po drugie, koncern poinformował o odkupieniu od rosyjskich oligarchów Arkadija Rotenberga i Timczenki firm, które przez lata budowały dla niego gazociągi, co zresztą spotykało się z krytyką mniejszościowych, głównie zagranicznych akcjonariuszy, którzy uważali, że inwestycje te są zbyt kosztowne i w istocie służą do transferowania środków koncernu do zaprzyjaźnionych firm. Zmienia się też kierownictwo bloku „przetwórstwa" odpowiadające za energetykę oraz prezes kluczowej dla Gazpromu spółki córki – Gazprom-Niemcy. Burmistrowa, która doprowadziła w 2014 roku do podpisania umowy z Chinami, uchodzącej za największy sukces gazowego giganta ostatnich lat, była naturalną kandydatką na objęcie stanowiska po Miedwiediewie.

Według ekspertów Aleksiej Miller chce doprowadzić do zakończenia najważniejszych inwestycji realizowanych obecnie przez Gazprom i w ten sposób „oczyścić pole" przed swoim odejściem.

W kwietniu przestał sprawować swą funkcję Kirył Sieliezniew, przez szesnaście lat kierujący spółką Gazprom-Mieżregionał oraz odpowiadający za marketing koncernu. Sieliezniew stanął na czele firmy, która będzie operatorem projektu budowy fabryki chemicznej i instalacji do skraplania gazu LNG w Ust-Łudze. Pierwotnie projekt ten miał być realizowany przez spółkę Gazpromu i Shella, ale rosyjski koncern poinformował, że zmienia plany, rozszerza charakter inwestycji, którą będzie realizował z kontrolowanym niegdyś przez Rotenberga przedsiębiorstwem Rusgazdobycza. Obecnie 100 procent akcji spółki znajduje się w rękach Artema Obolenskiego, przewodniczącego Rady Dyrektorów SMP Banku, którego 100 procent kapitału kontroluje Arkadij Rotenberg z bratem Borysem. Po deklaracjach Gazpromu Shell wycofał się z udziału w przedsięwzięciu.

Koniec epoki Millera

Rewolucja kadrowa w Gazpromie w praktyce sprowadziła się do tego, że z firmy odeszli wszyscy członkowie jej wyższego kierownictwa, którzy przyszli do koncernu

eprasa.pl 26a741fd42

w latach 2001–2003 wraz z Aleksiejem Millerem. Pozostał jedynie Michaił Serieda, szef aparatu Millera. Komentatorzy byli zdania, że seria dymisji związana jest ze spodziewanym odejściem Millera.

Na początku czerwca, kiedy zbliżało się coroczne walne zgromadzenia Gazpromu, w świecie rosyjskich finansów rozeszły się pogłoski, że można spodziewać się wcześniejszej dymisji prezesa firmy, któremu kontrakt wygasa w 2021 roku. Symptomatyczna była reakcja rynku na te informacje – akcje firmy, które miesiąc wcześniej na wieść o planach wypłaty sutej dywidendy osiągnęły swe wieloletnie maksimum, podrożały jeszcze o 17,2 procent.

Rosyjscy eksperci są zdania, że Miller chce doprowadzić do zakończenia najważniejszych inwestycji realizowanych obecnie przez Gazprom, to jest budowy Nord Stream 2, europejskiej nitki Tureckiego Potoku oraz gazociągu Siła Syberii i w ten sposób „oczyścić pole" przed swoim odejściem. Osobnym problemem, który będzie musiał zostać rozstrzygnięty jeszcze w tym roku, jest przedłużenie kontraktu na tranzyt gazu przez terytorium Ukrainy oraz nowe pozycjonowanie się koncernu w związku z rozwojem rynku gazu skroplonego LNG i próbą nadgonienia przez firmy rosyjskie dystansu wobec głównych światowych graczy. W ostatnich oficjalnych wystąpieniach przedstawiciele rosyjskiego giganta gazowego musieli przyznać, że skroplony gaz ziemny LNG zaczyna stanowić dla niego istotną konkurencję. W 2018 roku jego sprzedaż w Europie wzrosła o 11 procent, do poziomu 72 miliardów metrów sześciennych.

Groźny Novatek

Oświadczenie kierownictwa Gazpromu o tym, że LNG zaczyna stanowić dla niego coraz większą konkurencję, ma też inny niezwykle interesujący wymiar. Koncern, który ma monopol na eksport gazu za pośrednictwem rur, przez długi czas lekceważył i blokował rozwój rosyjskiego sektora LNG. W efekcie Rosja, na tle innych wiodących światowych producentów, jest w tym obszarze znacznie zapóźniona. Nie dysponuje odpowiednią liczbą instalacji do skraplania, nie zbudowała terminali i nie ma odpowiednio wielkiej floty, aby transportować skroplony gaz. Ale tym segmentem rynku, który dla Gazpromu nie był atrakcyjny, zainteresował się inny rosyjski podmiot – prywatny koncern Novatek, kontrolowany przez oligarchów Leonida Michelsona i Giennadija Timczenkę (trzecie i piąte miejsce na rosyjskiej liście „Forbesa"), prywatnie przyjaciół Władimira Putina. I obecnie 95 procent gazu LNG, który na europejskim rynku wypiera surowiec dostarczany przez Gazprom, pochodzi właśnie z tego źródła. Novatek odpiera zarzuty Gazpromu, argumentując, że 65 procent jego sprzedaży skierowane jest na rynek azjatycki, ale nie brzmi to

eprasa.pl 26a741fd42

przekonująco. W kwietniu firma, przy okazji międzynarodowej konferencji producentów LNG w Szanghaju, poinformowała, że zawarła pierwsze kontrakty (2 miliony ton paliwa) z budowanego właśnie arktyczne LNG 2 z europejskimi pośrednikami, firmami Vitol i Repsol. Kontrakty przewidują, że kupujący może sprzedawać rosyjski gaz na całym świecie, a zatem to cena przesądzi, czy znajdzie się on w Europie, czy popłynie na przykład do Azji.

A może być jeszcze gorzej. W grudniu ubiegłego roku Novatek uruchomił ostatnie instalacje w swym flagowym projekcie Jamał LNG i osiągnął pełnię mocy przerobowych. Efekt? W lutym, jak alarmował w specjalnym liście skierowanym na Kreml, wówczas jeszcze wiceprezes Gazpromu Witalij Markełow, sprzedaż koncernu w Europie zmniejszyła się o 13 procent w porównaniu z tym samym miesiącem roku poprzedniego. W liście znalazły się też precyzyjne wyliczenia, ile rosyjski budżet traci (koncern szacuje, że tylko w 2018 roku 440 milionów dolarów) na działalności prywatnego Novateku. Chodzi o to, że Gazprom jest głównym płatnikiem podatków w Rosji, a firma Michelsona i Timczenki korzysta z licznych ulg i zwolnień związanych z inwestycjami. Co gorsza, Gazprom stanął wobec perspektywy dalszego pogorszenia sytuacji. Otóż w lutym rektor Petersburskiej Akademii Górniczej Władimir Litwinienko zaapelował w memoriale przesłanym na ręce Władimira Putina, aby Rosja, wykorzystując doświadczenia Novateku z jamalskim LNG, zbudowała specjalny „arktyczny klaster" produkcyjny, w którym można byłoby docelowo produkować i eksportować nie mniej niż 150 miliardów metrów sześciennych LNG.

Pożyczki i inwestycje

Litwinienko jest dobrym znajomym rosyjskiego prezydenta, promotorem jego pracy doktorskiej, więc nie jest to wystąpienie jedno z wielu, które można by lekceważyć. Co więcej, wyrażona przez niego propozycja odpowiada nie tylko trendom na światowym rynku, gdzie gaz LNG uzyskuje coraz większe znaczenie, ale również wpisuje się w dwa fundamentalne dla Kremla przedsięwzięcia – zwiększenie obecności Rosji w Arktyce oraz selektywne przyciągnięcie inwestorów z Zachodu, głównie z Europy, po to aby wzmacniać lobby opowiadające się za zmniejszeniem sankcji wobec Rosji, a przy okazji chcące dobrze zarobić na dostawach gazu skroplonego na europejski rynek, których wolumen w kolejnych latach, w ramach dywersyfikacji dostaw, będzie rósł. W czasie panelowej dyskusji przy okazji chińskiego spotkania inicjatywy Pasa i Szlaku, która miała miejsce pod koniec kwietnia w Pekinie, prezydent Putin oficjalnie poinformował, że Rosja ma zamiar w najbliższych latach zwiększyć swe moce skraplania gazu ziemnego do 100 miliardów metrów sześciennych, co oznacza, że decyzja polityczna już została podjęta. W przyjętej w maju ro-

eprasa.pl 26a741fd42

syjskiej „Doktrynie bezpieczeństwa energetycznego" również większe niźli dotychczas znaczenie przypisuje się rozwojowi rosyjskiego sektora LNG.

W obydwu tych kwestiach – zarówno budowie instalacji do skraplania gazu, jak i ekspansji w Arktyce – Novatek odgrywa kluczową rolę. Na marginesie warto zauważyć, że Putin, jak informują rosyjskie media, memoriał Litwinienki przekazał rządowym analitykom do oceny, co oznacza, że trwają właśnie przetargi w kuluarach rosyjskiej władzy. Na początku marca Novatek poinformował o podpisaniu umowy, w myśl której francuski państwowy koncern petrochemiczny Total kupi 10 procent w realizowanym przezeń projekcie Arktyka LNG. Łączna wartość transakcji to 2,25 miliarda dolarów, ale jeszcze większe znaczenie ma to, że Francuzi zobowiązali się do finansowania projektu (1,75 miliarda dolarów) o szacowanej łącznej wartości około 21 miliardów dolarów. Francuskie wsparcie kapitałowe i technologiczne, które sięgnie około 20 procent całości projektu, ma zasadnicze znaczenie dla realizacji przedsięwzięcia. Jesienią ubiegłego roku zarząd firmy alarmował rosyjskie władze o możliwości opóźnień planu inwestycyjnego i wystąpił o dofinansowanie z budżetu (15 miliardów dolarów), zaś Leonid Michelson, współwłaściciel i prezes zarządu, mówił w wywiadzie prasowym o tym, że trudności w pozyskaniu kapitału są jedną z trzech największych barier w realizacji projektu (dwie pozostałe to przygotowanie pól do eksploatacji i zdolności załadunku portu w Murmańsku). W trakcie niedawnego petersburskiego Forum Ekonomicznego poinformowano też, że 20 procent akcji w projekcie arktycznym Novateku kupią chińskie koncerny CNOOC i CNPC, co oznacza finansowe gwarancje dla realizacji przedsięwzięcia.

Kreml selektywnie przyciąga inwestorów z Zachodu, głównie z Europy, aby wzmacniać lobby opowiadające się za zmniejszeniem sankcji wobec Rosji.

Czy kadrowa karuzela się zatrzyma?

Odpowiedzią Gazpromu na te zagrożenia była decyzja o rozszerzeniu bałtyckiego projektu LNG w Ust-Ługdze. Po to, aby sfinansować wielkie potrzeby kapitałowe związane z inwestycjami, Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy firmy postanowiło o wypłacie rekordowo wysokiej dywidendy (393,2 miliarda rubli, czyli około 5,5 miliarda euro), co może oznaczać tylko jedno – koncern planuje ściągnięcie kapitałów z zagranicy. Jest to niezbędne, bo pod koniec lutego ceny gazu w kontraktach krótkoterminowych w holenderskim hubie TTF spadły do poziomu poniżej 200 dolarów za 1000 metrów sześciennych (na początku czerwca 138 euro za 1000 metrów

eprasa.pl 26a741fd42

sześciennych), co stanowi dla budżetu Gazpromu fundamentalne zagrożenie, jako że na 2019 rok budowany był on przy założeniu średnich cen na poziomie 248 dolarów za 1000 metrów sześciennych. W ubiegłym roku „dziura" w budżecie Gazpromu wyniosła 518 miliardów rubli – taką kwotę musiał pożyczyć koncern, aby realizować ambitne plany inwestycyjne. W roku bieżącym plany inwestycyjne firmy wynoszą 1,325 biliona rubli (18,6 miliarda euro). Po to, aby je zrealizować, koncern planował pożyczyć na międzynarodowych rynkach finansowych około 4,5 miliarda dolarów.

Gazprom, który ma monopol na eksport gazu za pośrednictwem rur, przez długi czas lekceważył i blokował rozwój rosyjskiego sektora LNG.

Niskie ceny gazu, drogie i kapitałochłonne inwestycje, narastająca konkurencja innych, w tym i rosyjskich producentów, kwestia terminowego zakończenia inwestycji i tranzyt gazu przez Ukrainę – to zasadnicze problemy, przed którymi stoi dziś odnowione kierownictwo Gazpromu. Jeśli sobie z nimi poradzi, z tego grona najpewniej wyłoniony zostanie przyszły prezes koncernu, jeśli zaś nie, to z pewnością będziemy mogli obserwować kolejny obrót kadrowej karuzeli.

Marek Budzisz jest dziennikarzem i analitykiem interesującym się posowieckim Wschodem. Z wykształcenia historyk. Ostatnio wydał *Koniec rosyjskiej Ameryki* (Kraków 2017). Stale publikuje w „Dzienniku Gazecie Prawnej", „Nowej Konfederacji", „Sieci", „Tygodniku TVP".

eprasa.pl 26a741fd42

Gruziński kocioł

Wojciech Wojtasiewicz

To lato w Tbilisi było niezmiernie gorące. Najpierw ogromne emocje wzbudził pierwszy w historii Gruzji Tydzień Dumy środowisk LGBT, następnie wizyta rosyjskiego deputowanego Siergieja Gawriłowa, która spowodowała wybuch protestów społecznych i w końcu finał sporu wokół telewizji Rustawi 2. Czy Gruzja weszła w okres poważnych turbulencji?

Napięcie wokół Tbilisi Pride utrzymywało się od kilku miesięcy. Organizatorzy wydarzenia zaplanowali konferencję międzynarodową, przedstawienie teatralne oraz marsz godności, który miał przejść głównymi ulicami miasta. To było już za wiele dla gruzińskiego społeczeństwa cechującego się konserwatyzmem i homofobią. Skrajna prawica zapowiedziała powołanie czegoś na kształt paramilitarnych straży, które miały nie dopuścić do przemarszu „sodomitów". Natomiast rząd z uporem maniaka podkreślał, że nie będzie w stanie zapewnić bezpieczeństwa uczestnikom zgromadzenia. Ostrzegano, że może dojść do rozlewu krwi, tak samo jak w 2013 roku, kiedy po raz pierwszy w centrum stolicy Gruzji manifestowali aktywiści LGBT.

– Demonstrowanie i wyrażanie poglądów jest naszym konstytucyjnym prawem. Przez ostatnie tygodnie policja naciskała, żebyśmy odwołali marsz. Rząd nie chciał narazić się konserwatywnemu elektoratowi i bardzo wpływowej Gruzińskiej Cerkwi Prawosławnej – podkreśla Mariam Kwarachelia, jedna z organizatorek Tbilisi Pride.

– Pierwszego dnia festiwalu ja i mój kolega otrzymaliśmy anonimowe SMS-y z groźbami śmierci. Ponadto musieliśmy uciekać z naszego biura, które zostało otoczone przez bojówkarzy skrajnej prawicy – mówi Giorgi Tabagari, twarz medialna przedsięwzięcia.

Organizatorzy napotkali szereg problemów: począwszy od znalezienia sali na planowane wydarzenia, a skończywszy na własnym bezpieczeństwie. Ostatecznie spektakl pokazany został w kościele baptystycznym na obrzeżach miasta, a impreza festiwalowa odbyła się w zakamuflowanym klubie w pełnej konspiracji z udziałem własnych ochroniarzy.

Tbilisi Pride wywoływał ogromne emocje oraz dyskusje w telewizji, na łamach prasy, na ulicy. W końcu prawa (a raczej ich brak) osób LGBT znalazły się w centrum debaty publicznej.

eprasa.pl 26a741fd42

– W ostatnich tygodniach widoczna była zdecydowana zmiana postawy większości polityków. Wszyscy dyskutują o mniejszościach seksualnych i ich prawach. Wcześniej zbywali temat milczeniem. To początek walki środowiska LGBT w Gruzji – mówi Chatuna Samnidze, liderka Partii Republikańskiej, jednej z niewielu sił politycznych wspierających tęczowych aktywistów.

Organizatorzy do ostatniej chwili wahali się, czy zdecydować się na marsz w centrum miasta. Władza proponowała alternatywne miejsca o charakterze zamkniętym, takie jak klub nocny czy stadion, wskazując na kwestię bezpieczeństwa. Aktywiści odrzucali taki wariant. Gruzińska Cerkiew Prawosławna apelowała do rządzących, aby zakazać zgromadzenia. Wreszcie zapadła ostateczna decyzja – maszerujemy!

Jednak niespodziewanie w Tbilisi wybuchł poważny kryzys polityczny i sprawy LGBT zeszły na drugi plan, a planowany na 8 lipca marsz stanął pod znakiem zapytania.

Prowokacja czy niedopatrzenie?

20 czerwca w gruzińskim parlamencie rozpoczęły się obrady Zgromadzenia Parlamentarnego Państw Prawosławnych. Przewodził im wiceprzewodniczący Dumy Państwowej Federacji Rosyjskiej Siergiej Gawriłow, który zasiadł w fotelu spikera gruzińskiej legislatywy i zaczął przemawiać po rosyjsku. Obrazek ten wywołał polityczny wstrząs. Rosja przecież, która w 2008 roku napadła militarnie na Gruzję, uznała niepodległość Abchazji i Osetii Południowej (około 20 procent obszaru Gruzji). Tbilisi uznaje te separatystyczne terytoria za okupowane przez Rosję. Kierownictwo polityczne Kremla jest, najdelikatniej rzecz ujmując, niezbyt lubiane w Gruzji. Deputowani gruzińskiej opozycji przepędzili Gawriłowa, posiedzenie zostało przerwane. Rosjanie opuścili Tbilisi, a na wieczór siły antyrządowe zwołały wiec przed parlamentem. Pojawiło się około 20–30 tysięcy ludzi. Początkowo pokojowa demonstracja przerodziła się w krwawą bitwę pomiędzy częścią wiecujących a policjantami. Gdy zachęcani przez polityków opozycji uczestnicy protestu chcieli wedrzeć się do budynku parlamentu, w ruch poszedł gaz łzawiący, kule gumowe i armatki wodne. 240 osób zostało rannych, w tym 80 funkcjonariuszy policji. Trzy osoby częściowo straciły wzrok.

Rząd oskarżył opozycję o próbę zamachu stanu, a opozycja rząd o wysługiwanie się Moskwie. Demonstranci jeszcze liczniej zebrali się przed parlamentem kolejnego dnia. Tym razem protestom przewodzili młodzi ludzie – studenci, przedstawiciele organizacji pozarządowych, artyści. Zaprezentowano listę żądań: dymisję przewodniczącego gruzińskiego parlamentu Irakliego Kobachidzego i ministra spraw wewnętrznych Giorgiego Gacharii odpowiedzialnego za policję, zmianę systemu wyborczego i uwolnienie zatrzymanych. Obóz władzy zdecydował się na ucieczkę

eprasa.pl 26a741fd42

do przodu. Potępiono incydent, spiker ustąpił, aresztowanych wypuszczono, o dziwo, rząd zgodził się na zmianę ordynacji wyborczej, jednak szef resortu spraw wewnętrznych broniony był z uporem godnym lepszej sprawy. Gacharii nie zamierzali odpuścić protestujący, którzy przez cały lipiec, w większej bądź mniejszej liczbie, co wieczór gromadzili się w centrum Tbilisi.

Zmiana ordynacji wyborczej będzie miała niebagatelne znaczenie. Dotychczas obowiązywał system mieszany, w którym połowa deputowanych wybierana była w jednomandatowych okręgach wyborczych, co zawsze faworyzowało partię rządzącą: wcześniej Zjednoczony Ruch Narodowy Micheila Saakaszwilego, obecnie Gruzińskie Marzenie Bidziny Iwaniszwilego. Po kolejnych wyborach, które planowo mają odbyć się jesienią przyszłego roku, parlament może być rozdrobniony i zmuszony wyłonić rząd koalicyjny. Z jednej strony może to mieć pozytywny wpływ na rozwój systemu politycznego i partyjnego Gruzji, z drugiej zaś w legislatywie może znaleźć się wiele skrajnych i prorosyjskich sił, ponieważ zniesiony zostanie próg wyborczy, który dotychczas wynosił 5 procent.

Rosjanie uznali protesty w Tbilisi za kolejny przykład antyrosyjskiej prowokacji.

Prób wytłumaczenia tego, co się stało 20 czerwca w Tbilisi, było wiele. Jedni twierdzili, że była to starannie zaplanowana rosyjska prowokacja, inni zaś, że zawinił częsty w Gruzji bałagan. Po prostu nikt nie pomyślał, że rosyjski polityk siedzący w jednym z najważniejszych foteli w kraju może wywołać taki gniew społeczny. Premier Mamuka Bachtadze był zdziwiony wizytą rosyjskiego kolegi. Gruzini to dumny i emocjonalny naród, dla którego wspomniana scena była jak policzek. W końcu niektórzy sądzą, że rząd chciał występem Gawriłowa odciągnąć uwagę społeczną od Tbilisi Pride. Jednak ta wersja wydaje się najmniej prawdopodobna. Aktywiści LGBT zdecydowali o przesunięciu marszu godności na późniejszy termin z powodu napiętej sytuacji politycznej. Ostatecznie niewielka, około trzydziestopięcioosobowa demonstracja działaczy LGBT, będąca namiastką planowanego marszu godności, odbyła się 8 lipca przed budynkiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na obrzeżach miasta.

Moskwa reaguje

Rosjanie uznali protesty w Tbilisi za kolejny przykład antyrosyjskiej prowokacji. Władimir Putin ogłosił, że od 8 lipca wstrzymane zostaną połączenia lotnicze pomiędzy Rosją a Gruzją, co z pewnością uderzy w gruzińską gospodarkę, której jednym z filarów jest turystyka. A to właśnie Rosjanie stanowią największą grupę osób odwiedzających Gruzję (1,7 miliona w 2018 roku). Po tej zapowiedzi Gruzini spon-

eprasa.pl 26a741fd42

tanicznie rozpoczęli akcję w mediach społecznościowych: „Spędź lato w Gruzji", mającą na celu zachęcenie turystów z całego świata do zawitania na Kaukaz Południowy. Ponadto można było usłyszeć pomrukiwania Kremla, że jeśli Tbilisi nie spuści z tonu (prezydent Salome Zurabiszwili po zaistniałym incydencie nazwała Rosję wrogiem i okupantem), to rozpoczęte zostaną intensywne kontrole jakości gruzińskich win i wody mineralnej Borjomi. Zapachniało groźbą wprowadzenia analogicznych jak w 2006 roku sankcji. W 2013 roku zostały one zniesione i Rosja ponownie stała się jednym z kluczowych partnerów handlowych Gruzji. Pomimo to kraje nie utrzymują stosunków dyplomatycznych. Tbilisi zerwało je po wojnie sierpniowej w 2008 roku. Jak dotąd Moskwa nie zdecydowała się na użycie kolejnych instrumentów gospodarczego nacisku na Tbilisi. Jednak nie można wykluczyć, że wróci do tego pomysłu, jeśli sytuacja ulegnie dalszemu zaostrzeniu.

Siła nabywcza gruzińskiego pieniądza maleje, przez co Gruzini masowo się zadłużają, nie starcza im „do pierwszego".

A różnego rodzaju wzajemnych zadrażnień nie brakuje. Na początku lipca dziennikarz Giorgi Gabunia na antenie stacji telewizyjnej Rustawi 2 w niewybredny sposób, używając niecenzuralnych słów, obraził Władimira Putina. Zachowanie to skrytykowali prezydent, premier i przewodniczący parlamentu Gruzji, uznając je za niemądrą prowokację. Rosjanie natomiast cały czas podsycają atmosferę wokół separatystycznych republik. Ostatnio wspólnie z Abchazami zapowiedzieli uruchomienie międzynarodowych lotów z lotniska w Suchumi.

Jesteśmy zmęczeni!

Czerwcowo-lipcowe protesty nie miały tylko charakteru antyrosyjskiego, lecz również antyrządowy. Gruzini, w tym przede wszystkim młodzi ludzie, zmęczeni są trudną sytuacją społeczno-ekonomiczną w kraju (dla 73 procent bezrobocie jest największym problemem, a 66 procent uważa, że kraj zmierza w złym kierunku) i wieloletnim klinczem politycznym pomiędzy obozami Iwaniszwilego i Saakaszwilego. Około 30 procent wyborców nie potrafi wskazać partii, na którą chciałoby głosować. Gruzińskie Marzenie nie spełniło obietnic wyborczych o charakterze socjalnym. Gospodarka rozwija się w średnim tempie, rosną ceny, żyje się generalnie ciężko. Na domiar złego od kilku lat traci na wartości gruzińska waluta – lari (pod koniec lipca padł kolejny rekord). Siła nabywcza gruzińskiego pieniądza maleje, przez co Gruzini masowo się zadłużają, nie starcza im „do pierwszego".

Pojawienie się Gawriłowa w Tbilisi stało się katalizatorem skrywanej złości ogromnej części społeczeństwa. Do tej pory dominowała raczej apatia i ogólne zniechęce-

eprasa.pl 26a741fd42

nie do polityki. Politycy opozycji posaakaszwilowskiej od razu zwąchali okazję, aby zawalczyć o powrót do władzy. Ale nic dwa razy się nie zdarza: powtórki z rewolucji róż z 2003 roku, która wyniosła do władzy Micheila Saakaszwilego, nie będzie.

– Gruzja jest już na innym etapie rozwoju. Zmiana władzy musi następować w wyniku demokratycznych wyborów, a nie na ulicy. Aspirujemy do członkostwa w Unii Europejskiej, musimy spełniać określone standardy – deklaruje Nino Lomouri z Biblioteki Prezydenckiej Micheila Saakaszwilego.

Organy ścigania zdecydowały się aresztować i postawić zarzuty zorganizowania, przewodzenia i uczestniczenia w masowej przemocy przed parlamentem 20 czerwca dwóm politykom opozycji – Nikowi Melii (Zjednoczony Ruch Narodowy) oraz Irakliemu Okruaszwilemu (Zwycięska Gruzja). Ponadto zatrzymanych zostało kilkunastu innych uczestników zamieszek.

– Poczucie represji politycznych w kraju jest obecnie znacznie silniejsze, niż było jeszcze kilka miesięcy temu – mówi Bubu Gwadzabia, dziennikarz gruzińskiego portalu Netgazeti.ge.

Siła młodych, problemy dojrzałych

Młodzi ludzie odrzucają obydwa obozy polityczne. Protestują przeciwko rządowi, ale nie chcą powrotu poprzedniej ekipy. Trzeciego dnia demonstracji, kiedy na scenę wgramolił się przyciężkawy były mer Tbilisi i stronnik Saakaszwilego, Gigi Ugulawa, tłum wygwizdał go i obrzucił butelkami. Gruzini mają serdecznie dosyć zarówno faktycznego zarządcy kraju, najbogatszego Gruzina, Bidziny Iwaniszwilego, którego majątek szacowany jest na 5–6 miliardów dolarów, jak i byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego. Pomimo że Misza od ponad pięciu lat przebywa na emigracji (w kraju ciąży na nim kilka wyroków), wciąż pozostaje nieformalnym liderem opozycji.

Czy z letnich protestów może wyłonić się nowa siła polityczna, która w przyszłości przejmie władzę w kraju? Na chwilę obecną trudno powiedzieć. Może jeśli powstanie i nawet nie odniesie spektakularnego zwycięstwa w kolejnych wyborach, to stanie się jaskółką czegoś nowego i ożywczego dla gruzińskiego społeczeństwa, które desperacko oczekuje na poprawę bytu.

Na razie powołanie jesienią nowego ruchu politycznego, którego celem ma być zjednoczenie kraju i utrzymanie niepodległości i wolności, zapowiedział założyciel i do niedawna szef jednego z największych gruzińskich banków, TBC, Mamuka Chazaradze. Jednak zbierają się nad nim ciemne chmury. W lipcu, wraz ze swoim zastępcą, usłyszał zarzuty prokuratorskie dotyczące domniemanego prania pieniędzy. Sprawa ma dotyczyć transakcji w wysokości 17 milionów dolarów z 2008 roku do-

eprasa.pl 26a741fd42

konanej przez jego bank. Chazaradze uważa oskarżenia za wymyślone i podkreśla, że prawdziwym powodem ataku na jego bank jest chęć utrącenia projektu budowy nowego gruzińskiego portu nad Morzem Czarnym w miejscowości Anaklia. TBC jest jednym z głównych udziałowców w tym przedsięwzięciu, które wzmocniłoby pozycję Gruzji jako kraju tranzytowego łączącego Europę z Azją. Bankowiec twierdzi, że w rzeczywistości obóz władzy chce, aby kontrolę nad jego budową przejęły środowiska biznesowe związane z Bidziną Iwaniszwilim.

Bitwa o telewizję

Kolejnym wstrząsem tegorocznego lata był finał wieloletniego sporu w sprawie prawa własności do jednej z dwóch największych i najczęściej oglądanych stacji telewizyjnych w Gruzji – Rustawi 2. Telewizja związana była z opozycją, a jej szefem był współpracownik Micheila Saakaszwilego, Nika Gwaramia. Europejski Trybunał Praw Człowieka nie dopatrzył się nieprawidłowości w wyroku Gruzińskiego Sądu Najwyższego z marca 2017 roku zatwierdzającego rozstrzygnięcie sądu niższej instancji mówiącego o zmianie właścicieli stacji z braci Karamaniszwili (blisko związani z Micheilem Saakaszwilim) na poprzedniego współwłaściciela – biznesmena Kibara Chalwasziego (powiązany z obecnym obozem władzy). Jednak sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Chalwaszi miał przejąć Rustawi 2 na zasadzie wymuszenia z rąk jej pierwotnych właścicieli i założycieli na polecenie władz gruzińskich po rewolucji róż w 2005 roku. Pieniądze na ten cel miał dostarczyć minister obrony i bliski współpracownik ówczesnego prezydenta Saakaszwilego, Irakli Okruaszwili.

Młodzi ludzie protestują przeciwko rządowi, ale nie chcą powrotu poprzedniej ekipy Saakaszwilego.

Wyrok Trybunału oznacza, że opozycja straci swoją główną tubę propagandową. Decyzja ta zachwieje równowagą medialną w Gruzji, co ma szczególne znaczenie przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi. Telewizja w dalszym ciągu dla 85 procent Gruzinów pozostaje głównym źródłem informacji.

Będzie ciepła jesień

Demonstracje cały czas się tlą, jednak nie są już tak liczne, jak w pierwszych tygodniach, czemu nie ma co się dziwić. Trudno utrzymać permanentny stan politycznej mobilizacji wśród protestujących. Ich finałem raczej nie będzie dymisja ministra Gacharii. Mogą jednak ponownie nabrać siły już tej jesieni, jeśli Rosja zdecyduje się

eprasa.pl 26a741fd42

na sankcje wobec Gruzji. Punktem zapalnym może być również kolejny nieprzemyślany krok rządu, który wzburzy gruzińską opinię publiczną. Taki przebieg wypadków może zaś doprowadzić do przedterminowych wyborów i odsunięcia od władzy Gruzińskiego Marzenia. Obecnie na partię rządzącą chciałoby głosować 26 procent, a na Zjednoczony Ruch Narodowy 22 procent wyborców. Zachowanie zasad demokracji bądź ich złamanie w trakcie wyborów, swoboda demonstrowania, wolność biznesu, szeroko pojęte swobody obywatelskie, w tym również stosunek władzy do środowiska LGBT pokażą, czy Gruzja jest krajem, który na serio traktuje swoje aspiracje europejskie. Kolejne miesiące w Gruzji zapowiadają się gorąco. I nie chodzi tu tylko o ciepłą kaukaską jesień.

eprasa.pl 26a741fd42

Przyjaźń nieprzyjaciół z Północy

Juliusz Dworacki

Współczesne stosunki fińsko-rosyjskie, choć już nie są oparte na doktrynie finlandyzacji z czasów zimnej wojny, nadal cechują się nieufnością i powodują ustępstwa polityczne ze strony Finlandii w celu uniknięcia konfliktu dyplomatycznego, militarnego oraz hybrydowego.

Historia specyficznego sąsiedztwa Finlandii i Związku Radzieckiego (a następnie Rosji) stanowi szczególny przypadek w dziejach europejskich stosunków międzynarodowych. „Finlandyzacja" po rozpadzie ZSRR nie była wymogiem obowiązującym w stosunkach fińsko-rosyjskich, niemniej dużo jej elementów przetrwało do dziś jako forma realizacji interesów Helsinek i ochrony bezpieczeństwa narodowego. Dziś Finlandia musi zmagać się z próbami wywierania wpływu przez Moskwę na politykę wewnętrzną, co może przejawiać się w postaci zagrożeń hybrydowych.

Kreml kiwa palcem

Po II wojnie światowej Finlandia, walcząca po stronie państw Osi, uniknęła losu krajów Europy Środkowo-Wschodniej i nie stała się krajem satelickim ZSSR. Utraciła natomiast część terytoriów, w tym istotną gospodarczo Karelię. W 1948 roku w Moskwie władze obydwu państw podpisały „Układ o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej", będący podstawą dla całokształtu stosunków dwustronnych aż do końca zimnej wojny. Dokument ten przewidywał współpracę w zakresie obrony przed agresją na terytorium ZSRR przez terytorium Finlandii i konsultacje władz obydwu państw w razie zagrożenia. Państwa zobowiązywały się do niewstępowania w sojusze skierowane przeciwko sobie. Istotną częścią dokumentu była preambuła, w której Finlandia wyrażała wolę pozostania poza głównym nurtem polityki wielkich mocarstw jako kraj neutralny. Sformułowanie to było w kolejnych latach wykorzystywane przez fińskie władze jako wyjaśniające kierunek polityki zagranicznej kraju.

Specyficzny system stosunków fińsko-radzieckich dał podstawy do ukucia terminu „finlandyzacja", oznaczającego ustępstwa słabszego kraju wobec mocarstwa i zgodę na częściową ingerencję w politykę zagraniczną, za cenę swobody w polityce

eprasa.pl 26a741fd42

wewnętrznej i ustroju państwa. Finlandia przyjęła to podejście jako polityczny dogmat w wierze, że zaufanie Kremla i gwarancja neutralności pozwolą na względnie dużą swobodę działania za granicą. Położenie geopolityczne Finlandii nie stawiało jej wprawdzie na pierwszym miejscu wśród obiektów zainteresowania Kremla, ale mogła stanowić zagrożenie militarne dla północno-zachodnich terenów ZSRR i dla Leningradu. Pod tym względem podpisany układ zabezpieczał interesy radzieckie bez konieczności stałej ingerencji w życie polityczne kraju.

Każde ryzyko zmiany linii politycznej Finlandii niosło za sobą groźbę ostrej reakcji Kremla. Próba powołania do życia socjaldemokratycznego rządu w 1958 roku i start prawicowego kandydata w wyborach prezydenckich w 1961 roku pociągnęły za sobą pośrednią interwencję Moskwy i krótkotrwałe, ale znaczące dla polityki wewnętrznej kryzysy polityczne. Z biegiem czasu Finowie nauczyli się przewidywać niektóre posunięcia Moskwy. Finlandia nie przystąpiła ani do struktur EWG i EFTA (członkostwo od 1986 roku), ani do NATO, posiadała natomiast od 1973 roku status obserwatora przy RWPG. Mało chlubną kartą w historii finlandyzacji była częściowa autocenzura mediów i unikanie negatywnych treści dotyczących ZSRR.

Krążą spekulacje, że Kekkonen był agentem KGB lub agentem wpływu Kremla w Finlandii.

Podstawę finlandyzacji stanowiła osoba prezydenta Urho Kekkonena (1900–1986), prezydenta w latach 1956–1981. Ten budzący kontrowersje polityk, określany dziś nierzadko mianem autokraty, przez prawie dwadzieścia pięć lat był nieformalnym gwarantem zachowania *status quo* w stosunkach fińsko-radzieckich, osobą wręcz pożądaną przez Kreml na tym stanowisku. Jego władza miała cechy reżimu *quasi*-autorytarnego, aczkolwiek nie można mówić o zaniku demokracji. Pozycja względem Kremla dawała Kekkonenowi możliwość znacznego oddziaływania na politykę krajową, w tym system partyjny i politykę zagraniczną Finlandii. Kekkonen wygrywał kolejno wybory prezydenckie w 1962, 1968 i w 1978 roku (przedostatnia kadencja trwała aż dziesięć lat, przedłużona specjalną ustawą o cztery kolejne lata przez parlament w 1973 roku). Kekkonen był też jednym z inicjatorów propokojowej polityki Finlandii w latach siedemdziesiątych XX wieku, przyczynił się do organizacji w Helsinkach Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE).

Na temat Kekkonena do dziś krążą spekulacje, że był mniej lub bardziej świadomym agentem KGB lub agentem wpływu Kremla w Finlandii. Nie są znane jakiekolwiek dokumenty potwierdzające ten fakt, niemniej prezydent miał szerokie kontakty w Moskwie, a także w radzieckiej ambasadzie, gdzie znajdowała się rezydentura KGB, z której przedstawicielami Kekkonen odbywał spotkania. Mimo kontrowersji

eprasa.pl 26a741fd42

Urho Kekkonen został w styczniu 2018 roku wybrany w ogólnokrajowym sondażu jako najbardziej ceniony fiński prezydent w historii.

Moskwa, czyli lęk

Odejście Urho Kekkonena z urzędu oraz przekształcenia wynikające z radzieckiej pierestrojki doprowadziły do zmian w polityce neutralności. Wypromowano wizerunek Finlandii jako miejsca negocjacji, w 1990 roku w Helsinkach gościli w kontekście kryzysu irackiego prezydenci USA i ZSRR: George H.W. Bush i Michaił Gorbaczow. Finlandia zachowała daleko idącą wstrzemięźliwość podczas rozpadu ZSRR rok później, długo zwlekając z uznaniem *de iure* niepodległości krajów bałtyckich. W 1992 roku Finlandia podpisała nowy układ o sąsiedztwie z Federacją Rosyjską, ale jednocześnie przystąpiła do procesu integracji politycznej z Zachodem – w 1995 roku dołączyła do Unii Europejskiej, a w 2002 roku jako jedyny kraj nordycki przyjęła walutę euro.

Zaangażowanie w sprawy europejskie i nordyckie jest filarem polityki zagranicznej Finlandii, ale równie istotne są też dobrosąsiedzkie relacje z Rosją. Nie są one wolne od obaw i poczucia niepewności. Moskwa jest postrzegana w Finlandii jako zagrożenie dla suwerenności i mimo zapewnień o dobrych i stabilnych relacjach ze strony fińskiej wyczuwalna jest nieufność i obawa przed geopolitycznymi zamiarami Kremla. W związku ze współdzieleniem ponad 1300 kilometrów granicy Finlandia jest niejako zmuszona do prowadzenia wyważonej polityki względem wschodniego sąsiada. Jak dotąd nie było u władzy polityka popierającego zerwanie poprawnych relacji z Rosją. Ich prowadzenie najczęściej jest domeną prezydenta, wobec którego oczekuje się, że będzie stanowić przykład wyważonej, zrównoważonej i godnej reprezentacji kraju. Od 2012 roku funkcję tę pełni konserwatysta Sauli Niinistö – polityk ostrożny i umiejący porozumieć się z Moskwą. Powrócił też do idei spotkań przywódców światowych w Helsinkach poprzez współorganizację szczytu Trump–Putin w lipcu 2018 roku. Warto dodać, że prezydent Rosji gościł w Helsinkach od 2000 roku łącznie ośmiokrotnie.

Finlandia zachowała daleko idącą wstrzemięźliwość podczas rozpadu ZSRR, długo zwlekała z uznaniem *de iure* niepodległości krajów bałtyckich.

Rosja pozostaje również ważnym partnerem handlowym dla Finlandii, nie jest już jednak tak dużym rynkiem zbytu, jakim była w czasach zimnej wojny i przed wprowadzeniem sankcji przez Unię Europejską w związku z aneksją Krymu. W ich wyniku ucierpiał przede wszystkim sektor żywności. Obecnie, według danych za

eprasa.pl 26a741fd42

rok 2018, Rosja jest szóstym pod względem ilości eksportu partnerem handlowym Finlandii (5,2 procent ogółu wymiany handlowej). Najwięcej sprzedaje się maszyn i wyposażenia transportowego (44 procent), materiałów przemysłowych (22 procent) i produktów chemicznych (18 procent). Finlandia jest też uzależniona od rosyjskich dostaw energii i paliw, według danych z 2017 roku sprowadza z Rosji 84 procent importowanej ropy naftowej i 100 procent gazu ziemnego. Obecnie mała część gazu jest przywożona statkami w postaci LNG, w budowie jest też gazociąg Balticconnector pod Zatoką Fińską do Estonii. Finlandia oficjalnie wspiera unijne sankcje względem Rosji, ale jest prawdopodobne, że zmieni zdanie w przypadku innej polityki Unii lub nacisku wywieranego z Kremla.

Współpraca bez akcesji

Jedną z najistotniejszych cech fińskiej polityki zagranicznej jest bezaliansowość i pozostanie poza strukturami NATO mimo przystąpienia w 1994 roku do programu „Partnerstwo dla Pokoju". Przyczyną takiej polityki, podobnie jak w czasach zimnej wojny, jest dążenie do podtrzymania poprawnych relacji z Rosją, postrzegającej NATO jako zagrożenie militarne. Wobec takiego postępowania panuje polityczna zgoda, chociaż co pewien czas niektórzy znaczący politycy wyrażają poparcie dla idei wejścia do NATO, jak choćby były konserwatywny premier Alexander Stubb czy też obecny minister spraw zagranicznych Timo Soini, reprezentujący nurt eurosceptyczny i narodowy. Akcesję popierają przede wszystkim partie prawicy, z kolei ugrupowania lewicowe i centrowe pozostają wobec niej sceptyczne lub propagują twierdzenie, że Finlandia powinna dołączyć do Paktu tylko w razie konieczności. Takie samo stanowisko reprezentuje prezydent Niinistö.

Brak akcesji do NATO nie oznacza jednak braku współpracy w wymiarze politycznym i wojskowym. Finlandia wraz z neutralną Szwecją od kilku lat uczestniczy w ćwiczeniach i manewrach Paktu, w 2016 roku delegacje obu krajów były obecne na szczycie NATO w Warszawie. Obydwa kraje włączone są do programu Host Nation Support, umożliwiającego wojskom Paktu korzystanie z fińskiego i szwedzkiego terytorium, wód terytorialnych i przestrzeni powietrznej. Nie jest jednak przewidywana pełna akcesja Finlandii do NATO z uwagi na brak politycznego i społecznego poparcia tej idei w kraju (to ostatnie waha się między 20 procent a 30 procent). Ponadto niechętna akcesji pozostaje Szwecja, a jak podkreślają politycy, funkcjonowanie Helsinek w ramach Paktu bez udziału Sztokholmu byłoby utrudnione. Finlandia blisko współpracuje wojskowo z USA, w 2016 roku amerykańskie ćwiczenia wojskowe BALTOPS na Morzu Bałtyckim odbywały się częściowo na fińskim terytorium. W ramach prowadzonej polityki bezaliansowości Finlandia utrzymuje dużą armię

eprasa.pl 26a741fd42

poborową (około 25 tysięcy żołnierzy), która w czasie mobilizacji jest w stanie powołać pod broń 230 tysięcy osób (obecne planowane jest zwiększenie tej liczby do 280 tysięcy). Do służby jest powoływanych około 70 procent mężczyzn z rocznika, dlatego niczym niezwykłym jest spotkanie umundurowanego młodego człowieka w metrze w Helsinkach.

Wobec zagrożeń hybrydowych

W ostatnich latach wzrósł w Finlandii niepokój związany z zagrożeniami hybrydowymi, łączącymi „miękkie" środki, takie jak dezinformacja czy obce działania w celu wywierania wpływu na rząd kraju i opinię publiczną. W dyskursie wymieniana jest także presja ekonomiczna (dostawy energii) oraz polityczna (wykorzystanie obaw opinii publicznej). W marcu 2019 roku opublikowano raport *Voiman Venäjä* („Siła Rosji") opracowany pod auspicjami ministerstw obrony, spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych Finlandii, analizujący między innymi najważniejsze kwestie dotyczące rosyjskiej polityki zagranicznej. W dziale poświęconym relacjom z Finlandią określono dwa główne przesłania rosyjskiej polityki zagranicznej wobec tego kraju. Po pierwsze, Finlandia i Rosja pozostają dobrymi sąsiadami, co Rosja sobie ceni. Po drugie, nie są one oczywiste i Finlandia powinna zachowywać się odpowiedzialnie w polityce, uwzględniając kluczowe interesy Rosji, by zachować *status quo*. Zauważono, że pierwsze przesłanie jest przekazywane poprzez oficjalną dyplomację, drugie zaś wyrażane jest nieoficjalnie przez różnego rodzaju środki wywierania wpływu. Zaliczane są do nich między innymi ruchy wojsk przy granicy obydwu państw czy naruszanie fińskiej przestrzeni powietrznej. Z kolei w przekazie dezinformacyjnym promuje się postawy antynatowskie, antyimigranckie i sentymenty za czasami zimnej wojny.

Finlandia nie pozostaje obojętna wobec wymienionych zagrożeń, znajduje się bowiem w czołówce krajów europejskich rozwijających techniki walki z nimi. W 2017 roku w Helsinkach utworzono pod auspicjami NATO i Unii Europejskiej think tank Hybrid CoE (Europejskie centrum doskonalenia przeciwdziałania zagrożeniom hybrydowym) również zajmujący się tą tematyką.

Jak dotąd brak jest sygnałów dotyczących zagrożenia wynikającego z obecności mniejszości rosyjskojęzycznej w Finlandii, skupiającej się głównie w południowo-wschodniej części kraju. W 2015 roku społeczność ta liczyła około 75,5 tysiąca osób. Więcej kontrowersji budzi kwestia związanych pośrednio z Rosją mediów propagujących nieprawdziwe lub zniesławiające treści. W październiku 2018 roku sąd w Helsinkach skazał na kary więzienia troje aktywistów związanych pośrednio z Kremlem w sprawie prześladowania i zniesławiania dziennikarki państwowego

eprasa.pl 26a741fd42

nadawcy radiowo-telewizyjnego Yle Jessiki Aro, w tym Iliję Janitskina (założyciela antyimigranckiego portalu MV-lehti) i prorosyjskiego aktywistę Johana Bäckmana. Wyrok miał sygnalizować, że walkę z mową nienawiści i dezinformacją traktuje się w Finlandii poważnie.

Obawa przed zagrożeniami hybrydowymi już teraz wpływa na zmianę fińskiego prawa. Jesienią 2018 roku fińskie służby specjalne i antyterroryści weszli na teren siedemnastu nieruchomości należącej do Rosjanina firmy Airiston Helmi, rozrzuconych na wyspach archipelagu w pobliżu miasta Turku. Na terenie firmy znaleziono dużą ilość gotówki, elektroniki i nietypowej infrastruktury, takiej jak nabrzeża dla statków czy lądowiska dla helikopterów. Zdaniem komentatorów, takie środki mogłyby zostać użyte do przywozu i ukrycia oddziału „zielonych ludzików", czyli obcej armii bez dystynkcji. Śledztwo ostatecznie potoczyło się w kierunku czysto kryminalnym, niemniej sam fakt niezauważonego zakupu strategicznie położonych ziem uświadomił Finom luki w krajowym systemie bezpieczeństwa. W listopadzie 2018 roku Ministerstwo Obrony zapowiedziało opracowanie przepisów umożliwiających interwencję służb bezpieczeństwa w sprawy zakupu ziemi (gdyby zakup ów miał wpłynąć na bezpieczeństwo narodowe). Niezależnie od afery parlament uchwalił poprawki do konstytucji umożliwiające służbom większą kontrolę poczty elektronicznej i innych wiadomości elektronicznych dla zapewnienia ochrony państwa.

Moskwa jest postrzegana w Finlandii jako zagrożenie dla suwerenności.

Pomimo diametralnej zmiany polityki Finlandii względem wschodniego sąsiada po rozpadzie ZSRR Helsinki w dalszym ciągu oglądają się na Moskwę, a głos Kremla ma duże znaczenie w bieżącej polityce zagranicznej. Nie jest to jednak finlandyzacja w wersji *soft*, bardziej odpowiednie jest stwierdzenie, że działania Helsinek podyktowane są *Realpolitik* i własną, niewymuszoną decyzją. Zimnowojenna polityka wynikała ze specyficznej sytuacji międzynarodowej, obecna to suwerenny wybór władz fińskich, które nie ukrywają możliwości zmiany kursu na pronatowski, w razie zagrożenia ze strony Moskwy. Poprzez obecne podejście Finowie kupują sobie spokój na wschodniej granicy, choć jest on coraz bardziej niepewny i zagrożony.

Juliusz Dworacki jest historykiem i doktorantem na Wydziale Historycznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracuje jako analityk sektora energetycznego.

eprasa.pl 26a741fd42

Okrutny eksperyment
Życie w okupowanym Donbasie

Aleksander Kowalewski

Niemalże wszyscy mieszkańcy terytoriów okupowanych na wschodniej Ukrainie chcieliby wrócić do Donbasu, który istniał przed 2014 rokiem. Ale każdy boi się cokolwiek zrobić. Ludzie wiedzą, że spogląda na nich Wielki Brat.

Przeciętne wynagrodzenie w okupowanej części Doniecka, według oświadczeń władz tak zwanej Donieckiej Republiki Ludowej, wynosi około 10 tysięcy rubli (155 dolarów). To prawie trzy razy mniej niż na terytoriach kontrolowanych przez władze ukraińskie, gdzie – według regionalnego urzędu statystycznego – średnia pensja w marcu 2019 roku wyniosła 11 365 hrywien (431 dolarów). W rzeczywistości różnice mogą być nawet większe. Według mieszkańców Doniecka, średnia pensja nie przekracza około 8 tysięcy rubli (124 dolarów). Taki dochód w okupowanym mieście jest uważany za wysoki, a wiele osób jest zadowolonych z pracy nawet za 5 tysięcy rubli (77 dolarów).

Żeby przetrwać

Mieszkanka Doniecka Tatiana (imię zmienione) opowiada korespondentowi Agencji Informacyjnej „Wczasno", że jej miesięczny dochód wynosi około 15 tysięcy rubli (232 dolary). Aby tyle zarobić, musi pracować na trzech etatach – jako księgowa małej firmy, woźna w przedszkolu, poza tym dorabia na lokalnym targu. Wczesnym rankiem sprząta teren przedszkola, a następnie idzie na targ. Po południu musi być w firmie, w której prowadzi księgowość.

– Brakuje mi pieniędzy – mówi czterdziestoletnia kobieta. – Wynagrodzenie woźnej wynosi 3,2 tysięca rubli (49 dolarów), kolejna pensja to około 4 tysiące z księgowości. Resztę dorabiam na rynku. To jest wstyd.

Za te pieniądze musi utrzymać siebie i dziesięcioletnią córkę. Przed wojną na Donbasie Tatiana była księgową w jednym z dużych przedsiębiorstw, które jest obecnie zamknięte. Wtedy nie musiała szukać dodatkowych zarobków.

eprasa.pl 26a741fd42

– Przeżycie za jedną pensję jest nierealne – mówi Tatiana. – Większość pieniędzy idzie na żywność. Zasadnicza część towarów w sklepach jest rosyjska. Pod względem jakości są znacznie gorsze niż ich ukraińskie odpowiedniki. Dotyczy to głównie produktów mięsnych, słodyczy i mleka. Importują również produkty wysokiej jakości, ale są one znacznie droższe. Mnie na przykład nie stać na ich zakup.

Ceny podstawowych towarów w okupowanych miastach Donbasu są często wyższe niż na obszarach kontrolowanych przez państwo ukraińskie. Według tak zwanego Ministerstwa Rozwoju Gospodarczego DRL, chleb kosztuje 32–42 rubli (0,5–0,65 dolara), jajka od 45 do 60 rubli (0,7–0,93 dolara), kurczak od 98 do 155 rubli za kilogram (1,52–2,4 dolara), „zestaw barszczowy" (kapusta, buraki, marchew, cebula, ziemniaki) od 188 do 262 rubli (2,92–4,06 dolara).

Mieszkańcy Doniecka mówią, że tańszy w DRL jest tylko transport publiczny i czynsz za mieszkania. Ale nawet opłaty za wynajem, mimo że w okupowanym regionie od 2014 roku nie wzrosły ani trochę, dla wielu mieszkańców są zbyt wysokie.

– Za dwupokojowe mieszkanie płacę 1,5 tysiąca rubli (23 dolary) miesięcznie – mówi Tatiana. – Koszt zależy od zużycia mediów i liczby zarejestrowanych osób. Za mieszkanie jednopokojowe płaci się około 500 rubli, za trzypokojowe zaś do 2 tysięcy rubli miesięcznie (31 dolarów). Wszyscy mówią, że czynsz jest niski, ale biorąc pod uwagę nasze zarobki, jego płacenie nie jest takie proste. Jeśli ludzie zarabiają 4–5 tysięcy rubli, to jak odłożyć tysiąc–półtora tysiąca na samo mieszkanie?

Ceny podstawowych towarów w okupowanych miastach Donbasu są często wyższe niż na obszarach kontrolowanych przez państwo ukraińskie. Przeżycie za jedną pensję jest niemożliwe.

Według danych prezentowanych przez separatystów, w okupowanym mieście średnie dochody sprzedawcy wynoszą około 6 tysięcy rubli (93 dolary), a kelnera – 4,5 tysiąca rubli (69 dolarów). Wynagrodzenie nauczyciela w szkole średniej – około 4,7 tysiąca rubli (72 dolary), lekarza – 4,9 tysiąca rubli (75 dolarów), pielęgniarki – od 3,6 do 4,3 tysiąca rubli (55–66 dolarów). W sąsiednim Kramatorsku, będącym pod kontrolą władz ukraińskich, pracując na tych samych stanowiskach, można otrzymywać pensje dwukrotnie wyższe. Według miejscowego urzędu pracy, wynagrodzenie sprzedawcy w sklepie spożywczym czy kelnera wynosi od 4,2 tysiąca hrywien (159 dolarów), pediatry – minimum 5450 hrywien (206 dolarów), a pielęgniarki – powyżej 4180 hrywien (158 dolarów). Te pensje, raczej niskie jak na ukraińskie standardy, na terenach okupowanych wydają się ogromnymi pieniędzmi.

W rezultacie na okupowanych obszarach jest wiele wolnych miejsc pracy – wynagrodzenia są tak niskie, że ci, którzy chcą pracować, nie podejmują zatrudnienia

eprasa.pl 26a741fd42

za takie stawki. W 2018 roku w tak zwanych urzędach pracy DRL zarejestrowanych było około 44,5 tysiąca bezrobotnych.

Jedyne źródło zarobków – wojna

Nie tak dawno władze okupacyjne musiały przyznać, że na terenach okupowanych panują poważne braki kadrowe, przede wszystkim problem ten dotyka służby zdrowia. „Niedobór lekarzy i personelu medycznego szacowany jest na prawie 13 tysięcy" – ogłosiła Olga Dołgoszapko, tak zwana minister zdrowia DRL. Według niej, mamy do czynienia z 5 tysiącami wakatów na stanowiskach lekarzy, a z 7,5 tysiąca wśród personelu służby zdrowia. „Medycynę będzie kończyć niedługo kolejny rocznik, ale to tylko stu pięćdziesięciu ośmiu studentów medycyny oraz czterdziestu czterech pediatrii – powiedziała minister. – Szczególnie duży niedobór personelu występuje na prowincji i w szpitalach wiejskich".

Okupacja sprawiła, że ludzie przyzwyczaili się do godziny policyjnej – od 23.00 do 6.00 nie mogą pojawiać się na ulicy.

Mieszkańcy okupowanego obwodu donieckiego donoszą, że ponad sześć miesięcy temu w kontrolowanym przez prorosyjskich bojowników Iłowajsku zmarł ostatni z miejscowych pediatrów. Nie ma wystarczającej liczby lekarzy o wąskiej specjalizacji. Aby zaradzić tej sytuacji, na prowincję muszą jeździć terapeuci, chirurdzy, radiolodzy i endokrynolodzy z miast, między innymi z kontrolowanych przez władze ukraińskie Charcyzka i Zuhresu. Szczególne braki personelu i samych szpitali występują w szczególności w rejonach Makiejewki, Gorłówki, Kirowa, Szachtarska, Jasynuwatej, Amwrosijiwki i Telmanowego. Na terytoriach okupowanych oprócz lekarzy brakuje nauczycieli i kierowców.

– Ci, którzy mogli wyjechać na Ukrainę, już dawno to zrobili. Gdyby Ukraina zapewniła mieszkania, wyjechałabym jako pierwsza. Wielu wyjeżdża do Rosji do pracy – mówi Tatiana. – Znam kilka rodzin, które ciągle jeżdżą do Rosji, dorabiając przy zbieraniu warzyw. Inni pracują na budowach, ktoś jako stróż. Nadal też można iść do armii DRL.

Według Tatiany, dołączenie do grona bojowników jest jedynym i najbardziej przystępnym sposobem na zarobienie pieniędzy. Wynagrodzenia na miejscowe standardy są po prostu ogromne – 15 tysięcy rubli (232 dolary).

– Mój bratanek pracował jako górnik, przez pierwsze lata okupacji kopalnie jakoś działały, ale w połowie swoich możliwości – opowiada Tatiana. – W 2017 roku zaczęto wysyłać na bezterminowe urlopy, a w ubiegłym roku już zwalniano. Jego żona suszyła mu głowę, żeby znalazł pracę. I znalazł, nawet kilka, ale wszystkie doryw-

eprasa.pl 26a741fd42

czo, zarabiał 3–4 tysiące rubli. Ona z pensji sprzedawczyni utrzymywała właściwie i dzieci, i jego, wreszcie nie wytrzymała i go zostawiła. Złożyła pozew o rozwód. W końcu zaciągnął się do „wojska". Ale nie walczy. Siedzą w sztabie.

Odwrócona rzeczywistość

Sześć lat okupacji prorosyjskich bojowników nie tylko znacząco zmieniło sytuację finansową mieszkańców, ale także wpłynęło na ich spojrzenie na świat. Ludzie przyzwyczaili się do godziny policyjnej – od 23.00 do 6.00 nie mogą pojawiać się na ulicy. Dostosowują swój harmonogram do tego ograniczenia i od dawna traktują jako nieodłączną część otaczającej rzeczywistości – nie widzą w tym ani nic złego, ani dobrego, po prostu muszą z tym żyć.

Zawsze muszą mieć przy sobie paszport, czego naturalnie nie wymaga się na terytorium kontrolowanym przez władze ukraińskie.

– Paszport trzeba mieć ze sobą, nawet jeśli idziesz na podwórko, żeby wynieść śmieci – mówią miejscowi.

Wielu mieszkańców okupowanych terytoriów jest przekonanych, że ich telefony komórkowe są na podsłuchu służb tak zwanej DRL.

– Podsłuch jest instalowany w telefonach komórkowych na punktach przy wyjeździe na obszary kontrolowane przez Ukrainę – uważa mieszkaniec okupowanej Gorłówki. – Zabierają telefon, żeby sprawdzić numer identyfikacyjny aparatu, a umieszczają pluskwę w karcie SIM. W komórce mojej mamy, po tym jak przejeżdżała przez punkt kontrolny, pojawił się problem z jakością połączenia, słychać jakieś szmery. Co więcej, te problemy występują niezależnie od tego, czy kartę SIM włożymy do nowego czy starego telefonu. Mówi się, że świadczy to o nagrywaniu prowadzonych rozmów.

Inną niezmienną cechą życia pod okupacją jest stała propaganda: *russkij mir*, „szczególny status" okupowanych terytoriów, kult radzieckiego zwycięstwa w II wojnie światowej.

Inna mieszkanka Gorłówki, która opuściła tereny okupowane i przeniosła się na terytorium kontrolowane przez Ukrainę, po wyjeździe utrzymywała przyjazne stosunki z koleżanką, nauczycielką, która pozostała w mieście. Często dzwoniły do siebie.

– Zaproponowałam jej wsparcie przy wyjeździe z Donbasu, obiecałam pomóc jej znaleźć pracę i mieszkanie – mówi. – Zgodziła się i już przygotowywała się do wyjazdu. Ale potem niespodziewanie zadzwoniła do mnie i powiedziała, że zmieniła zdanie. Opowiedziała, że przyszedł do niej jakiś człowiek w wojskowym mundurze, pokazał identyfikator i powiedział, że nie powinna wyjeżdżać. Wiedział wszystko,

eprasa.pl 26a741fd42

o czym rozmawiałyśmy z koleżanką przez telefon. Podkreślała, że mówiła to tylko mi. Te informacje mogli mieć tylko z naszych rozmów telefonicznych.

Całkowita kontrola, śledzenie, szpiegowanie to trwająca już sześć lat codzienność na terenach okupowanych. Ludzie są tak do tego przyzwyczajeni, że prawie tego nie zauważają i uznają za całkiem normalne.

Inną niezmienną cechą życia pod okupacją jest stała, histeryczna wręcz propaganda: *russkij mir*, „szczególny status" okupowanych terytoriów, kult radzieckiego zwycięstwa w II wojnie światowej. I oczywiście antyukraińska propaganda.

– Myślę, że przeprowadzają na nas jakiś straszny eksperyment – mówi Maksim, mieszkaniec okupowanej Makiejewki. – Podtrzymuje się atmosferę ciągłego strachu: że Ukraina zbliża się do granic, że Ukraina buduje dla nas obóz koncentracyjny, że Ukraina zaatakuje nas bronią chemiczną. Włączasz telewizor w domu i się zaczyna… Bez przerwy, na każdym kroku reklama DRL, ciągle mówią o wielkich osiągnięciach i rozwoju. DRL to, DRL tamto, wszystko jest super. Mówi się o wszystkich miejscowych uroczystościach, wiecach, również tych poświęconych dzieciom – w szkołach, nawet w przedszkolach. Prawdopodobnie są ludzie, którzy wierzą w to wszystko. Moi rodzice stale oglądają telewizję – oni wierzą. A o tym, ile tu jest problemów, ani nasze, ani rosyjskie media nie mówią, a innych nie ma.

Według Maksima, niemalże wszyscy mieszkańcy terytoriów okupowanych chcieliby wrócić do Donbasu, który istniał przed 2014 rokiem, zanim rozpoczęto działania wojenne. On sam, jak wielu mieszkańców Doniecka, chce powrotu pod kontrolę władz ukraińskich, ale boi się robić cokolwiek w tym kierunku. – Nikt od dawna nie oczekuje niczego od Rosji – mówi Maksim. – W DRL ja też osobiście nie wierzę. Gdyby można było powrócić do tego, co było przed 2014 rokiem, w pełni bym to poparł. Ale czy Ukraina tu wróci? Kiedy wróci? Co się z nami stanie?

Przełożył Krzysztof Popek

Aleksander Kowalewski jest specjalistą od spraw handlu między Polską a Ukrainą, w latach 1995–2016 pracował jako referent ds. handlowych w Biurze Radcy Handlowego oraz ekspert w Wydziale Ekonomicznym Ambasady RP w Kijowie.

eprasa.pl 26a741fd42

Cienie Putina we Włoszech

Bartosz Hlebowicz

Krzyczą „po pierwsze Włochy", krytykują międzynarodowe korporacje, ale interesy ubijają z ludźmi Putina, a pieniądze włoskich podatników i składki własnych członków wysyłają na konta prywatnych spółek w rajach podatkowych. W kraju zaś rozpowszechniają propagandę Kremla, oczekując z jego strony gratyfikacji finansowych.

Taki ponury obraz rządzącej krajem Ligi Matteo Salviniego kreślą dziennikarze tygodnika „L'Espresso" Giovanni Tizian i Stefano Vergine w serii publikowanych od wielu miesięcy artykułów oraz w wydanej ostatnio książce *Libro nero della Lega* („Czarna księga Ligi").

Odtworzona przez włoskich dziennikarzy sieć powiązań biznesowo-politycznych między Ligą a Kremlem jest tak gęsta, że można odnieść wrażenie, iż decydująca dziś o obliczu Włoch partia stała się w istocie narzędziem rosyjskiej propagandy i wykonawcą interesów Moskwy na odcinku Italia. Współkoalicjant Ligi, Ruch Pięciu Gwiazd, od jakiegoś czasu przyjął rolę „mniej inteligentnego młodszego brata, na którego ten starszy może zwalać wszelką winę i robić, co tylko chce", jak celnie ujęła pisarka Michela Murgia.

Dziś stawiamy na nacjonalizm

Salvini został szefem Ligi Północnej w grudniu 2013 roku, półtora roku po rezygnacji jej założyciela Umberto Bossiego. Bossi ustąpił na skutek skandalu: wraz ze skarbnikiem partii wyłudzili 49 milionów euro z budżetu państwa. Miały być one zwrotem wydatków za kampanie wyborcze partii, w rzeczywistości rachunki przedstawione przez Bossiego były fałszywe. Do dziś nie wiadomo, gdzie Bossi, a także jego następcy, ukryli większość z wyłudzonych pieniędzy.

Salvini szybko zamienił stosunkowo mało znaczącą partię zwolenników autonomii północy kraju w ogólnokrajową partię nacjonalistyczną, przejmując hasła włoskich ugrupowań neofaszystowskich. Teraz głównym wrogiem jest nie „złodziejski Rzym" i „próżniacy" z południa kraju, lecz Romowie, imigranci z Afryki oraz biu-

eprasa.pl 26a741fd42

rokraci z Unii Europejskiej. Jako jeden z pierwszych europejskich polityków Salvini otwarcie wsparł rosyjską agresję na Krym i Donbas.

Cała kariera polityczna Salviniego to Liga: najpierw Liga Północna, kierowana przez Umberto Bossiego, a potem – odkąd wybrano go szefem partii – już tylko Liga (dzisiaj ani Salvini, ani członkowie partii, ani media nie używają określenia „Północna"). W istocie ten byt stał się tylko pretekstem do utworzenia nowego ugrupowania Liga – Salvini na Premiera, podporządkowującego cały partyjny aparat „Kapitanowi", jak każe siebie określać Salvini. Do odmienionej wersji Ligi (za czasów Bossiego jednoznacznie proamerykańskiej) Salvini wprowadził nowych współpracowników, których zadaniem jest zacieśnianie oficjalnej i nieoficjalnej współpracy z Kremlem.

Okrada własne państwo, nie chce sankcji dla Rosji

Nowym człowiekiem w Lidze jest między innymi Armando Siri, do dziesiątego maja bieżącego roku podsekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury i Transportu, jeden z najbliższych współpracowników Salviniego. Mimo braku wykształcenia ekonomicznego jest ekspertem tej partii w sprawach gospodarczych. To on podrzucił Salviniemu hasło wprowadzenia podatku liniowego w kraju, które obok ksenofobicznych ataków na cudzoziemców stało się główną przyczyną sukcesu wyborczego Ligi w wyborach parlamentarnych w marcu ubiegłego roku. Liga zdobyła wtedy 17 procent poparcia i wraz ze zwycięskim Ruchem Pięciu Gwiazd (32 procent) utworzyła „ludowy rząd zmian". Kilka lat wcześniej Siri doprowadził do bankructwa założoną przez siebie spółkę produkującą programy telewizyjne w Ligurii (na przykład wybory lokalnej miss), by uniknąć spłacenia ponad milionowego długu. Pieniądze zaś wyprowadził do kilku założonych specjalnie w tym celu spółek zarejestrowanych pod jednym adresem w amerykańskim stanie Delaware, który jest rajem podatkowym. Tak oszukał włoskiego fiskusa na ponad 160 tysięcy euro. Za przekręt w 2014 roku dostał wyrok dwudziestu miesięcy więzienia.

Salvini, lider Ligi Północnej, jako jeden z pierwszych europejskich polityków otwarcie wsparł rosyjską agresję na Krym i Donbas.

Najwyraźniej umiejętności biznesowe Siriego zrobiły wrażenie na Salvinim, bo w maju 2015 roku uczynił go „ekspertem finansowym" nowego ruchu politycznego wymyślonego przez szefa Ligi: Noi con Salvini (My z Salvinim), którego celem było popularyzowanie partii na południu Włoch. Sprzymierzeńcami Salviniego i Siriego została wówczas organizacja CasaPound, sama określająca się jako „faszyści XXI wieku".

eprasa.pl 26a741fd42

Innym atutem Siriego, który docenił Salvini, są jego kontakty z włoskimi przedsiębiorcami, inwestującymi na rynku rosyjskim. Jak informują autorzy *Libro nero della Lega*, rolą Siriego jest między innymi organizowanie prywatnych kolacji Salviniego z biznesmenami. Salviniego, Siriego i zaprzyjaźnionych przedsiębiorców łączy przekonanie, że Unia Europejska powinna znieść sankcje przeciw Rosji za agresję na Krym i Donieck.

Jeden z nich, Luigi Scordamaglia, prezes Federalimentare, stowarzyszenia reprezentującego siedem tysięcy włoskich producentów żywności, mówił w ubiegłym roku: „Słusznie robi wicepremier Salvini, wracając do kwestii sankcji przeciw Rosji, pokazując ich absurdalność". W identycznym stylu wypowiadają się Siri i Salvini: sankcje przeciw Rosji przynoszą szkody włoskiej gospodarce, należy je więc znieść. Żaden z nich nigdy nie zająknął się na temat przyczyn wprowadzenia sankcji. Inny wielki włoski producent wyrobów mięsnych, Luigi Cremonini, który spotykał się na aranżowanych przez Siriego kolacjach z Salvinim, wpłacił na konto Siriego 15 tysięcy euro. Tak po prostu.

Po zaledwie jedenastu miesiącach kariery rządowej Siri został zmuszony do złożenia dymisji z powodu toczącego się przeciw niemu śledztwa w sprawie korupcji: podsekretarz stanu miał wziąć 30 tysięcy euro łapówki w zamian za obietnicę wprowadzenia do ustawy budżetowej zapisów korzystnych dla Vito Nicastriego, producenta małych wiatraków. Nicastri z kolei powiązany jest z Cosa Nostrą. Prokuratura aresztowała Nicastriego, pośrednika Paolo Aratę (byłego doradcę Salviniego do spraw energii) oraz jego syna Francesco, zatrudnionego jako doradca w gabinecie szefa kancelarii premiera Giancarlo Giorgettiego, innego bliskiego współpracownika Salviniego.

O pozostawienie Siriego w rządzie zażarcie walczył Salvini, ale tym razem Ruch Pięciu Gwiazd nie mógł pozwolić sobie na ustępstwo i blamaż przed wyborami do Europarlamentu w maju tego roku.

Jak na razie włoska opinia publiczna nie przejmuje się faktem, że lider rządzącej partii oraz należący do niej szef gabinetu premiera otaczają się ludźmi, którzy kolejno trafiają do aresztu albo przeciw którym toczą się śledztwa o korupcję i związki z mafią. Według niektórych sondaży, Liga w czerwcu osiągnęła rekordowe poparcie na poziomie aż 37 procent.

Bezpartyjnie za Putinem

Do grupy najbliższych współpracowników Salviniego należy Gianluca Savoini, niegdyś rzecznik szefa Ligi, dziś ambasador interesów Ligi w Rosji – choć słusznie też byłoby go nazwać ambasadorem interesów Kremla we Włoszech. Savoini zało-

eprasa.pl 26a741fd42

żył cały szereg włosko-rosyjskich stowarzyszeń „kulturalnych" i firm doradczych w Moskwie i we Włoszech. Wśród nich jest Lombardia-Rosja, z siedzibą w Mediolanie. Na jego stronie internetowej czytamy: „Jesteśmy bezpartyjnym stowarzyszeniem kulturalnym, ale o bardzo precyzyjnych ideach, które w pełni współgrają z wizją świata wyłożoną przez Prezydenta Federacji Rosyjskiej (…) i którą można streścić w trzech słowach: Tożsamość, Suwerenność, Tradycja". Na czele umbryjskiego oddziału stowarzyszenia umieszczono działacza CasaPound. Savoini pisuje też do „Libero", wyjątkowo obrzydliwego pisma włoskiej prawicowej szczujni, i do wydawanego po włosku „Sputnika", będącego tubą rosyjskiej propagandy.

„Nowa Europa musi być bliska Rosji. Nie musimy już dłużej zależeć od decyzji podejmowanych przez oświeconych z Brukseli czy USA" – można usłyszeć we Włoszech.

(Nawiasem mówiąc, o swojej apolityczności zapewnia też Marcello Foa, którego jesienią ubiegłego roku Salvini uczynił szefem państwowej telewizji. Foa słynie z proputinowskich sympatii, rozsiewania fake newsów na temat imigrantów czy o finansowaniu opozycyjnej Partii Demokratycznej przez George'a Sorosa. Jest też stałym komentatorem „Russia Today", czyli angielskojęzycznej stacji nadającej propagandę Kremla. Jego syn zaś pracuje w sztabie wicepremiera Salviniego jako spec od komunikacji w mediach społecznościowych – innymi słowy za państwowe pieniądze rozsiewa antyimigracyjny i antyunijny hejt na Facebooku i Twitterze).

Wróćmy do Savoiniego. To on 6 marca 2017 roku doprowadził do podpisania oficjalnej umowy o współpracy między Ligą a proputinowską partią Jedna Rosja, mającą większość w rosyjskiej Dumie. We wpisie na Facebooku nowy szef Ligi tak ujął cele współpracy z partią Putina: „Walka z nielegalną imigracją, przywrócenie spokoju w Libii, walka z terroryzmem islamistycznym i zniesienie sankcji przeciw Rosji, które kosztowały Włochy 5 miliardów euro i tysiące miejsc pracy".

Rodzinna pralnia Putina

Honorowym przewodniczącym stowarzyszenia Lombardia–Rosja został Aleksiej Komow, człowiek Kremla do kontaktów z europejską skrajną prawicą. Jego zadaniem jest łączyć ją pod przywództwem Putina i pod hasłami o rzekomych wartościach rodzinnych, najlepiej zachowanych oczywiście w prawosławno-putinowskiej Rosji. Komow jest przedstawicielem rosyjskiej Cerkwi w międzynarodowej organizacji Światowego Kongresu Rodzin, głównej organizatorki corocznych konferencji promujących „wartości rodzinne", a w istocie walczących z aborcją, prawami ge-

eprasa.pl 26a741fd42

jów, upadkiem wspólnoty, laicyzacją Europy itp. Tegoroczna, trzynasta, konferencja odbyła się w Weronie. Ze strony włoskiej wzięli udział wszyscy ministrowie nominowani przez Ligę, oczywiście Salvini, a także Giorgia Meloni z ugrupowania Bracia Włoscy, która proponuje na przykład zatapianie statków NGO ratujących życie imigrantom. Podczas tych konferencji przemawiają tacy eksperci od życia w rodzinie, jak Alessandro Fiore, syn terrorysty i szefa faszystowskiej Forza Nuova Roberto Fiore czy Gianfranco Vestuto, szef wspierającej Salviniego na południu Włoch partii Lega Sud (Liga Południe) i dyrektor internetowej strony Russia News, zwolennik „skonfederowanej na zasadach dobrowolności Unii Europejskiej", odejścia od euro oraz walki z „nielegalną imigracją".

Trudno przypuszczać, aby Salvini, mający dwójkę dzieci z różnymi kobietami, aktualnie w nieoficjalnym związku z kolejną partnerką, a także żyjąca w konkubinacie Meloni traktowali poważnie hasła o tradycyjnej rodzinie. W istocie konferencje służą przede wszystkim scaleniu antydemokratycznej, antyzachodniej międzynarodówki i są pretekstem do przekazywania sprzyjającym Putinowi ugrupowaniom dużych pieniędzy, rzekomo służących finansowaniu ich działalności prorodzinnej. Pieniądze płyną między innymi z rosyjskich i azerbejdżańskich przedsiębiorstw offshore, a także ze skrajnie prawicowych organizacji amerykańskich (za którymi stoją między innymi Benjamin Harnwell i Steve Bannon) do wybranych stowarzyszeń w Europie, które dystrybuują je wśród następnych. We Włoszech taką organizacją-przekaźnikiem jest Novae Terrae, rozdzielająca pieniądze wśród włoskich, ale także amerykańskich, hiszpańskich, węgierskich czy polskich organizacji. Jej szefem do 2015 roku był Luca Volontè, do 2013 roku przedstawiciel Włoch w Radzie Europy, któremu zarzuca się, że brał pieniądze od zagrożonej sankcjami azerskiej dyktatury Ilhama Alijewa, w zamian za co lobbował w jej imieniu w Europie.

„Putina podziwiam i szanuję" – mówił w telewizji Salvini w 2017 roku. „Putin jest wielki, myślę to za darmo" – chętnie powtarza lider Ligi.

W 2015 roku miejsce Volontè w Novae Terrae zajęli inni, tacy jak Simone Pillon, obecnie senator Ligi (po publikacjach w „L'Espresso" zrzekł się funkcji w Novae Terrae). Opracował dla partii projekty przepisów „prorodzinnych", mające utrudnić rozwód i separację, a także w razie rozejścia się rodziców – zmuszające dziecko do spędzania tyle samo czasu w domu każdego z nich, niezależnie od przyczyn (na przykład przemocy rodzinnej) rozwodu czy separacji.

Komow jest bliskim współpracownikiem i emisariuszem putinowskiego oligarchy Konstantina Małofiejewa, którego Unia Europejska i Stany Zjednoczone umieściły na czarnej liście, oskarżając o finansowanie rosyjskiej agresji na wschodnią Ukrainę.

eprasa.pl 26a741fd42

Małofiejew użyczył też 11 milionów euro „pożyczki" Frontowi Narodowemu Marine Le Pen, największej w Europie sojuszniczki Salviniego.

Komow był jednym z gości ceremonii „ukoronowania" Salviniego na nowego szefa Ligi 15 grudnia 2013 roku, co wymownie świadczy o aspiracjach lidera największej dziś partii we Włoszech.

Tajny *deal* Liga–Kreml

Wróćmy do Savoiniego. W październiku ubiegłego roku Salvini, wicepremier i minister spraw wewnętrznych, złożył kilkudniową wizytę w Moskwie. Oficjalnym powodem wizyty był udział w kongresie rosyjskiego stowarzyszenia przemysłowców i promocja włoskich przedsiębiorstw w Rosji. Savoini, chociaż nie pełnił żadnej oficjalnej funkcji we włoskim rządzie, tradycyjnie towarzyszył Salviniemu. Ze śledztwa Tiziana i Vergine wynika, że zwołany naprędce kongres był tylko pretekstem: zaraz po nim (wieczorem 17 października) wicepremier potajemnie spotkał się z Dmitrijem Kozakiem, wicepremierem Rosji odpowiedzialnym za energetykę, a także za wzmacnianie politycznych i gospodarczych więzi Krymu z Rosją (Kozak również jest na czarnej liście USA i Unii Europejskiej). Spotkanie nie było ani uwzględnione w programie pobytu Salviniego, ani też po powrocie do Włoch Salvini o nim nie informował. Człowiek, który każdego dnia wysyła około dwudziestu tweetów i tyleż postów na Facebooku na temat każdego swojego ruchu, o spotkaniu z wicepremierem Rosji milczy!

Śledczy „L'Espresso" ustalili, że spotkanie Kozaka z Salvinim odbyło się w kancelarii adwokata Władymira Pligina. Mimo pytań dziennikarzy o cel spotkania z wicepremierem Rosji Salvini przez kilka miesięcy milczał. Dopiero w lutym, podczas spotkania na żywo w telewizji włoskiej, Salvini nie mógł wykręcić się od odpowiedzi. Może ona wprawić w osłupienie: „Nie pamiętam, ale jeśli do tego spotkania doszło, uważam, że było ono uzasadnione i pożądane".

Tizian i Vergine wyśledzili, że rankiem następnego dnia w moskiewskim hotelu Metropol odbyło się inne spotkanie. Wzięli w nim udział Savoini, dwóch innych Włochów oraz trzech Rosjan. Wśród nich biznesmen Ilja Jakunin, współpracownik Pligina (tożsamości pozostałych dwóch nie udało się ustalić). Rozmowę, podsłuchaną przez dziennikarzy, zaczął Savoini, chwaląc przyjaźń Salviniego i Putina. „Nowa Europa powinna być bliska Rosji. Nie musimy już dłużej zależeć od decyzji podejmowanych przez oświeconych z Brukseli czy USA. Chcemy zmienić Europę z naszymi sojusznikami". Wśród nich wymienia: Marine Le Pen, Victora Orbána, Szwedzkich Demokratów, Alternatywę dla Niemiec i Heinza-Christiana Strache, ówcześnie wicekanclerza i szefa Wolnościowej Partii Austrii (w maju tego roku me-

eprasa.pl 26a741fd42

dia ujawniły, że przed wyborami parlamentarnymi w Austrii w 2017 roku Strache oferował usługi polityczne Rosji w zamian za pieniądze. Skandal spowodował wyrzucenie przedstawicieli partii z rządu i zaraz potem upadek całego gabinetu). Następnie obie strony ustalają, ni mniej, nie więcej, że rosyjska spółka państwowa Rosnieft sprzeda należącej w części do państwa włoskiego spółce petrochemicznej Eni trzy miliony ton oleju napędowego po cenie o 4 procent niższej od rynkowej. Różnicę zaś przekaże na kampanię wyborczą Ligi. Jeden z włoskich uczestników spotkania, którego pozostali tytułują „adwokatem", wyjaśnił Rosjanom: „Plan jest prosty. Te 4 procent zniżki oznacza 250 milionów [chodzi zapewne o euro albo dolary – przyp. red.] miesięcznie przez rok. W ten sposób mogą wesprzeć naszą kampanię (…). Jest to korzystne dla obu stron".

„Putina podziwiam i szanuję" – w 2017 roku mówił w telewizji Salvini. „Putin jest wielki, myślę to za darmo" – chętnie powtarza lider Ligi. Śledztwo „L'Espresso" dowodzi, że w relacjach Ligi z ludźmi Kremla chodzi więcej niż o platoniczne uczucia.

Nie wiadomo, czy do transakcji rzeczywiście doszło. Pewne jest, że bliski współpracownik Salviniego omawiał ją z ludźmi wicepremiera Rosji. W wyborach do Europarlamentu, które odbyły się siedem miesięcy po spotkaniu Salviniego z Kozakiem i Savoiniego z Jakuninem, nacjonalistyczna i zarazem prorosyjska Liga zgarnęła aż 34 procent głosów, zdecydowanie najwięcej ze wszystkich włoskich partii. Celem Salviniego bez wątpienia jest fotel premiera, co wydaje się realną perspektywą, gdyż sondaże dają prawicowej koalicji pod jego wodzą niemal 50 procent.

Bartosz Hlebowicz jest antropologiem indianistą, współpracuje z „Gazetą Wyborczą", „Tygodnikiem Powszechnym" i „Nowymi Książkami". Tłumacz literatury antropologicznej i historycznej. Mieszka we Florencji.

eprasa.pl 26a741fd42

Donald Trump – osamotniony dyplomata

Z Ivo Daalderem, przewodniczącym Chicago Council on Global Affairs, rozmawia Adam Reichardt

ADAM REICHARDT: Chciałbym zacząć od amerykańskiego spojrzenia na członkostwo w NATO. Niedawne sondaże pokazały, że – co zaskakujące – amerykańskie poparcie dla Paktu jest bardzo wysokie. Badania przygotowane przez Gallup World Poll z marca tego roku mówią, że 77 procent Amerykanów wspiera członkostwo w NATO. Inne dane, których wyniki niedawno opublikował Chicago Council on Global Affairs, wskazują że 70 procent Amerykanów uważa, że USA powinny brać aktywny udział w sprawach świata. Jest to interesująca tendencja, biorąc pod uwagę to, że badania Pew Research jeszcze kilka lat temu mówiły, że znacznie mniej, bo 49 procent Amerykanów wspierało członkostwo w NATO. Co myślisz o tej zmianie? Czy pojawiło się nowe zainteresowanie sprawami zagranicznymi w opozycji do hasła „America first" Donalda Trumpa?

IVO DAALDER: Ważne jest, w jakim stopniu nastąpiła ta zmiana. W praktyce nie zauważyliśmy jakiejś jakościowej reorientacji, jeśli chodzi o wsparcie dla NATO. Amerykańskie poparcie dla udziału w Pakcie zawsze było dosyć silne, a dzisiaj jest silniejsze niż kiedykolwiek. W przygotowanych przez nas badaniach z 2018 roku wykazaliśmy, że 75 procent Amerykanów twierdzi, że USA powinno utrzymać lub zwiększyć zaangażowanie w ramach NATO. W tym 18 procent wyraża przekonanie, że powinni je zwiększać. Dobre pytanie, które zadałeś, brzmi: „dlaczego?". I nie tylko w kontekście NATO, ale również pomocy naszym sojusznikom, wsparcia dla handlu międzynarodowego oraz zaangażowania na świecie.

Z naszych badań wynika, że Amerykanie są coraz bardziej gotowi angażować się w sprawy świata, niż robili to do tej pory. Można ignorować to, jak ważne jest NATO, do czasu gdy administracja – w tym przypadku prezydent – nie zacznie podważać po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat amerykańskiego zaangażowania w sprawy globalne. Widzimy, że w rezultacie Amerykanie uświadamiają sobie, że główna rola USA w świecie jest ważna dla ich bezpieczeństwa i dobrobytu, a coraz bardziej dla ich wolności.

Czy mógłbyś powiedzieć więcej o waszej metodologii prowadzenia badań statystycznych? Czy przy różnicowa-

eprasa.pl 26a741fd42

niu Amerykanów ważniejszy jest czynnik geograficzny czy demograficzny?

Prowadzimy badania od 1974 roku. Zadajemy te same pytania, by zobaczyć, w jaki sposób zmieniało się zdanie respondentów na dany temat. Ważne pytanie, o którym wspomniałeś – „czy Amerykanie chcą wciąż odgrywać aktywną rolę w sprawach światowych lub trzymać się na uboczu?" – zadajemy co roku począwszy od 1974. W 2018 roku poparcie dla amerykańskiego zaangażowania na świecie było najwyższe od czterdziestu pięciu lat, poza jednym przypadkiem – roku 2002, tuż po atakach z 11 września. Ankieta obejmuje około dwóch tysięcy losowo wybranych osób przy zachowaniu reprezentacji demograficznej i regionalnej, jednak w rzeczywistości największe różnice między Amerykanami nie mają charakteru geograficznego. Środkowy Zachód nie jest bardziej izolacjonistyczny niż wschodnie bądź zachodnie wybrzeże. Prawdziwe różnice dzisiaj związane są z poparciem dla partii politycznych. Demokraci i republikanie mają coraz bardziej odmienne poglądy na szereg kwestii: piętnaście–dwadzieścia lat temu te różnice nie były aż tak duże. Obecnie republikanie potrafią być całkowitym przeciwieństwem demokratów. Niektóre różnice mają również charakter generacyjny. Młodzi ludzie są (i zawsze byli) większymi zwolennikami wielostronnych form zaangażowania oraz częściej odrzucają rozwiązania siłowe w porównaniu ze starszymi Amerykanami. Ale dziś wyraźniejsze różnice związane są z tym, którą partię polityczną się popiera.

A czy powiedziałbyś, że Amerykanie dobrze rozumieją, czym jest NATO i jaki jest jego cel?

Ludzie rozumieją, że NATO to nasi sojusznicy i przyjaciele oraz że musimy współpracować w razie konfliktu militarnego. Nie mamy do czynienia z głębokim rozumieniem wszystkich trzynastu artykułów Paktu Północnoatlantyckiego, albo tego, jak NATO funkcjonuje w Brukseli. Ale Amerykanie rozumieją – i to jest ważna sprawa – że Pakt jest sojuszem obronnym. Podobnie jak z trendami w Europie, poparcie dla NATO jest wyższe niż gotowość użycia siły. Od dziesięciu lat pytamy Amerykanów, czy poparliby użycie sił amerykańskich w przypadku, gdyby sojusznik NATO – Polska czy jeden z krajów bałtyckich – został zaatakowany. „Tak" odpowiadała do niedawna mniej niż połowa, ale teraz jest to więcej niż 50 procent. Obecnie ta gotowość jest najwyższa w historii – deklaruje ją 64 procent badanych. Co warto podkreślić, jest większa niż wśród mieszkańców europejskich krajów członkowskich Paktu.

Powszechnie wiadomo, że Donald Trump jest krytyczny wobec niektórych członków Sojuszu, zwłaszcza tych, którzy nie płacą uzgodnionych 2 procent PKB na obronność. Część tej krytyki nie została dobrze przyjęta w Europie Zachodniej i niektórzy mówią o nowym kryzysie w stosunkach transatlantyckich. Co o tym sądzisz?

Rozdzielmy kwestie podziału kosztów od kryzysu w Sojuszu, ponieważ niekoniecznie są to tożsame sprawy. Donald

eprasa.pl 26a741fd42



U.S. Department of State (domena publiczna)

Amerykanie uświadamiają sobie, że główna rola USA w świecie jest ważna dla ich bezpieczeństwa i dobrobytu, a coraz bardziej dla ich wolności.

Trump nie jest pierwszym prezydentem (i zapewne nie ostatnim), który mówi, że Europejczycy powinni wydawać więcej na obronność. Chociażby Harry Truman w 1952 roku mówił, że Europa powinna rozmieścić dziewięćdziesiąt sześć dywizji na swoim terytorium na wypadek ataku Sowietów. Jest to więc stara kwestia i niektóre państwa europejskie faktycznie nie wydają wystarczająco dużo na obronność – nie ma więc nic złego w formułowaniu tego postulatu.

Co ciekawe, robiliśmy badania dotyczące tego, jaka byłaby najlepsza droga do przekonania Europejczyków do uiszczania większych sum na obronność. Czy powinno to nastąpić w wyniku groźby dotyczącej niewypełniania zobowiązań w ramach NATO? Czy też przez wysiłki dyplomatyczne i przekonywanie? Przytłaczająca większość podkreśla, że powinno to nastąpić polubownie, a nie przez groźby. Przyglądaliśmy się, w jaki sposób republikanie odpowiadają na to pytanie i czy jest w tym przypadku spodziewana różnica w porównaniu z demokratami. Republikanie, którzy pozytywnie odbierają Donalda Trumpa, są zwolennikami stosowania gróźb w odpowiedzi na niewypełnianie zobowiązań sojuszniczych. Ci zaś, którzy nie przepadają za Trumpem, są w tej kwestii bliżsi demokratom. Taktyka przyjęta przez prezydenta nie jest wspierana przez większość Amerykanów.

To prowadzi nas do zagadnienia krytyki relacji euroatlantyckich. Prawdziwe źródło problemów dotyczy tego, czy prezydent jest oddany wartościom, na których opiera się NATO. Te wartości to silne poszanowanie praw człowieka, demokracja, praworządność i wzajemne bezpieczeństwo. Powszechnie wiadomo, że artykuł 5 – atak na jednego jest atakiem na wszystkich – jest fundamentalny dla struktury bezpieczeństwa Europy. Dlatego takie państwa jak Polska w 1999 roku dołączyły do NATO. Dlatego Pakt rozciągnął się na inne kraje w imię zasady gwarancji bezpieczeństwa – by te państwa miały pewność rozwoju politycznego i ekonomicznego, wiedząc, że NATO zostało ufundowane na tej podstawowej zasadzie zapewniającej wspólną obronę. Obecnie, po raz pierwszy od 1949 roku, USA mają prezydenta, który stawia znak zapytania przy tej regule. Zrobił to w maju 2017 roku, kiedy zanegował artykuł 5, w czasie przemowy przed nową siedzibą NATO. W tym samym dniu odsłonił pomnik upamiętniający ataki z 11 września – wydarzenia związanego z jedynym w historii wykorzystaniem artykułu 5 w celu obrony Stanów Zjednoczonych. Słyszeliście te słowa Trumpa w Polsce, Estonii czy na Litwie i pytaliście: czy możemy liczyć na prezydenta USA? Rzeczywistość jest taka, że sojusze opierają się nie tylko na zdolnościach i wysokości wydatków na obronę. Ich fundamentem jest zaufanie. Rządy muszą wierzyć w gotowość innych do pomocy w zakresie obrony. Jeśli to zaufanie zniknie, cały system się rozpada.

Wspomniałeś Polskę, która jest jednym z krajów sojuszu wydających 2 procent PKB na obronność. Warszawa jest obecnie zainteresowana

eprasa.pl 26a741fd42

uzyskaniem większego wsparcia ze strony wojsk amerykańskich i utworzeniem stałej bazy wojskowej na terytorium Polski. Jak oceniasz tę politykę? Czy uważasz, że USA pójdzie w tym kierunku? Zgodzono się ostatnio na zwiększenie obecności wojsk, ale co ze stałą bazą?

Pytanie dotyczące stałych baz lub zwiększonej obecności armii dotyka dwóch różnych spraw. Po pierwsze, zawsze jest potrzeba zwiększania bezpieczeństwa przez państwa, które czują się najbardziej zagrożone i zależne od pomocy innych. Polska czuje się zagrożona w związku z działaniami Rosji rządzonej przez Władimira Putina. Istnieje ciągła potrzeba potwierdzania gwarancji wynikających z Paktu, a fizyczna manifestacja tych zapewnień ma wielką wagę. Wojska i bazy są jednym ze sposobów, za pomocą których kraje mówią: „Dbamy o wasze bezpieczeństwo, jesteśmy tu, gdybyście nas potrzebowali". Pytanie brzmi, jak duża liczba wojsk i baz potrzebna jest do odstraszenia przeciwnika. Jest to tym ważniejsze obecnie, gdyż prezydent USA podważa zobowiązania swojego kraju w ramach NATO. W rezultacie jedyną faktyczną formą takiego zapewnienia staje się obecność wojsk oraz baz.

Dyskusja dotycząca tego, czy lepsze są stałe bazy, czy rotacyjna obecność sił nie powinna aż tak nas zaprzątać. Jest to mniej istotne niż to, jak szybko możemy zorganizować obronę Polski czy państw bałtyckich. Czy nasze struktury dowodzenia i logistyka są na to gotowe? Jaka jest ogólna zdolność bojowa sojuszu i jak szybko możemy przerzucić siły, na przykład z Teksasu do Gdańska, aby poradzić sobie z zagrożeniem, które może się pojawić lub już się pojawiło? To są fundamentalne pytania związane z odstraszaniem.

Tak na marginesie, bazy wojskowe są drogie. Za rządów Donalda Trumpa nie ma mowy, by Amerykanie za nie płacili – musielibyście finansować je we własnym zakresie. Nie jestem przeciwny bazom w Polsce, ale również nie jestem ich zwolennikiem. Niemniej fakt, że podczas swojego pobytu w Waszyngtonie prezydent Andrzej Duda nie był w stanie przekonać Trumpa do baz, pokazuje, że jest mniej prawdopodobne, że ten projekt zostanie zrealizowany w najbliższym czasie.

Przejdę do stosunków z Rosją, ponieważ jest to kolejny obszar, którym się zajmuję. Jaka jest twoja ocena stosunków amerykańsko-rosyjskich? Patrząc z zewnątrz, ale prawdopodobnie również z wewnątrz, wydaje się, że Biały Dom ma swoją politykę wobec Rosji, podczas gdy reszta establishmentu polityki zagranicznej, w tym Kongres, ma zupełnie inną. Jak inne kraje, zwłaszcza sojusznicy, powinny interpretować obecne podejście USA do Rosji i Władimira Putina?

Różnica w praktyce przebiega między Donaldem Trumpem i wszystkimi innymi. W czasie kampanii w 2016 roku Trump zaproponował koncepcję mówiącą, że silne i pozytywne relacje z Putinem i Rosją będą korzystne dla USA. To była czysta fantazja i wyłącznie przekonanie, że będzie to ko-

eprasa.pl 26a741fd42

rzystne. Nikt się z tym nie zgadza – łącznie z administracją prezydenta. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego John Bolton się nie zgadza. Również sekretarz stanu Mike Pompeo. Nie wiem, co nowy sekretarz obrony Mark Esper myśli o tej koncepcji, ale wątpię, że uważa ją za dobrą strategię. Nikt w Kongresie, ani jeden republikanin czy demokrata, żaden z ekspertów od polityki międzynarodowej nie zgadza się w tej kwestii z prezydentem. Koncepcję tę wyraża wyłącznie Donald Trump.

Trump jest przekonany, że legitymizacja jego władzy zależy od zanegowania zarzutów dotyczących postępowania Rosjan w 2016 roku. Postrzega twierdzenia, że Rosjanie ingerowali w przebieg wyborów, oraz to, że Putin chciał jego wygranej, jako podważanie jego zwycięstwa. W tym tkwił problem. Uważam, że kwestia rosyjskiej ingerencji oraz ostateczny wynik wyborów to oddzielne sprawy. Niezależnie od tego, Trump je łączy, podobnie jak wielu jego krytyków. W wyniku tego mamy do czynienia z dziwną sytuacją, w której prezydent Stanów Zjednoczonych wydaje się mieć jakiś sentyment do Władimira Putina. Wielu polityków zgadza się z Trumpem: Matteo Salvini we Włoszech, Marine Le Pen we Francji czy wielu innych przedstawicieli skrajnej prawicy na zachodzie i południu Europy. Dzieje się tak też po lewej stronie sceny politycznej, jak w przypadku Gerharda Schrödera. Putin ich przyciąga. Również rząd węgierski chce mieć silne i pozytywne relacje z Kremlem. Po drugiej stronie są ci, którzy mają realistyczne spojrzenie na prezydenta Putina, jak Angela Merkel czy władze Polski i państw bałtyckich. W istocie Trump mieści się w podziałach, które faktycznie istnieją od długiego czasu. Przebiegają one między tymi, którzy uważają, że z Rosją należy się konfrontować, oraz zwolennikami dialogu z Putinem. To długotrwały podział obowiązujący w Europie. Funkcjonował przed zimną wojną i w jej trakcie. Do pogłębienia tego sporu doszło w latach dziewięćdziesiątych XX wieku oraz przez ostatnie piętnaście lat – Trump idealnie się w nim odnalazł. Natomiast podziały i skłócanie to jest właśnie cel Rosji, tak jak wcześniej Sowietów. Z perspektywy Warszawy czy Berlina podejście Trumpa do Putina może wzbudzać co najmniej zaniepokojenie.

Wspomniałeś o ingerencji rosyjskiej w 2016 roku. Zbliżają się wybory w 2020 roku. Czy myślisz, że wyciągnięto wnioski po tym, jak Rosjanie starali się wpływać na amerykańską politykę? Czy istnieje ryzyko powtórki scenariusza z 2016 roku?

Prezydent nie dopuszcza do siebie informacji i nie akceptuje poglądu, że jest to realne zagrożenie. Mówił nawet publiczne, że zewnętrzne ingerencje w proces wyborczy są dobre, jeśli przynoszą korzyści jednej ze stron. Stanowisko to jest szkodliwe dla systemu demokratycznego i znacznie utrudnia odpowiednią obronę przed tego rodzaju ingerencją, która, nawiasem mówiąc, jest nie tylko rosyjska. Działania na tym polu prowadzą również Chiny, prawdopodobnie Iran, może nawet Korea Północna. Musimy dysponować znacznie lep-

eprasa.pl 26a741fd42

szymi zabezpieczeniami. Musimy mieć też nadzieję, że kraj, mimo podziałów politycznych i poparcia dla różnych kandydatów, zjednoczy się w tej kwestii. O wyborach powinni decydować amerykańscy obywatele, a nie ingerencje obcych sił. Kongres nie uchwalił przepisów niezbędnych do wzmocnienia bezpieczeństwa naszego systemu wyborczego. Jeśli nic nie zrobimy, to sytuacja może się powtórzyć.

Wracając do wyborów w USA w 2020 roku – jak ważne będą tematy polityki zagranicznej i bezpieczeństwa? A może zostały już podjęte w czasie prawyborów w Partii Demokratycznej, które wystartowały z pierwszymi debatami w lipcu?

Przyjmując, że nie dojdzie do wielkiego kryzysu, takiego jak drastyczne pogorszenie stosunków z Iranem czy Chinami, a sytuacja nie zmieni się szczególnie w porównaniu ze stanem dzisiejszym, myślę, że polityka zagraniczna pozostanie marginalnym tematem wyborów. Nie było to istotne zagadnienie w czasie wcześniejszych kampanii, nie będzie również w tym przypadku. Jeśli nie wykaże się, że dana kwestia doprowadziła do realnych i zasadniczych problemów dużej liczby Amerykanów, trudno jest zrobić z tego temat kampanii. Prezydent może chcieć wykorzystać pewne tematy międzynarodowe, robi tak z kwestią migracji, która w pewnym sensie jest częścią polityki wewnętrznej, ale również zagranicznej. Podobnie jeśli chodzi o stosunki z Pekinem. Jeżeli w 2020 roku dojdzie do wielkiej wojny handlowej z Chinami, może mieć to duży wpływ na rozwój ekonomiczny USA oraz na przebieg wyborów.

Na podstawie obserwacji prawyborów w Partii Demokratycznej nie wydaje mi się, żeby polityka zagraniczna mogła odegrać jakąś znaczącą rolę. Głównym pytaniem jest to, kto będzie w stanie najskuteczniej zjednoczyć demokratów i pokonać Trumpa. Stopień, w jakim polityka zagraniczna jest składnikiem tego wysiłku, może mieć pewien wpływ na proces nominacji demokratów. Prawdopodobnie pomogłoby to Joe Bidenowi, ponieważ ma on najwięcej doświadczenia w tym zakresie w porównaniu z innymi kandydatami. Ale o nominacji Bidena zadecydowałoby przede wszystkim przekonanie żywione przez obywateli, że będzie on w stanie pokonać Trumpa, a nie jego doświadczenie w polityce zagranicznej.

Ivo Daalder jest przewodniczącym Chicago Council on Global Affairs, w latach 2009–2013 pełnił funkcję ambasadora USA przy NATO.

Niniejszy wywiad powstał dzięki współpracy z Fundacją im. Heinricha Bölla w Warszawie w ramach programu stypendialnego dla dziennikarzy Transatlantic Media Fellowships. Zawarte w nim poglądy i konkluzje nie muszą odzwierciedlać oficjalnego stanowiska Fundacji im. Heinricha Bölla.

eprasa.pl 26a741fd42

To jednak Rosja

Tekst i zdjęcia Marcin Prengowski

Czemu nie wybrać się w podróż do byłej stolicy Cesarstwa historyczną trasą? Kiedyś wsiadano na dworcu w Warszawie, by wysiąść w ówczesnym Petersburgu. Dawną trasę kolei pocięły nowe granice. I tylko do dnia dzisiejszego kolej szerokotorowa niemal bezbłędnie (z wyjątkiem Polski) wyznacza granice Imperium Rosyjskiego.

Droga Żelazna Petersbursko-Warszawska czy, jak wolą Polacy, Kolej Warszawsko-Petersburska została uruchomiona w 1862 roku. Dziś nie tworzy już całości i ma znaczenie prawie wyłącznie lokalne, a zdeklasowane dworce końcowe po obu stronach trasy stały się centrami handlowymi, które z nostalgią nawiązują do chlubnej przeszłości. Dworzec w Warszawie sugeruje kierunek wschodni, orientalny. Natomiast dworzec w Petersburgu, tak jak całe miasto, marzy o Zachodzie. Choć niemal zapomniana kolej może być uważana za swego rodzaju północny odpowiednik sławnego Orient Expressu, bo przecież dzięki niej z Wiednia (a zatem również z Włoch i Francji) przez Warszawę można było dojechać koleją do Petersburga.

Wstęp bez nabitej broni

Ponoć car Mikołaj I był zdecydowanym przeciwnikiem kolei. Bał się, że w przypadku wojny drogi żelazne mogą zostać użyte przez nieprzyjaciela. Zapewne dlatego wspomniana linia kolejowa, w przeciwieństwie do powstałej pod koniec lat czterdziestych XIX wieku Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, miała inny, szerszy rozstaw szyn. Mimo konserwatyzmu władcy dostrzegano walory szybkiego transportu. Po wybudowaniu kolei z Warszawy do granicy z Austrią powstały jeszcze niewielka Carskosielska łącząca stolicę z pobliską rezydencją cesarską oraz Petersbursko-Moskiewska zwana też Mikołajewską. Na póki co skromnej mapie dróg żelaznych ewidentnie brakowało połączenia stolicy imperium z zachodnią Europą. Decyzję o budowie podjęto w 1851 roku, lecz z powodu wojny krymskiej prace wstrzymano po ukończeniu pierwszego odcinka z Petersburga do Gatczyny. Po zakończeniu konfliktu prace ruszyły od nowa i właśnie w 1862 roku dokonano oficjalnego otwarcia. Kolej pokonywała 1046 wiorst (wiorsta, czyli według dawnej miary ponad kilometr) w 38 godzin. Oczywiście najważniejsze dla gospodarki były składy towarowe,

eprasa.pl 26a741fd42



lecz nie bez znaczenia był również ruch osobowy. Funkcjonowały trzy klasy, które znacząco różniły się standardem. Jak informował oficjalny biuletyn, do wagonów nie wolno było brać psów ani nabitej broni, natomiast dzieci do lat pięciu mogły jechać bezpłatnie, jeśli siedzą na kolanach osoby dorosłej. Wprowadzono detaliczny cennik, który pozwalał przewieźć niemal wszystko – od towarów, poprzez zwierzęta gospodarskie, a na całych powozach kończąc. W 1895 roku kolej została wykupiona przez władze i upaństwowiona, a swój samodzielny byt zakończyła w 1906 roku, kiedy włączono ją w struktury Północno-Zachodnich Dróg Żelaznych. Pociągi relacji Petersburg–Warszawa jeździły do czasu zajęcia tej drugiej przez wojska niemieckie w 1915 roku. Po I wojnie światowej, w związku z przecięciem linii kilkoma granicami państwowymi i zamknięciem się bolszewickiej Rosji, funkcjonowanie kolei na całym jej odcinku nie mogło mieć miejsca. Z polskiej strony funkcjonowała Kolej Warszawsko-Wileńska, która kończyła swój bieg na granicy z Łotwą w Turmoncie.

Wileński, ale nie do Wilna

W Warszawie z pozoru brak śladów carskiej obecności sprzed stu pięćdziesięciu lat. Tymczasem dzisiejszy Dworzec Wileński (za czasów carskich Petersburski) sąsiaduje z monumentalną cerkwią Świętej Marii Magdaleny, która powstała niedługo po uruchomieniu kolei. Z łatwością można wyobrazić sobie obrazek, jaki widzieli przyjeżdżający po raz pierwszy carscy urzędnicy i goście z Petersburga wysiadający

eprasa.pl 26a741fd42



z pociągu w Warszawie. Nie było wątpliwości, częścią jakiego świata jest gubernia warszawska. Dziś Dworzec Petersburski nie istnieje. Zakończył żywot z rąk swoich budowniczych – zniszczyli go w 1915 roku Rosjanie wycofujący się przed napierającymi wojskami niemieckimi. Okolice dworca zmieniły przeznaczenie. Dziś znajduje się tu Galeria Wileńska. Nowoczesny kompleks sklepów i kawiarni podobny jak na innych dużych dworcach. Tyle że z Dworca Wileńskiego można dostać się najdalej do… Małkini, stąd do Pitera nie dojedziemy. Pozostaje wsiąść do pociągu podmiejskiego i pojechać do Tłuszcza. To miasto, tak jak i wiele innych na trasie, zyskało na budowie kolei. W przeciwieństwie do zachodniej części Królestwa Polskiego, gdzie kolej łączyła prężnie rozwijające się ośrodki przemysłowe i starała się ten rozwój przyspieszyć, to pociągi do Petersburga miay na celu pokonanie przestrzeni jak najszybciej, raczej omijając mniejsze ośrodki miejskie. Z biegiem czasu historyczne miasta podupadały, rodziły się nowe. Czy to nie symptomatyczne dla tej części świata? W Tłuszczu konieczna jest przesiadka w pociąg pośpieszny do Białegostoku – polskiej bramy Wschodu. Co zaskakujące, pociąg z Warszawy przez Białystok zmierza do Gdyni…

Brama Wschodu

Ozdobą Białegostoku jest dziewiętnastowieczny dworzec, który swego czasu zdobył tytuł najładniejszego dworca w Polsce. Niestety obecnie stacja jest w remoncie. Stare fotografie prezentują jednak, jak dawniej wyglądało życie dworcowe. Poczekal-

eprasa.pl 26a741fd42

nie nie były tak egalitarne jak dziś i dzieliły się na kilka klas w zależności od posiadanego biletu. Białystok był natomiast jednym z wielu miast, które zyskało na powstaniu kolei. Po upadku powstania listopadowego między Królestwem Polskim a Rosją właściwą wprowadzono granicę celną. Chcąc uniknąć ceł, fabrykanci z Łodzi przenosili zakłady włókiennicze. Najbliższym większym miastem tuż za granicą był właśnie Białystok. Powstała później kolej pozwoliła szybko dostarczyć do stolicy wytworzone dobra. Białystok z prowincjonalnej mieściny, ustępującej pobliskiemu Grodnu, zaczął się szybko rozwijać. Powstawały liczne manufaktury, przybywało mieszkańców, głównie wyznania mojżeszowego. Miasto miało wciąż prowincjonalny charakter, ale było gwarne. Z jednej strony rynku cerkiew Świętego Mikołaja, z drugiej bazylika katolicka, którą postanowiono rozbudować, by dorównywała prawosławnej świątyni. Trzeci róg rynku zamykała duża synagoga. Tylko ona nie przetrwała czasu II wojny światowej. O żydowskim charakterze miasta po wojnie próbowano zapomnieć. Miasto licznie zaludnili dotychczasowi mieszkańcy okolicznych wsi. I choć dziś istnieje Szlak Dziedzictwa Żydowskiego i Centrum im. Ludwika Zamenhofa, to jest to jakby nieco sztuczna atrakcja turystyczna wokół polskiej codzienności.

Białoruś zaczyna się na dworcu

Pociąg z Gliwic do Grodna nosi szumną nazwę Visit Grodno. Wjeżdża do Białegostoku z wyprzedzeniem, po to by odczepić niepotrzebne wagony. Zostają tylko skromne dwa, które wyglądają nieco śmiesznie jak na pociąg rangi międzynarodowej. Są jednak pełne, ludzie stoją na korytarzu. Konduktor to już nie zwykły kontroler biletów, a przewodnik, niemal ojciec. Każdemu pomoże, z każdym porozmawia, doradzi, co jest dozwolone, a czego kategorycznie nie wolno. To on odwiedza każdy wagon i zadaje sakramentalne pytanie: „Macie Kartę Polaka?" Faktycznie, w pociągu są niemal wyłącznie obywatele Białorusi i chyba wszyscy są dumnymi posiadaczami tego dokumentu. Znajdziemy tam osoby zarówno na stałe żyjące w Polsce, jak i tymczasowo tu pracujące, studentów, którzy wracają na ferie czy katolickie zakonnice z Lidy. Turystów niemal nie ma. Zaczyna się inny świat. Jakże inny od tego w poprzednich pociągach, gdzie ludzie siedzą z nosami w smartfonach. Tu się rozmawia. To już Białoruś. Zakonnice rozmawiają ze studentami: „Chłopcy, a jak skończycie studia, to wrócicie, żeby budować swoją ojczyznę?" Odpowiedź nie musi tu być cytowana.

Postój w Kuźnicy Białostockiej. „Będziemy stać trzydzieści minut, czekamy na polską odprawę". Na miasto wychodzimy zawsze z paszportami. „Miasto" ma dworzec, kantor i kilkadziesiąt drewnianych domów. Paszport wydaje się przesadnym obowiązkiem. Oczekiwanie na odprawę sprawia, że jest ona czymś niezwykłym – w końcu to granica Unii Europejskiej. Odprawa przebiega jednak sprawnie i bez

eprasa.pl 26a741fd42



ostentacyjnej powagi. Dokładnie na granicy postój techniczny. Mały posterunek, buda dla psa, wszystko na zielono. Wsiadają białoruscy pogranicznicy. Niezwykle uprzejmi, ale stanowczy. Pociąg przejeżdża przez Niemen. Po lewej stronie widać stare miasto. Dworzec nie pamięta cara. Pamięta jednak doskonale czasy radzieckie. Specjalnie ustawione bramki oraz asysta żołnierzy z czapkami wyglądającymi jak lotniska nie pozostawiają wątpliwości, gdzie należy się udać. Tu odprawa jest na poważnie. Wschód jest grzeczny, uprzejmy, ale dociekliwy. Pytania przy kontroli bagażu mogą przyprawić o zawrót głowy. Wszystko jednak kończy się dobrze. Procedury, pytania – tak ma być. A życie życiem.

Z Grodna kolej wiedzie w stronę Litwy. Można dojechać „elektryczką" do Porzecza, a nawet dalej do Ubiereża, choć to jakiś kołchoz. Granicy litewskiej nie da się koleją przekroczyć. Upadek ZSRR zamknął to połączenie. Tory są – pociągi nie jeżdżą. Tymczasem Porzecze to urokliwa miejscowość o charakterze wypoczynkowym. Wyremontowany dworzec robi wrażenie, choć jest pusty. Przed nim pomnik żołnierzy Armii Czerwonej. Niedaleko restauracja, cerkiew, kościół i drewniane domy. Na chodniku zwały śniegu. Trzeba iść po ulicy. Zmierzcha. Pusto. Podjeżdża milicja. W środku auta „szeryf". Szereg uprzejmych, aczkolwiek dociekliwych pytań, a na zakończenie silna słowna zachęta do korzystania z chodnika i uważania na siebie. Ostatni pociąg do Grodna odjeżdża przed dwudziestą. Na dworcu nie ma kasy.

O ile Białystok to polska brama do Wschodu, o tyle Grodno chce być białoruską bramą Zachodu. Starannie utrzymane kamienice, europejskie kawiarnie, remon-

eprasa.pl 26a741fd42

towany (lub raczej odbudowywany zamek) sprawiają, że Polak czuje się tu dobrze, niemal u siebie. Do tego dochodzą niezwykła uprzejmość mieszkańców. I tylko wciąż obecna symbolika z poprzedniej epoki wskazuje, że to już inny świat.

Marzenie o Europie

Z Grodna trzeba przedostać się na Litwę autobusem. Linie kursują regularnie. Najpierw do Druskiennik, a stamtąd do Marcinkańców, pierwszej stacji Kolei Warszawsko-Petersburskiej po litewskiej stronie. Jak informuje przewodnik z 1862 roku, jest to „miasteczko niewielkie, (…) żadnych wspomnień historycznych nie posiada". I od tego czasu niewiele się zmieniło. Marcinkańce to mała drewniana osada, siedziba tutejszego parku narodowego. Bardzo cicha. Tory prowadzą w obie strony – do Wilna i na Białoruś. Pociągi jeżdżą jednak tylko w jednym kierunku. Tory szerokie, rosyjskie. Piękny, drewniany dworzec w carskim stylu. W środku kasa zamknięta. Kobieta na stojąco robi na drutach. Chyba pilnuje, żeby paliło się w piecu. Przed dworcem palma z misiem koala. Palm jest więcej, są zrobione z butelek PET. To jednak Europa. Albo marzenie, żeby to była Europa, podobnie jak marzą o tym Białystok czy Grodno.

Wjeżdża elektryczka. Taka sama jak na Białorusi. Podobna konduktorka sprzedaje bilety z takiego samego urządzenia. Tylko waluta inna i cena też inna. Jazda do Wilna zajmuje dwie godziny, pociąg pokonuje w tym czasie 93 wiorsty. Stolica zbliża się nieubłaganie – 387 wiorsta z 1046 do Petersburga. Czy to już Wschód?

Dworzec mówi, że to jednak Europa. Nowoczesne wyświetlacze. Pianino w poczekalni do dyspozycji gości. Półka z książkami, fikuśne fotele. Ale pociągów niewiele. Grodzieński dworzec daje wrażenie centrum komunikacji. Wileński mówi, że chciałby nim być. Ale chociaż to stolica, zdecydowanie nim nie jest. Kolej nie jest popularna na Litwie. O Wilnie pisać tu nie wypada, bo nie temu poświęcony jest ten tekst. Warto jednak, odwiedzając to miasto, na chwilę zapomnieć o polskim dziedzictwie – do dziś znajdziemy też ślady rosyjskie i nie powinniśmy zapominać o obecnych, litewskich. Słowem – miasto wielokulturowe.

Tory są, kolej nie jeździ

Z Wilna Kolej Warszawsko-Petersburska prowadzi na Łotwę do drugiego pod względem wielkości w kraju miasta – Dyneburga. 162 wiorsty w niespełna trzy godziny pokonuje taka sama elektryczka, z taką samą konduktorką, mającą taki sam automat do biletów. Pociąg jeździ tylko w weekendy. I chyba to też za często. Pasażerów jak na lekarstwo. Pociąg wlecze się wzdłuż białoruskiej granicy przez małe wsie

eprasa.pl 26a741fd42



i osady, błota i lasy. O tym, że kończy się Litwa, świadczy malutki dworzec w Turmontach, gdzie widać litewską flagę. O tym, że zaczyna się Łotwa, nic nie świadczy, granica powinna leżeć na Dźwinie, ale jeszcze w 1918 roku Łotysze zajęli nieco ziemi po drugiej stronie rzeki. Dwa bratnie narody, a niewiele je łączy. Po co jeździć z Wilna do Dyneburga? Na upartego można, bo nieco taniej. No ale to aż trzy godziny w elektryczce. Bez sensu.

Na dworcu czas się zatrzymał na latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Kilka pociągów dziennie. Głównie Ryga. Raz Mińsk i w weekend Wilno. Nic więcej. W poczekalni ktoś śpi. Toalety czynne tylko w wyznaczonych godzinach. Na szczęście nikt ich nie zamyka. Ciągle wchodzą ludzie, jakby oczekiwali, że jednak pociągów będzie więcej. Tablice nie są interaktywne, z daleka sprawiają takie wrażenie, ale z bliska widać, że to po prostu tablice z dziurkami. Jak zabawka dla dzieci. Wystarczy wyjść z dworca, aby znaleźć się na bulwarze prowadzącym przez centrum do rzeki Dźwiny. To reprezentacyjna część miasta. Jest tu katolicki kościół z mszami po łotewsku i polsku, uczelnia wyższa, restauracje, sieci handlowe, wszystko co potrzebne. Dalej zaczyna się poradzieckie miasto. Bloki, bloki i twierdza, której wnętrza dziś również mieszczą restaurację bądź dom weselny. Język ulicy to język rosyjski. Jak się stąd wydostać? Tory są. Kolej nie jeździ. Do Rzeczycy, a potem Ostrowa i Pskowa nie pojedziemy dziś koleją. Pozostaje autobus.

Autobus zmierza gdzieś z głębokiej Litwy, celem jest Petersburg. Pasażerowie pochodzą z wielu krajów. Jest wśród nich również mieszkaniec Łotwy, który obywa-

eprasa.pl 26a741fd42



telstwa tego kraju się nie dorobił. Nie ma też paszportu rosyjskiego, a narodowość taką ma z pewnością. Jest jednak zbyt stary, żeby się tym przejmować:

– Tu się urodziłem i nigdy nie potrzebowałem paszportu do Rosji. – A może jednak paszport ma, tylko nie chce tłumaczyć się obcej osobie mówiącej z wyraźnym bałtyckim akcentem. Autobus sprawnie pokonuje kolejne wiorsty, a jest ich aż 240. Jedna czwarta trasy wyłączona z ruchu kolejowego. Jeszcze niedawno z Ostrowa można było dojechać do Pitera. Jest dworzec, są tory, połączenia nie ma. W internecie można znaleźć komentarze, że zamknięto ostatnie okno na świat dla mieszkańców małego dziś miasta.

Wróćmy jednak do autobusu. Przejście graniczne, obie odprawy sprawne. Staruszek bez problemów dostaje się na terytorium Rosji. Psków – miasto historia, to już Rosja, choć historycznie to pogranicze. Byli tu Litwini, byli Kawalerowie Mieczowi, byli Polacy i Szwedzi. Monumentalny dworzec pamięta cara. Pamięta nie tylko podróżującego koleją, ale też abdykującego. To tu Mikołaj II złożył rezygnację z urzędu w 1917 roku, o czym świadczy pamiątkowa tablica. Wrażenie robi średniowieczny kreml z monumentalną cerkwią w centrum.

Jaskółka

Pskowski dworzec jest monumentalny, choć połączeń ma niewiele. Właściwie tylko do Petersburga. Ale żeby wejść na stację, trzeba przejść przez bramkę, w środku

eprasa.pl 26a741fd42



policja. A pociąg to nowoczesność sama w sobie: skład o słodkiej nazwie Lastoczka (Jaskółka) w sam raz nadaje się dla ludzi jeżdżących do Pitera do pracy. Sunie nawet 140 kilometrów na godzinę, ale żeby do niego wejść, ba, nawet żeby kupić bilet, kontrola paszportowa jest konieczna. 257 wiorst pokonujemy w trzy i pół godziny, mijając po drodze prawdziwą Rosję – typowa flora oraz tradycyjna zabudowa rzadkich miejscowości. Punktualnie o godzinie 9.30 skład zatrzymuje się na stacji końcowej, która nazywa się Petersburg Bałtycki. Ale to nic, paręset metrów dalej jest Dworzec Warszawski. To tam ongiś wjeżdżały pociągi z Europy. Dziś, podobnie jak na Dworcu Wileńskim w Warszawie, jest tu galeria urządzona ze smakiem. Są też akcenty dworcowe, a neon na szczycie głosi: Warszawski Express. Tak wyglądają wrota do pięciomilionowego miasta w Rosji. Olbrzym sprawia wrażenie prawdziwie zachodniej metropolii. Jedynie cyrylica, cerkwie nieco otrzeźwiają. Pęd ludzi, tłoczne metro, turyści, drogie knajpy i deptaki sugerują coś innego. Ale nie. Na przejściu dla pieszych przed dworcem warszawskim skośnooka kobieta jedzie na koniu czy też kucu. To jednak Rosja…

Marcin Prengowski jest dziennikarzem zajmującym się Europą Środkową i Wschodnią ze szczególnym uwzględnieniem procesów kolonialnych oraz wielokulturowości. Współpracuje z portalem Eastbook.eu.

eprasa.pl 26a741fd42

Trzy tęsknoty za wodzem

Tekst i zdjęcia Stasia Budzisz

Stalin to była niezwykła postać. Potrafił być bardzo dobry i bardzo zły. Nikt nie wie, kim on był naprawdę. Był wyżej człowieka i trochę niżej Boga.

Gruzini rzadko odwiedzają muzeum w Gori, w odróżnieniu od Chińczyków, Rosjan czy nawet Polaków. Choć na tych ostatnich pracownicy narzekają: że nie podchodzą z należytym szacunkiem, że zadają niewygodne pytania, że szukają dziury w całym. Zdarza się nawet, że potrafią opluć pomnik albo popiersie wodza.

W górskim muzeum można zatracić się w magii cyfr. Na ich symbolikę zwracają uwagę prawie wszyscy przewodnicy. Stalin zmarł w wieku siedemdziesięciu trzech lat, a przez trzydzieści siedem niepodzielnie rządził krajem. Był też wysoki, na pewno wyższy od Berii. Liczył 174 centymetry wzrostu, choć źródła podają 163 centymetry.

– Wiadomo – utwierdza przewodniczka – zmierzono go po śmierci, a wtedy człowiek się kurczy.

Nawet ten ze stali.

Siedziba

Jest marzec 2018 roku. Lokum jest skromne i liczy nie więcej niż dziesięć metrów kwadratowych. Zajmuje je kilka starych kinowych krzeseł, ławka i stół przykryty czerwoną ceratą. U jego szczytu stoi biurko, a na nim: nieuporządkowane papiery, wazon ze sztucznymi kwiatami, kubek z wizerunkiem Stalina, gipsowe popiersie wielkiego nauczyciela i lampka. Ale nie działa, bo w siedzibie organizacji „stalinistów" nie ma ani prądu, ani ogrzewania. Stowarzyszenie nie dostało dotacji od państwa, a ze skromnych emerytur jego członków nie starcza na takie luksusy. Najwytrwalsi spotykają się jednak co piątek, o trzynastej.

Za biurkiem siedzi przewodniczący „stalinistów" – Aleksander Lursmaniszwili i otwiera posiedzenie.

– Towarzysze – mówi – będziemy dziś rozmawiać po rosyjsku, ze względu na naszego gościa z Polski. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że zwróciła pani uwagę na Stalina. Co prawda, wpisuje się to w aktualną modę, bo zainteresowanie Josifem Wissarionowiczem z roku na rok rośnie.

– *Mołodiec*, *mołodiec* – odzywają się głosy.

eprasa.pl 26a741fd42

– Fanta, cola, bordżomi? – przerywa przewodniczącemu starsza pani, by mnie ugościć.

– Bordżomi poproszę – mówię.

W filiżance z chińskiej porcelany dostaję colę.

– Nasze stowarzyszenie działa już dwadzieścia pięć lat i liczy około trzystu członków. Jeśli chodzi o aktywnych działaczy, to można powiedzieć, że jest nas około pięćdziesięciu – kontynuuje przemowę Lursmaniszwili.

Jedna z członkiń głośno ziewa.

– Mamy problem z młodym aktywem. Osób „młodych", około pięćdziesiątki, jest zaledwie 10 procent. Nasz główny cel to powtórne postawienie pomnika Stalina na postumencie, ale nie w centrum miasta, gdzie stał do 2010 roku. Chcemy postawić go przy muzeum, tak by nikt go nie ruszył. Zebraliśmy już cztery tysiące podpisów i mamy nadzieję, że w tym roku na Dzień Zwycięstwa uda nam się zrealizować plan. Stalina z centrum miasta zdjęto pod osłoną nocy. Saakaszwilemu udało się to, co nie udało się ani Chruszczowowi, ani Gorbaczowowi. Ale zrobimy wszystko, by Stalin wrócił. Póki co leży pod Gori, w fatalnych warunkach: twarzą do ziemi, przykryty brezentem. To hańba dla naszego narodu.

Starsza pani słabnie, druga pomaga jej wyjść na zewnątrz.

– Kolejny cel to sprowadzenie jego prochów do ojczyzny, ale tego dokonamy tylko pod warunkiem, że zgodzą się Rosjanie – kontynuuje przewodniczący. – Rosjanom też zależy na tym, by mieć go u siebie, bo to był człowiek wielkiego formatu. To nie jest tylko gruziński bohater. Stalin to osiągnięcie całej ludzkości.

– O tak, całej! – przytakuje około pięćdziesięcioletni mężczyzna.

– Skoro już nas pani znalazła, to czujemy się w obowiązku powiedzieć całą prawdę o Stalinie, bo my już wiemy, co sobie w Polsce myślicie. Katyń to sprawa Niemców, Stalin by tego nigdy nie zrobił – utwierdza Lursmaniszwili. – Pani się pewnie ze mną nie zgodzi, ale to mnie też nie dziwi. Po prostu nie operuje pani faktami. Aktualnie w Gruzji dzieje się źle i oczywiste jest, że potrzebny jest Stalin. I Rosja. Rosja to jedyna przyszłość dla naszego kraju.

Do ucha słyszę pytanie:

– Fanta, cola, bordżomi?

– Dziękuję, jeszcze mam.

– Życzyłbym nam wszystkim, towarzysze, by narodził się w naszym narodzie jeszcze jeden Stalin. On był wzorem dla całego sowieckiego narodu, nie tylko dla Gruzji. Dziś porównuje się do niego Putina, ale jemu daleko jeszcze do wzoru, choć dla Rosji Putin to władca doskonały. Sama Rosja jest fenomenem takim samym jak Stalin. A Rosjanie to prawdziwi patrioci, szanują swoją ojczyznę i ta miłość jest gwarantem tego, że przetrwają wszystko i przed nikim nie padną na kolana. Dobrym wład-

eprasa.pl 26a741fd42

cą, prawdziwym synem swojego narodu jest też Ramzan Kadyrow. Wiem, że on nie lubi Gruzji, ale jestem mu to w stanie wybaczyć, bo to prawdziwy mąż stanu. Podobnie Łukaszenka na Białorusi. Naród go kocha i nawet *batkoj* nazywa. A z Gruzji ludzie uciekają. Uciekają, bo jest źle. Słyszeliście, towarzysze, by ktoś uciekał z Korei Północnej? Pewnie nie. Nie uciekają, bo po co, jeśli im dobrze.

– Prawda – wtóruje pani około osiemdziesiątki.

– Ostatnie święto, smutne, obchodziliśmy 5 marca. W rocznicę śmierci Josifa Wissarionowicza. Co roku zbieramy się w cerkwi, palimy za niego świeczki i się modlimy. Powinna pani przyjechać 9 maja. Organizujemy pochód z siedziby organizacji do muzeum. Zapraszamy.

Przyjeżdżam.

Pochód

Z siedziby stowarzyszenia wychodzą dwa obrazy Stalina. Każdy z nich niosą dwie osoby. Na przedzie idzie największy. Niesie go Nazi Stopaniszwili, sekretarz organizacji oraz zasłużona, mniej więcej osiemdziesięcioletnia komunistka.

Dwie na galowo ubrane dziewczynki trzymają portret Stalina. Do obrazu podchodzą ludzie. Całują, głaszczą, robią sobie selfie. Przychodzi pop, stawia bukiet kwiatów w koszyku.

Potem proporce i flagi. Flagi są dwie: czerwona socjalistyczna i współczesna, z pięcioma krzyżami. W pochodzie idzie dziesięć osób. Wszyscy ubrani są odświętnie, a pięćdziesięciolatki w T-shirty z wizerunkiem wodza. Aleksander Lursmaniszwili przygotował megafon, będzie przemawiał.

Pod muzeum mały tłum: turyści, media, mieszkańcy i policja. Ta ostatnia niemal od razu nakazuje zwinąć sowiecki sztandar. W Gruzji od 2010 roku istnieje zakaz używania symboliki sowieckiej i faszystowskiej.

Pod jednym z muzealnych eksponatów, domem, w którym miał przyjść na świat największy Gruzin, ustawiają się członkowie stowarzyszenia z flagami i obrazami Dżugaszwilego.

Dwie na galowo ubrane dziewczynki z warkoczykami trzymają portret Stalina. Do obrazu podchodzą ludzie. Całują, głaszczą, robią sobie selfie, albo proszą innych o zdjęcie. Przychodzi też pop i stawia pod nim bukiet kolorowych kwiatów w koszyku. Potem jest wręczenie medali „Aurora" dla najbardziej aktywnych członków stowarzyszenia. Medale miały być rozdane w marcu, ale nie zdążyły przyjść z Moskwy. Na piersiach zawisną dziś.

Potem już tylko wywiady, zdjęcia i pir.

eprasa.pl 26a741fd42

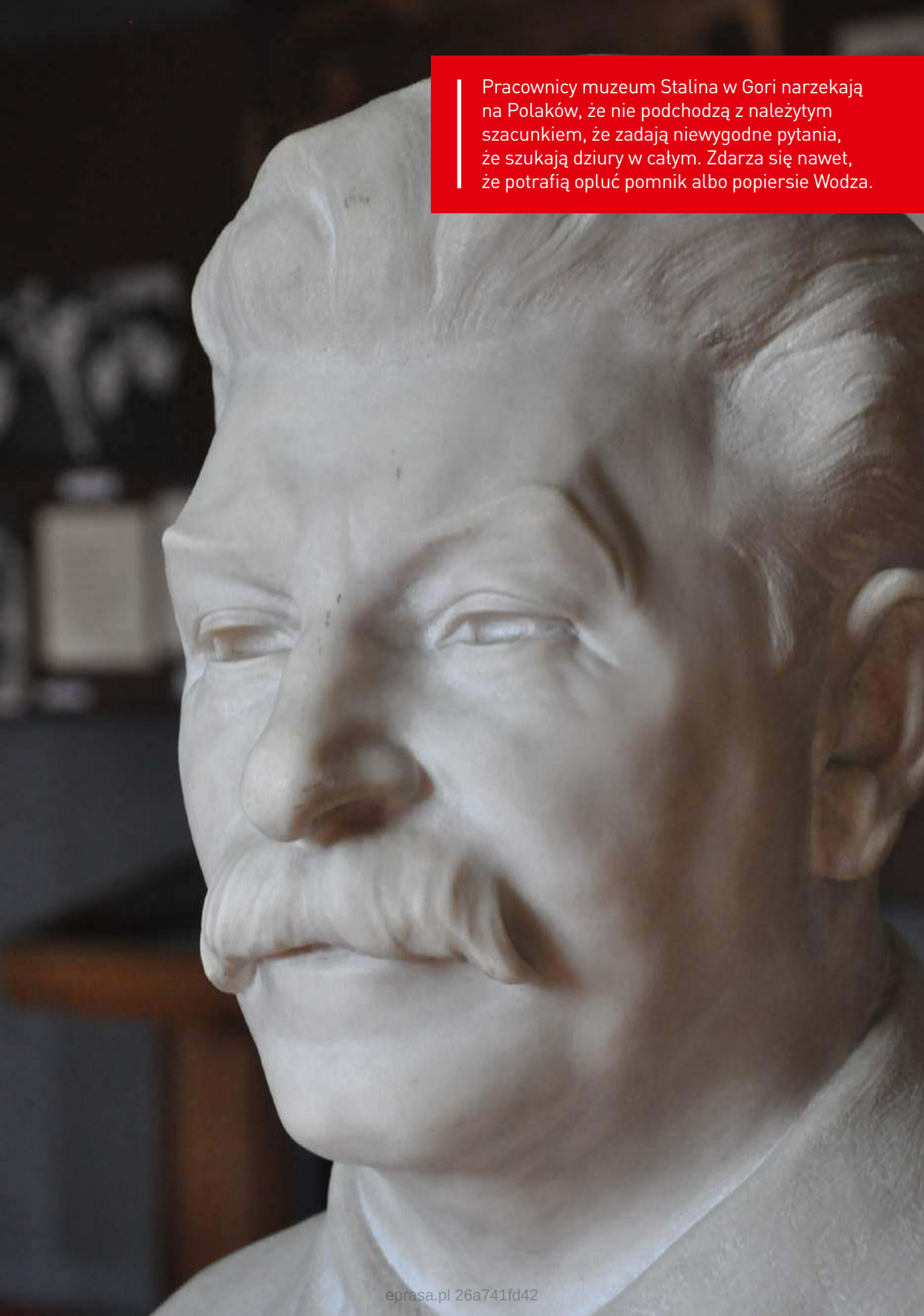

Pracownicy muzeum Stalina w Gori narzekają na Polaków, że nie podchodzą z należytym szacunkiem, że zadają niewygodne pytania, że szukają dziury w całym. Zdarza się nawet, że potrafią opluć pomnik albo popiersie Wodza.

eprasa.pl 26a741fd42



eprasa.pl 26a741fd42



W siedzibie organizacji „stalinistów” nie ma ani prądu, ani ogrzewania. Nie dostała dotacji od państwa, a ze skromnych emerytur członków stowarzyszenia nie starcza na takie luksusy. Najwytrwalsi spotykają się jednak co piątek, o trzynastej.

eprasa.pl 26a741fd42

Mamy problem z młodym aktywem. Osób „młodych", około pięćdziesiątki, jest zaledwie 10 procent – mówi jeden z liderów „stalinistów" w Gruzji.





Pod jednym z muzealnych eksponatów, domem, w którym miał przyjść na świat największy Gruzin, ustawiają się członkowie stowarzyszenia z flagami i obrazami Dżugaszwilego. Dwie na galowo ubrane dziewczynki z warkoczykami trzymają portret Stalina. Do obrazu podchodzą ludzie. Całują, głaszczą, robią sobie selfie albo proszą innych o zdjęcie.

eprasa.pl 26a741fd42



eprasa.pl 26a741fd42



W górskim muzeum można zatracić się w magii cyfr. Na ich symbolikę uwagę zwracają prawie wszyscy przewodnicy. Stalin zmarł w wieku siedemdziesięciu trzech lat, a przez trzydzieści siedem niepodzielnie rządził krajem. Był też wysoki, na pewno wyższy od Berii. Liczył 174 centymetry wzrostu, choć źródła podają 163 centymetry. – Wiadomo – utwierdza przewodniczka – zmierzono go po śmierci, a wtedy człowiek się kurczy.

eprasa.pl 26a741fd42



W Gruzji od 2010 roku istnieje zakaz używania symboliki sowieckiej i faszystowskiej.

eprasa.pl/2a741fd42

Zapraszają mnie na „suprę". Jest wszystko: chaczapuri, warzywa, ser, ryba, chleb i wino. Są deklamacje wierszy na cześć Stalina, pieśni oraz toasty. Długie i pełne wzruszeń.

Nie piję.

Żegnamy się po piątym toaście razem z dziennikarzem Niką Bezhaniszwilim, który pracuje nad filmem dokumentalnym o „stalinistach".

– Słuchajcie, żyjmy w przyjaźni, jak żyliśmy w Związku Sowieckim. Za rok na pewno uda nam się postawić pomnik Stalina na nowo – słyszymy na odchodnym.

Nostalgia Rusudan Czikwaladze

– Jako dziecko nie lubiłam Stalina, wiele osób z mojego otoczenia miało fatalne doświadczenia z 1937 roku. Zniknęli rodzice moich przyjaciół, dziadkowie. Dopiero kiedy dorosłam, uświadomiłam sobie, że Stalin miał rację. Ludziom potrzebne są represje. Są obowiązkowe.

Trafiam na nią w oficjalnie niedziałającym tbiliskim muzeum-drukarni przy ulicy Kaspi. To budynek, w którym w latach 1903–1906 mieściła się nielegalna komunistyczna drukarnia. Jej muzealna rekonstrukcja znajduje się w górskim muzeum. Rusudan oprowadza z rzadka odwiedzających obiekt turystów. Głównie z Chin, ale trafiają się i z Niemiec, czasem z Polski. Ale rzadko to „dobrzy" Polacy, z reguły gardzą Stalinem. Rusudan do Tbilisi trafiła pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Nie miała ani pracy, ani pieniędzy, ani perspektyw. Kraj był w rozsypce, ale komuniści jej pomogli.

– Urodziłam się w Raczy w 1957 roku, na studia wyjechałam do Suchumi i w Abchazji już zostałam. Do 1992 roku mieszkałam w Gagrach. Jak zaczęła się wojna, to wróciłam do rodziców, do Oni. Potem zmarł ojciec, brat wysłał mnie ze swoimi córkami do Tbilisi. Na pracę nie miałam szans, a do garnka też nie było co włożyć. I wtedy znalazłam zajęcie w muzeum jako księgowa. Zarabiałam 200 dolarów. Ale potem Saakaszwili nas zamknął i się skończyło. Tutaj pracuje dwanaście osób. Sami sprzątamy, trzy razy naprawialiśmy dach, ale za wstęp nie możemy pobierać opłat, bo oficjalnie nie działamy. I nie ma młodych następców.

Jest koniec listopada, po godzinie rozmowy zaczyna robić się chłodno. Rusudan naciąga czapkę na uszy.

– Za komunizmu to było prawdziwe życie. Na wszystko było nas stać, a dziś na nic nie mogę sobie pozwolić. Z wykształcenia jestem nauczycielką i nawet w najstraszniejszych snach nie wyśniłam sobie takiego dnia, w którym przyjdzie mi chodzić w kurtce, którą podarowała mi sąsiadka, bo moja była już tak stara i przetarta, że do niczego się nie nadawała. Wolę siedzieć tu, w pracy, której tak jakby nie mam,

eprasa.pl 26a741fd42

bo grzeje piecyk. W domu mam zimno, nie stać mnie na ogrzewanie. Dlatego codziennie modlę się, by Związek Sowiecki wrócił. Teraz potrzeba nam Stalina, żeby zwykli ludzie mogli żyć. Tylko nacjonalizacja może uratować Gruzję.

Teraz to życie w ogóle nie jest interesujące, nawet miłość nie jest interesująca. A w tamtych czasach była piękna. Nie, nie wyszłam za mąż. Czy wierzę? Oczywiście, jestem przecież Gruzinką. Stalin też wierzył. Na jego stole leżały dwie książki: przepowiednie Nostradamusa i Biblia. Ale nie, w czasach sowieckich nie mogliśmy tak swobodnie chodzić do cerkwi. Kiedyś poszłam na Wielkanoc i na mnie donieśli. Na szczęście z komsomołu mnie nie wyrzucili. Musiałam podpisać zobowiązanie, że więcej tam nie pójdę. I nie poszłam. Teraz też za często nie chodzę. Wolę w domu się pomodlić, niż wspomagać tych biznesmenów. Wystarczy być człowiekiem.

Nie mogę uwierzyć, że pamięć o Stalinie zakończy się razem z naszym życiem. A to była przecież niezwykła postać. Potrafił być bardzo dobry i bardzo zły. Nikt nie wie, kim on był naprawdę. Był wyżej człowieka i trochę niżej Boga.

Nostalgia Aleksandra Lursmaniszwilego

– Urodziłem się rok po śmierci Stalina i z dumą mówię, że jestem człowiekiem sowieckim. W dobrych czasach Sowieta i Gruzin to były synonimy. Pyta mnie pani o wiarę? To oczywiste, że jestem chrześcijaninem, każdy prawdziwy Gruzin nim jest. Ateizm? Jaki ateizm? Kto pani tych głupot nagadał? Mnie do cerkwi nikt nie zabraniał chodzić. W 1977 roku jako szef partii w Gori brałem ślub w Mcchecie, w Sweti Cchoweli, najważniejszej gruzińskiej świątyni. Gościem był pierwszy sekretarz *rajkomu* i nikt mi słowa nie powiedział. Jak jako Gruzin mógłbym być ateistą? Albo jak Stalin mógłby nim być? To absurd. A dziś? Dziś nie zawsze udaje mi się trafić do cerkwi, ale dwa razy do roku jestem zawsze. Na 5 marca, w rocznicę śmierci Josifa Wissarionowicza, i na 21 grudnia, w dzień jego urodzin.

Nostalgia Nazi Stopaniszwili

– Miałam dziesięć lat, jak umarł. Pamiętam wszystko bardzo dokładnie. Całe życie poświęciłam komunie i Bogu. Teraz mam tylko 180 lari[1] emerytury i nie stać mnie na zbyt wiele, ale gdybym miała choć o 100 więcej, to kupiłabym nowe pamiątki po nim.

Obecność wodza w domu Nazi czuć na każdym kroku. Prowadzi prywatne muzeum w dzielnicy, którą mieszkańcy Gori nazywają Las Vegas. W jednym z pokojów urządziła mu ołtarzyk. Mnóstwo tu książek, papierów, teczek, wycinków z gazet.

[1] Od 1 stycznia 2019 roku emerytury w Gruzji wzrosły o dwadzieścia lari, my rozmawiałyśmy w kwietniu 2018 roku.

eprasa.pl 26a741fd42

Większe eksponaty stoją nawet na ziemi. Jest też zalaminowana ikona Stalina z aureolą na głowie i gadżety z podobizną Koryfeusza Nauk: magnesy, podkładki pod myszkę, ozdobne talerze, kieliszki do wódki, zapałki i butelka czerwonego kindzmarauli (ponoć jednego z ulubionych win Stalina) ze znamiennym hasłem *„Ni szaga nazad!"*. Na trzech ścianach wiszą proporce, obrazy, fotografie *„Wielikowo Uczitela Wsjech Narodow i Wremjon"*. Na czwartej, tej od drzwi, krzyże i wizerunki prawosławnych świętych.

– Stalin był głęboko wierzącym człowiekiem, uczył się w seminarium duchownym i doskonale znał Biblię. Nie mówił tego głośno, ale mamy na to dowody. Na piersi nosił krzyż i żegnał się przed każdym wyjściem z domu.

– Jakie dowody? Wiarygodne. Niszczone cerkwie?

– Tak, były, ale to nie on. On nigdy by się do czegoś takiego nie posunął. To jego podwładni i Beria. Teraz też są liberasty-pederasty, co to chcą przypochlebić się władzy. I wtedy byli. Myśleli, że zapunktują u Stalina, jak zburzą cerkiew. Ale on taki nie był. Był mądry i kochał swój naród. Zrobił z robotników ludzi, bo burżuazja się z nimi w ogóle nie liczyła.

Nazi wyciąga swoją legitymację partyjną i szykuje dla mnie prezent.

– Już pięćdziesiąt lat jestem komunistką, a teraz to już mi Stalin tylko został. Dopóki żyję, będę zbierać. Czasem coś kupię, czasem dostanę. Mam też kilka unikatów, których nie ma nawet nasze muzeum. Jeszcze się ze zbiorami nie zatrzymałam, ludzie mają po domach pochowane różne pamiątki, więc szperam w tych wspomnieniach. Komu zostawię? Mój syn bardzo kocha Stalina. Mam dwoje wnuków i dwie wnuczki. Starszemu, Giorgiemu, co dwadzieścia trzy lata skończył, podarowałam srebrny pierścień z jego podobizną. A ten, który sama noszę, oddam drugiemu wnukowi, Miszy, który dziś ma piętnaście lat. To nasza pamiątka rodzinna. Nie, nie jest ze złota. Chciałabym, żeby nam się udało w końcu ten pomnik postawić na nowo, przy muzeum. Mam nadzieję, że ludzie pójdą po rozum do głowy. Jak już nam się to uda, to pewnie warty nocne ustawimy pod nim, bo wiadomo, co komu do głowy przyjdzie? Ale urwę głowę, jak ktoś go ruszy. Osobiście.

Na pożegnanie dostaję butelkę kindzmarauli z podobizną Stalina na etykiecie oraz laminowaną ikonę z młodym Kobą w aureoli.

– Wino wypij na zdrowie, ale butelki nie wyrzucaj. Szkoda. I wypij za Stalina. Ja piję rzadko, ale kiedy jest toast za niego, to zawsze z rogu, do dna i na kolanach.

Stasia Budzisz jest z wykształcenia filolożką i tłumaczką języka rosyjskiego. Pracuje nad pracą doktorską dotyczącą budowania nowej pamięci historycznej na Kaukazie po upadku Związku Sowieckiego.

eprasa.pl 26a741fd42

Przeciwnik determinował stopień lojalności

Z profesorem Piotrem Cichorackim, historykiem Uniwersytetu Wrocławskiego, rozmawia Sonia Knapczyk

SONIA KNAPCZYK: II wojna światowa rzuciła Ukraińców i Polaków na przeciwstawne strony barykady. Pierwsi mieli nadzieję na narodową suwerenność, drudzy przekonali się o śmiertelnym zagrożeniu ukraińsko-niemieckiej współpracy. Wojna jeszcze mocniej spolaryzowała wzajemne postrzeganie się sąsiednich narodów na kolejne dziesięciolecia. Jaka była reakcja Ukraińców na wybuch II wojny światowej? Mam na myśli postawę wobec wydarzeń z 1 września i 17 września 1939 roku.

PIOTR CICHORACKI: Sytuacja mniejszości ukraińskiej w II Rzeczpospolitej w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku wielokrotnie się zmieniała. Rok 1935 to czas tak zwanej normalizacji na linii polsko-ukraińskiej. Na najwyższym szczeblu politycznym kierownictwo obozu sanacyjnego podjęło decyzję o zawarciu kompromisu z głównym nurtem ukraińskiego ruchu politycznego, reprezentowanego przez Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne. Dzięki temu liderzy mniejszości ukraińskiej nie zbojkotowali wyborów parlamentarnych roku 1935, co było wówczas powszechną postawą w kręgach opozycyjnych. W rezultacie Ukraińcy – w przeciwieństwie do polskiej opozycji – utrzymali swoją obecność w parlamencie. Warto podkreślić, że pomimo zawirowań i poważnych konfliktów, które pojawiły się w latach 1937–1938, decyzja o współpracy w postaci akcesu Ukraińców do wyborów została podtrzymana i wzięli oni udział w elekcji parlamentu piątej kadencji. Możemy powiedzieć, że ostatnia faza pokojowego istnienia II Rzeczpospolitej, dla której cezurą jest rok 1935, zaczynała się nieźle, jeśli chodzi o możliwości współpracy i wyciszenia wcześniejszych konfliktów. Jednakże normalizacja okazała się trudna w realizacji, a apogeum napięć polsko-ukraińskich przypadało na rok 1938. Najbardziej spektakularną sprawą był los świątyń i społeczności prawosławnych na Chełmszczyźnie i Wołyniu. Akcja katolicyzacji prowadzona przy czynnym udziale wojska objawiała się czy to niszczeniem obiektów sakralnych, czy to w patronowaniu zbiorowym konwersjom religijnym.

Drugim punktem zapalnym była polityka realizowana w województwach południowo-wschodnich (stanisławow-

eprasa.pl 26a741fd42

skim, tarnopolskim i lwowskim), na którą składało się wiele przedsięwzięć ofensywnych pod patronatem administracji i wojska. Jednym z takich działań była tak zwana akcja szlachecka, czyli promowanie szlachty zagrodowej w celach polonizacyjnych. Rok 1938 był więc na tyle trudny, że Ukraińcy uważali wyżej wspomnianą „normalizację" za zakończoną niepowodzeniem. Pewna zmiana nastąpiła jednak na początku 1939 roku. Czołówka obozu rządzącego, a przede wszystkim Ministerstwo Spraw Wojskowych na czele z ministrem Tadeuszem Kasprzyckim, zrewidowała nieco taktykę w odniesieniu do mniejszości ukraińskiej. Uznano, że wobec narastającego zagrożenia wojennego, po dwukrotnym spotkaniu ministra Józefa Becka z Adolfem Hitlerem i Joachimem von Ribbentropem zbrojny konflikt polsko-niemiecki jest bardzo prawdopodobny. Rozbicie Czechosłowacji, czyli złamanie układów monachijskich, oznaczało realną groźbę wojny. Ostatnie miesiące przed wybuchem II wojny światowej to czas, gdy najbardziej opresyjne zachowania wobec mniejszości ukraińskiej zostały powstrzymane. Między innymi zrezygnowano z katolicyzacji na Wołyniu i z nacisku na prawosławnych na Chełmszczyźnie. Okres tuż przedwojenny to swego rodzaju zawieszanie broni i wyczekiwanie na dalsze wypadki.

Zamrożenie konfliktu narodowościowego było głównie spowodowane zbliżającą się wojną?

W 1939 roku polska strona, czyli kierownictwo wojskowo-polityczne, zdawała sobie sprawę z potencjalnych komplikacji wynikających z nielojalności mniejszości narodowych w przypadku wojny polsko-niemieckiej. Z drugiej strony pamiętajmy, że ukraińska perspektywa na przełomie zimy i wiosny 1939 roku zawierała ciemne barwy. Doświadczenia Rusi Zakarpackiej, zawód, jaki w związku z próbą stworzenia tam zalążka państwowości sprawili Ukraińcom Niemcy, skłaniały liderów ukraińskich do zachowania dystansu. Podsumowując lata 1935–1939, można stwierdzić, że okres ten był istotny, ale trudno dziś mówić o jednowymiarowych tendencjach. Mamy więc próbę porozumienia, zdecydowane zaostrzenie polityki narodowościowej wobec Ukraińców, a potem pewne wyhamowanie represyjnych poczynań władz II Rzeczpospolitej. Ukraińcy byli w diametralnie słabszej pozycji, ale reagowali adekwatnie do sytuacji.

Mówimy o Ukraińcach, ale czy możemy powiedzieć, że w 1939 roku Ukraińcy mieli wspólny głos i wizję, czy ukraińskie środowisko polityczne było skondensowane? W II Rzeczpospolitej było wiele „polityk" narodowościowych, każde województwo realizowało własną strategię, taka sytuacja raczej nie sprzyjała kształtowaniu się ukraińskiej jednomyślności narodowej.

Nie sposób mówić o instytucjonalnym, politycznym zjednoczeniu Ukra-

eprasa.pl 26a741fd42

ińców do wybuchu wojny. Jeśli chodzi o emocje w obrębie tej całej grupy ukraińskich mieszkańców II RP, rzecz wymaga dalszych badań. Brak nam kompleksowych, zwartych, naukowych ujęć, które skupiałyby się na postawie mniejszości narodowych (z wyjątkiem mniejszości niemieckiej) w obliczu zagrożenia wojennego. Miesiące bezpośrednio poprzedzające wojnę były czasem wyczekiwania. Nie było symptomów zwrotu propaństwowego w nastrojach ukraińskich.

Z drugiej strony radykałowie byli wyczerpani, dysponowali wpływami poniżej swoich oczekiwań. Dobrze pokazują to wydarzenia z września 1939 roku. Mowa nie tylko o postawie żołnierzy ukraińskich, którzy znaleźli się w Wojsku Polskim, ale też o próbach wystąpień zbrojnych pod szyldem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), jeszcze przed 17 września, na obszarze województwa stanisławowskiego czy lwowskiego. Mimo postępującej destrukcji aparatu państwowego, władze poradziły sobie z tymi relatywnie niewielkimi siłami. W momencie agresji sowieckiej sytuacja była na zewnątrz opanowana, ale oczywiście to nie rozwiązywało problemu. Nie miejmy złudzeń, ludność ukraińska nie żegnała się w pozytywnych emocjach z II Rzeczpospolitą, ale nie było też zbiorowego odruchu powstańczego wśród tej ludności.

Wspomniał Pan o Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Czym była ta organizacja? Jakie idee za nią stały?

Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów powstała na bazie struktury Ukraińskiej Organizacji Wojskowej. Była strukturą konspiracyjną, o charakterze wywrotowym z punktu widzenia władz Rzeczpospolitej. Z jednej strony OUN bez wątpienia cechował radykalizm – w przekazie werbalnym czy aktywności zbrojnej (terrorystycznej). Z drugiej, mimo wszystko, ten spektakularny wymiar działalności nacjonalistów nie porywał znaczącej części Ukraińców, nawet tych nienastawionych lojalnie w stosunku do państwa polskiego. Pacyfikacja dokonana przez władze w 1930 roku, będąca odpowiedzią na tak zwane częściowe wystąpienie OUN, według niektórych historyków otworzyła drogę do normalizacji w 1935 roku. Ukraińscy politycy funkcjonujący w obrębie legalnego systemu politycznego uświadomili sobie, że w ten sposób nie uda się pokonać państwa polskiego, trzeba działać perspektywicznie. Realne wpływy mobilizacyjne OUN nie były adekwatne do aspiracji kierownictwa organizacji. Władze bezpieczeństwa II Rzeczpospolitej miały spore sukcesy w zwalczaniu tego typu jej działalności. Najważniejsi przywódcy ugrupowania, jacy przebywali na terenie państwa polskiego do 1939 roku, znaleźli się w więzieniu. Wystąpienia takie jak zabójstwo ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego, wcześniej zabójstwo posła BBWR Tadeusza Hołówki, kreowane na spektakularne sukcesy, generowały represje, które w znacznym stopniu osłabiły tę organizację.

eprasa.pl 26a741fd42



Z punktu widzenia władz polskich Ukraińcy byli najbardziej kłopotliwą grupą narodowościową w II Rzeczpospolitej.

Kiedy dla Ukraińców zaczęła się wojna? We wrześniu 1939 roku czy w czerwcu 1941 roku? Przez lata zapewne dominowała historiografia sowiecka i mit wielkiej wojny ojczyźnianej, a jak jest dzisiaj?

Ważnym wydarzeniem było zlikwidowanie przez Węgrów Rusi Zakarpackiej w marcu 1939 roku. Dla Ukraińców to była istotny punkt odniesienia w relacjach polsko-ukraińskich. Z naszej perspektywy historiograficznej zdławienie Rusi było incydentem, walki trwały zaledwie kilkanaście godzin. Mimo to obecnie mocno akcentowana jest kwestia ukraińskich ofiar, które padły wówczas także z polskiej ręki. Publikowane są zdjęcia rozstrzelanych ludzi, nad którymi stoją umundurowane postaci.

Z podpisów wynika, że na fotografiach są polscy żołnierze po dokonaniu egzekucji ukraińskich siczowców, próbujących przekraczać granicę polsko-czechosłowacką. Eksponuje się tę sprawę zarówno w ukraińskiej literaturze, jak i muzealnictwie. Wydarzenia z lat 2013–2014 sprawiły, że Ukraińcy w przestrzeni publicznej odrzucają sowieckie interpretacje historii, więc prawdopodobnie znacznie mniej osób uważa, że wojna zaczęła się 22 czerwca 1941 roku. Na pewno sytuacja jest różna od przypadku białoruskiego, gdzie dominuje sowiecki paradygmat postrzegania historii.

Jak było z Białorusinami w II Rzeczpospolitej: czy ich sytuacja – a co za tym idzie późniejsze postawy wobec września 1939 roku – była podobna czy odmienna od ukraińskiej?

Z punktu widzenia władz polskich Ukraińcy byli najbardziej kłopotliwą grupą narodowościową. Jednak jeśli stworzyć gradację upośledzenia w wyniku polityki narodowościowej prowadzonej przez państwo polskie, to Białorusini byli w zdecydowanie gorszym położeniu. Szacunki dotyczące liczebności Białorusinów są mocno dyskusyjne, co wynika ze stopnia świadomości narodowej i specyfiki spisu powszechnego z 1931 roku, ale możemy mówić o przedziale 7–10 procent ludności II Rzeczpospolitej. Ukraińcy mieli zdecydowanie większe możliwości aktywności narodowej. Natomiast instytucje i organizacje białoruskie były sekowane oraz sukcesywnie likwidowane. Tendencja ta jest wyraźna zwłaszcza od początku lat trzydziestych XX wieku. Z perspektywy wielu polityków obozu sanacyjnego Białorusini byli społecznością, która najłatwiej powinna ulec polonizacji. W stronę Białorusinów nie wykonywano żadnych istotnych gestów politycznych. Co ważne, duże wpływy pośród ludności białoruskiej miał ruch komunistyczny, który w tej zasadniczo chłopskiej społeczności często z sukcesem budował lub podtrzymywał mit sowiecki.

Jesteśmy w stanie określić, po której stronie opowiedziały się te dwie omawiane mniejszości w czasie konfliktu zbrojnego?

Symptomatyczne były wydarzenia na obszarze województwa poleskiego i no-

eprasa.pl 26a741fd42

wogrodzkiego z jesieni 1938 roku oraz wiosny 1939 roku. Udział Polski w wypadkach czechosłowackich i akcja zaolziańska wywołały zaostrzenie na linii Warszawa–Moskwa. W ocenach administracji i wojska formułowanych odnośnie do wspomnianych województw pojawiał się komunikat, że w przypadku wybuchu wojny polsko-sowieckiej pod koniec 1938 roku przeprowadzenie mobilizacji byłoby bardzo wątpliwe. Duża część ludności białoruskiej czekała na wojnę polsko-sowiecką, która miała przynieść jej pozytywną zmianę. Tymczasem w marcu 1939 roku, wobec zaostrzenia stosunków z Niemcami, przede wszystkim tam przeprowadzono mobilizację alarmową. Odbyła się bez najmniejszych kłopotów, co niekiedy budziło wręcz pewne zdziwienie przedstawicieli wojska. Zestawiając te dwie, odległe od siebie o zaledwie kilka miesięcy sytuacje należałoby dojść do wniosku, że to potencjalny przeciwnik państwa polskiego determinował stopień lojalności jego niepolskich obywateli. Dodajmy od razu, że faza mobilizacji przeprowadzona na Wołyniu i w województwach południowo-wschodnich w sierpniu 1939 roku przebiegła niemal bez zakłóceń. Tu jeszcze jedna uwaga: w przypadku Ukraińców istniały dwie grupy – wołyńska i galicyjska, ta druga była odporna na propagandę sowiecką. Natomiast na Wołyniu radykalny odruch niechęci do państwa polskiego był mocno akcentowany. Podczas wielkiego kryzysu i wydarzeń z lat 1934–1935 objawiła się fala buntu społecznego. Gdy w całej Polsce zaczynało być spokojniej, na Wołyniu sytuacja była odwrotna. Dochodziło do krwawych incydentów, na które administracja i policja odpowiadały zdecydowanie i brutalnie. Wołyń był beczką prochu – miejscem brutalnej wojny domowej.

Co w takim razie z 17 września 1939 roku?

Mamy po polskiej stronie – zrozumiały przecież – odruch niewiary w propagandę sowiecką, ale przykładowo na Polesiu ujawnił się wśród tamtejszej, niepolskiej ludności silny odruch niechęci wobec ustępującego państwa polskiego. Wojsko Polskie wycofywało się stamtąd na zachód w atmosferze wojny domowej. Innym przykładem jest sytuacja z okolic Grodna, gdzie cofająca się polska kawaleria była atakowana przez skomunizowanych dywersantów białoruskich i żydowskich, na co odpowiedzią były brutalne represje.

Nie było więc dobrosąsiedzkich stosunków na Kresach?

To wyidealizowany obraz. W ostatnio opublikowanej książce Agnieszki Rybak i Anny Smółki *Wieża Eiffla nad Piną* jest opowieść o Janowej Dolinie, kamieniołomie w powiecie sarneńskim. Organizacja kamieniołomów, cała sfera socjalna, zaplecze infrastrukturalne – świadczyły o jednej z udanych prób modernizacji w województwach wschodnich. Problem w tym, że do wydzielonej wysepki postępu Ukraińcy nie mieli dostępu, to

eprasa.pl 26a741fd42

było miejsce dla polskich specjalistów i robotników „zza Buga". Przenikanie się tych dwóch rzeczywistości: polskiego robotnika i ukraińskiego chłopa, jeśli występowało, było nikłe. To jest interesujący przyczynek do wciąż żywego mitu Kresów – utraconego raju. Tymczasem problem mniejszości narodowych był nie do rozwiązania. Procesy narodowościowotwórcze postępowały szybko, więc konflikt był nieunikniony.

Jakie postawy przyjmowali Ukraińcy i Białorusini w szeregach Wojska Polskiego w 1939 roku?

Znów muszę zaznaczyć, że mimo istnienia wielu przyczynków, a także informacji rozsianych po literaturze wspomnieniowej, wciąż nie ma monografii poświęconej temu zagadnieniu. Dodam, że według mnie to jedna z kluczowych kwestii mających wpływ na stan Wojska Polskiego we wrześniu 1939 roku. Dziś przeważa stanowisko polegające na uznaniu, że Ukraińcy i Białorusini lojalnie wypełniali swoje obowiązki do 17 września, a dopiero agresja sowiecka zdecydowanie zmieniła ten stan rzeczy.

Co w przypadku scenariusza alternatywnego, gdyby wybuch wojny opóźnił się w czasie? Byłaby szansa na złagodzenie napięć na linii polsko-ukraińsko-białoruskiej?

Gdybyśmy zastanawiali się nad kontrfaktyczną opcją wydarzeń, wydaje się, że na odcinku białoruskim procesy polonizacyjne zaczęłyby przynosić realne efekty. Zaobserwujmy to na – przyznajmy skrajnym – przykładzie chłopca z Polesia, który idzie do polskiej szkoły (nie ma innej), później zapisuje się do z Związku Strzeleckiego, co da mu lepszą pozycję podczas odbywania służby wojskowej. Po dwóch latach wróci z wojska, często z garnizonu na terenach województw zachodnich. Jeśli chciałby odegrać znaczniejszą rolę społeczną, musi zapisać się do Związku Rezerwistów, wtedy może na przykład zostać sołtysem. Ta osoba w latach trzydziestych XX wieku nie ma możliwości funkcjonowania w niepolskiej instytucji na którymkolwiek etapie. Oczywiście o wiele trudniej byłoby osiągnąć efekty polonizacyjne na odcinku ukraińskim.

Czyli poukładanie się z Ukraińcami nie było możliwe? Patrząc na historię, Polacy i Ukraińcy to narody, które ciągle siebie zawodzą, próbują się dogadywać, ale jednocześnie zadają sobie wzajemne ciosy.

Oba te narody nie były w stanie w dwudziestoleciu międzywojennym spełnić tego, czego od siebie oczekiwały. Trzeba pamiętać, że konflikt na linii polsko-ukraińskiej zasadzał się na ukraińskiej klęsce w walce o własną państwowość, walki Rzeczpospolitej Polskiej z Zachodnioukraińską Republiką Ludową. Ukraińcy mieli świadomość, że ich państwo – mimo że efemeryczne i krótkotrwałe – istniało. Mit własnej państwowości wzmacniał ukraińskie postawy narodowe, ale też uniemożliwiał wypracowanie kom-

eprasa.pl 26a741fd42

promisu z Polakami. Sytuacja była trudna dla obu stron.

Czy jest możliwe pogodzenie polskiej wersji historii z historiami naszych wschodnich sąsiadów?

Nie oczekuję, że odniesiemy jednoznaczny sukces w sporach dotyczących interpretacji historii. Nie powinniśmy się spodziewać, że nasi sąsiedzi będą opowiadać miłą dla naszego ucha wizję przeszłości. Oczywiście nie możemy zgadzać się na przekłamania faktów, wobec tego musimy głośno protestować. Wydaje mi się, że jeśli chodzi o historiografię, jesteśmy w nieco innym miejscu niż Białorusini i Ukraińcy. Nasze narracje są bardziej zróżnicowane.

Dr hab. Piotr Cichoracki, prof. UWr jest historykiem specjalizującym się w historii Polski pierwszej połowy XX wieku. Pracownik Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Wybrane prace naukowe: *Legenda i polityka. Kształtowanie się wizerunku Marszałka Józefa Piłsudskiego w świadomości zbiorowej społeczeństwa polskiego w latach 1918–1939* (Kraków 2005); *Droga ku anatemie. Wacław Kostek-Biernacki (1884–1957)* (Warszawa 2009); *Stołpce – Łowcza – Leśna 1924. II Rzeczpospolita wobec najpoważniejszych incydentów zbrojnych w województwach północno-wschodnich* (Łomianki 2012); *Województwo poleskie 1921–1939. Z dziejów politycznych* (Łomianki 2014); *Komuniści na Polesiu 1921–1939* (Łomianki 2016).

eprasa.pl 26a741fd42

Czarnobyl – nasza przyszłość

Z Kate Brown, profesorką historii Massachusetts Institute of Technology, autorką książki *Czarnobyl. Instrukcje przetrwania*, rozmawia Krzysztof Popek

KRZYSZTOF POPEK: Na początku tego roku ukazało się polskie wydanie Twojej książki *Czarnobyl. Instrukcje przetrwania*, która – jak podkreśla Elizabeth Kolbert – „rzuca wyzwanie oficjalnej narracji o katastrofie w Czarnobylu". Według oficjalnych danych pięćdziesiąt cztery osoby zmarły bezpośrednio w wyniku katastrofy czarnobylskiej. Badacze zaś potrafią wskazywać około czterech milionów ludzi dotkniętych przez długofalowe skutki tego wydarzenia. Jest to w moim odczuciu główny problem z Czarnobylem – tak wielka katastrofa wymagałaby porównywalnie wielkich badań, co wydaje się niemożliwe do przeprowadzenia. Czy możemy być pewni jakichkolwiek liczb dotyczących ofiar Czarnobyla?

KATE BROWN: Wszyscy chcą liczb. W przypadku katastrofy na taką skalę jest naprawdę trudno zrozumieć, co się stało bez używania liczb. Liczby są przydatne, ale również wiele upraszczają i odkładają pewne rzeczy na bok. Szacunki o tym, że cztery miliony ludzi zostało dotkniętych skażeniem na tym terenie, są zawyżone – myślę, że te wartości były mniejsze. Chodzi oczywiście o ludzi, których zdrowie faktycznie ucierpiało. Wyższe dane mogą też służyć manipulacji – prezentuje się zawyżoną liczbę osób dotkniętych katastrofą oraz procentowo niewielką liczbę ludzi spośród tej grupy, którzy faktycznie zachorowali. Gdy spośród 750 tysięcy osób z obszaru katastrofy 150 tysięcy zachorowało, można powiedzieć, że w jej rezultacie faktycznie ucierpiało 20 procent, a nie 50 procent, jeżeli byśmy przyjęli niższą pierwszą wartość – 300 tysięcy. Cztery miliony jest liczbą stanowczo zawyżoną i w praktyce umniejsza ona znaczenie katastrofy. Jeden z urzędników Ministerstwa Zdrowia Ukrainy powiedział mi, że badacze specjalnie podają zawyżone dane, by wpływ na zdrowie Czarnobyla przedstawiać jako nieznaczny.

Nie jest niemożliwe wykonanie rozległych badań dotyczących Czarnobyla. Spójrzmy na ustalanie skutków bombardowania Hiroszimy – w działania było zaangażowanych 120 tysięcy ludzi, przebadano pierwotnie 100 tysięcy ocalałych, do tego doszli ich potomkowie. Badania były prowadzone przez siedemnaście lat. Jeżeli mielibyśmy podobne środki oraz przebadali 200 tysięcy ludzi na obsza-

eprasa.pl 26a741fd42

rach wysokiego skażenia, nasza wiedza o Czarnobylu byłaby zupełnie inna. To by pochłonęło olbrzymie pieniądze, ale jest to wykonalne. Po prostu nie ma politycznej woli, żeby się tym zająć.

Nie ma politycznej woli, a wokół Czarnobyla wciąż funkcjonuje wiele mitów i półprawd. Jeden z ważniejszych elementów ukazanych w Twojej książce to mechanizm kłamstwa w Związku Sowieckim. Wszyscy oszukują i są oszukiwani: rząd, eksperci, ludzie, środowisko międzynarodowe. Jest to problem znacznie większy niż sam Czarnobyl. Czy te mechanizmy wciąż są żywe w Europie Wschodniej?

Jest to znacznie większy problem i nie dotyczy tylko Europy Wschodniej. W mojej wcześniejszej książce *Plutopii*, również przetłumaczonej na język polski, piszę o wieloaspektowych konsekwencjach wykorzystywania energii jądrowej. Desperacko potrzebujemy energii – wszystko, co robimy (nosimy ubrania, jemy, siedzimy), jest związane z zapotrzebowaniem na elektryczność. Energia determinuje funkcjonowanie społeczeństwa oraz ustroju politycznego. Energia nuklearna jest najmniej demokratyczną formą energii, szczególnie na tle tej pozyskiwanej z węgla, słońca czy wiatru, która może być produkowana niemal przez każdego. Energia nuklearna jest powiązana z bronią atomową, a w elektrowniach jądrowych musi funkcjonować szczelny system bezpieczeństwa. Radioaktywność jest niewidzialna i niewykrywalna dla zmysłów – trzeba mieć specjalny czujnik, żeby ją wykryć. W razie awarii i napromieniowania najpierw pracownicy elektrowni i naukowcy przeprowadzają badania, a dopiero potem ogłaszają ich wyniki społeczeństwu. Opinia publiczna jest w takiej sytuacji od nich uzależniona. Liderzy polityczni czy szefowie korporacji preferują energię nuklearną nad innymi formami jej pozyskiwania, gdyż mogą kontrolować w znacznie większym stopniu jej przepływ, mają też wpływ na przepływ informacji na ich temat do społeczeństwa.

Bez względu na to czy mamy do czynienia z krajem autorytarnym, takim jak Związek Sowiecki, czy z *quasi*-demokratycznym jak Japonia, czy z demokratycznym jak USA, politycy robią to samo. Gdy dochodzi do wypadku i skażenia, niezależnie czy niewielkiego, czy dużego i mającego znaczący wpływ na środowisko, nasi przywódcy nie mówią nam, co się dzieje. Nietrudno im milczeć, gdyż jako społeczeństwo nie mamy dostępu do informacji zamkniętych za drzwiami elektrowni atomowych ani liczników Geigera przy sobie. Po Fukushimie rząd Japonii czekał nie trzy dni, a dwa miesiące, by powiedzieć Japończykom o awarii. Podobnie milczał rząd amerykański, gdy dowiedział się, że przez czterdzieści lat pracownicy dużej elektrowni atomowej wyrzucali radioaktywne odpady do rzeki Kolumbii lub je zakopywali, w wyniku czego zanieczyszczenie przedostawało się do wód gruntowych. Niezależnie od tego, jaki mamy system, politycy zachowują się tak samo.

eprasa.pl 26a741fd42

Obecnie w Europie ekologia jest jednym z najważniejszych tematów w dyskursie publicznym. Czy Czarnobyl i zjawiska, o których mówisz, są argumentami przeciwko energii atomowej w kontekście naszego wpływu na środowisko?

Tak. Wciąż nie mamy reaktorów, co do których możemy mieć sto procent pewności – mówi się, że nowa generacja reaktorów jest bezpieczna, jednak podobne obietnice padały w związku z reaktorami fuzyjnymi, wprowadzanymi od lat pięćdziesiątych XX wieku. Okazało się to nieprawdą. Obecnie w USA ocenia się, że nawet ekonomicznie jest to nieopłacalne: energia nuklearna jest pięciokrotnie droższa niż wiatraki i trzeba czterdziestu pięciu lat, by inwestycja się zwróciła. W USA nie ma już żadnych firm, które budują elektrownie atomowe, ostatnią, Westinghouse Electric, zamknięto w poprzednim roku, a budowę dwóch nowych reaktorów wstrzymano, gdyż skończyły się pieniądze. Donald Trump przekazał 1,6 biliona dolarów na finalizację inwestycji – bez subsydiów państwowych nie jest możliwe zrealizowanie tego projektu.

Mówiłaś o Fukushimie – był to niewątpliwie wypadek na nieporównywalnie mniejszą skalę niż Czarnobyl. Czy do katastrofy, jaka miała miejsce w 1986 roku, mogło dojść jedynie w Związku Sowieckim? Czy jeżeli doszłoby do takiej awarii w innym kraju, w Europie Zachodniej czy w USA, to czy scenariusz byłby podobny?

Reaktory wykorzystywane w Związku Sowieckim były ogromne, było w nich wyjątkowo dużo grafitu oraz materiałów promieniotwórczych, które – w razie pożaru – zajmowały się ogniem. Obecnie większym problemem na Zachodzie jest brak miejsca składowania odpadów radioaktywnych. To był mankament również w przypadku Fukushimy. W USA czy Japonii nie ma odpowiednich miejsc na te substancje, jak na przykład w Finlandii, gdzie istnieją głębokie, podziemne składowiska. Odpady są więc przetrzymywane w pobliżu elektrowni. Jeżeli w USA mielibyśmy taką katastrofę jak w Czarnobylu, nawet w mniejszym reaktorze, to odpady zaczęłyby się palić i powodować jeszcze większe skażenie. Elektrownie, przy których składuje się odpady, są niebezpieczne. Starzejące się reaktory, zbudowane na okres dwudziestu lat, ale nadal działające, choć minęło czterdzieści, stanowią kolejne zagrożenie. Problemem jest coraz bardziej nieprzewidywalna pogoda – wielkie burze, tornada, huragany.

To wzbudza niepokój, jednak nie wydaje mi się, żeby mogło dojść w USA do tego typu katastrofy jak w ZSRR. Nie wykluczam, że może dojść do innego wypadku, bardziej przypominającego Fukushimę. Tam przyczyną było tsunami i fakt nierozsądnej lokalizacji elektorowi. Rząd japoński wiedział o tym niebezpieczeństwie, jednak zabezpieczenie przed nim uznano za zbyt kosztowne. Obecnie wydają znacznie więcej pieniędzy, by zlikwidować skutki awarii. W USA mamy reaktory, na przykład w elektrowni

eprasa.pl 26a741fd42



Annette Hornischer, courtesy of the American Academy in Berlin.

Reaktory wykorzystywane w Związku Sowieckim były ogromne, było w nich wyjątkowo dużo grafitu oraz materiałów promieniotwórczych, które – w razie pożaru – zajmowały się ogniem.

w Diabelskim Kanionie, umieszczone na uskokach sejsmicznych. Podobnie jak Japończycy przed Fukushimą, amerykańscy urzędnicy nie podejmują żadnych działań w celu zabezpieczenia reaktora przed katastrofą spowodowaną trzęsieniem ziemi.

A co z obrazem Czarnobyla w popkulturze – mamy gry, horrory, Prypeć to atrakcja turystyczna. Czy nie powinniśmy mieć pewnych wątpliwości natury etycznej, gdy współczesny świat traktuje Czarnobyl w kategoriach rozrywki?

Prawdopodobnie powinniśmy. Ludzie, którzy żyją na terytoriach wokół Czarnobyla, czują się stygmatyzowani. Mówią, że rażą ich te formy wykorzystywania katastrofy. Równocześnie są zmęczeni mówieniem w kółko o Czarnobylu, zmęczeni byciem łączonym ciągle z katastrofą. Nie jest więc przejawem empatii, gdy na Instagramie zamieszcza się zdjęcia w stylizacji *soft porn* z wycieczek po zonie. Szczególnie na fali popularności serialu HBO ludzie masowo zaczęli robić sobie sexy fotki w miejscu katastrofy. Producent i scenarzysta serialu Craig Mazin na Twitterze podkreślił, że smucą go takie sytuacje, które wyrażają brak szacunku wobec tej wielkiej tragedii. I to mówi on, który przed tą produkcją zrobił horror o Czarnobylu…

Ludzi ta katastrofa po prostu fascynuje jako fenomen kulturowy. Inną sprawą jest to, dlaczego istnieje takie zainteresowanie awarią elektrowni jądrowej sprzed trzydziestu trzech lat. Katastrofa wraca i zyskuje nowe życie. Może też dlatego, że rozmawiamy sporo o rozwoju energii atomowej, a może dlatego, że od drugiej połowy XX wieku konsumujemy coraz szybciej i szybciej: konsumujemy i wyrzucamy, konsumujemy i wyrzucamy… Mamy tonę plastiku, topimy się w śmieciach, wyrzucamy również miejsca oraz ludzi. Wielu interesuje *ruin porn*, turystyka katastrof, szukają miejsc, które zostały porzucone. Może uważają, że Czarnobyl to nie tylko przeszłość, ale i nasza przyszłość? Myślę, że w tym należałoby szukać źródeł tej fascynacji.

Nie sposób nie zapytać o serial HBO. Widziałaś go?

Tak, zresztą miałam wiele telefonów z prasy z pytaniami, czy jest prawdą to, co zostało w nim pokazane. Oczywiście, jest to w pewnym stopniu fikcja – dialogi są wymyślone, podobnie nie wszyscy bohaterowie są prawdziwi. Natomiast byłam pod wrażeniem oddania realiów tamtych czasów, dobrze dobrano rekwizyty i scenografię: stare sowieckie ubrania, samochody, miasta. Serial powstawał na Litwie, gdzie znaleźli starą sowiecką elektrownię atomową. Dużą dbałość widać w przedstawieniu szczegółów technicznych. Pierwszy i ostatni odcinek wyjaśnia, jak reaktor typu RBMK działa oraz w jaki sposób doszło do wybuchu. Szczególnie dużo detali pokazuje ostatnia scena z rozprawy sądowej.

Przywiązanie do detali historycznych buduje wrażenie, że tak właśnie musia-

eprasa.pl 26a741fd42

ło to przebiegać i wszystko, co przedstawiono, jest prawdą – że jest to faktycznie historia, a nie opowieść. Ale wciąż jest to tylko narracja, narracja zimnowojenna – dla Amerykanów tamtej generacji naturalne było postrzeganie Sowietów jako ludzi podstępnych, niekompetentnych, zakłamanych. W tej opowieści popełniają oni w kółko te same głupie błędy – przykładają podwładnemu pistolet do głowy, by w razie odmowy wykonania rozkazu go zastrzelić. Oczywiście, w schyłkowym okresie ZSRS nikt nikogo by nie zabił za odmowę wykonania polecenia.

Wartością serialu jest zachęcanie ludzi do zainteresowania się faktycznym przebiegiem katastrofy. Sięgają po książki, z których mogą dowiedzieć się prawdy na jej temat.

Są opinie mówiące o tym, że Czarnobyl pokazał wszystkie słabości Związku Sowieckiego i był początkiem końca imperium, a nawet jedną z głównych przyczyn jego upadku.

Tak powiedział Gorbaczow. Jeżeli przejrzy się dokumentację państwową, zdamy sobie sprawę z tego, ile pieniędzy Sowieci wydali na usuwanie skutków katastrofy czarnobylskiej, w tym na zabezpieczenie skażonej żywności czy pomoc medyczną. To kosztowało naprawdę potężne pieniądze, a borykano się wtedy z poważnym kryzysem ekonomicznym. Ważniejsze jednak było to, że kierownictwo ZSRS obiecało swoim obywatelom, że nauka i technologia przyniosą szczęśliwe życie – życie bez bólu. W 1957 roku na ziemską orbitę wystrzelono Sputnika i wszystko wskazywało na to, że ta wizja się urzeczywistnia. Elektrownię wybudowano w najbiedniejszej części Ukrainy, by przynieść dobrobyt i energię do wiosek, które nigdy nie miały kanalizacji czy elektryczności. To im energia jądrowa w pierwszej kolejności miała służyć. Kiedy elektrownia wybuchła, obietnica kierownictwa Kraju Rad została obnażona. W 1989 roku obywatele dowiedzieli się, że wielkie obszary zostały napromieniowane i nikt im o tym nie powiedział. Pierwsza mapa skażenia została opublikowana w czerwcu tego roku – to było akurat w trakcie intensyfikacji protestów i spontanicznych mityngów. Do masowych demonstracji doszło właśnie po publikacji mapy pokazującej zasięg skażenia.

Można powiedzieć, że w czasie badań i pracy nad książką przebyłaś tę samą ścieżkę co katastrofa. Czy obawiałaś się o swoje zdrowie w wyniku wystawienia na promieniowanie?

Nie za bardzo. Poziomy promieniowania, na które byłam wystawiona, były stosunkowo niewielkie. Uważałam, żeby nie jeść żywności ze skażonych obszarów. Gdy prowadziłam badania wraz z biologami w bardzo napromieniowanych częściach Czerwonego Lasu, nie byłam tym szczególnie zachwycona, ale trwało to tylko kilka godzin. Niemniej w ciągu tego czasu pochłonęłam sporo radów. Moje myśli krążyły wtedy wokół tego, że są ludzie, którzy mieszkają tam na stałe;

eprasa.pl 26a741fd42

pracują na terenie zony od lat. Więc dlaczego ja nie mogłabym przyjechać tam na kilka tygodni? Podjęłam to niewielkie ryzyko, by doświadczyć tego miejsca oraz opowiedzieć historię ludzi, którzy ucierpieli w wyniku tych wydarzeń. Uznałam to za swój obowiązek. Nie zrobiłabym natomiast tego turystycznie czy dla przyjemności.

Więc nie pojechałabyś na wycieczkę do Prypeci?

To niezwykłe widoki, jednak są one dostępne online w formie wideo czy wirtualnego spaceru na Google Maps. Nie widzę powodu, by jechać tam osobiście.

Podczas pisania książki wykonałaś naprawdę imponującą pracę w archiwach w Rosji, na Białorusi i Ukrainie. Jak się pracuje w posowieckich archiwach nad tak delikatnym tematem, jakim jest katastrofa czarnobylska?

Wspaniale. Poleciłabym to każdemu. Dostęp jest generalnie wolny, pracownicy bardzo pomocni, jest tam tyle informacji i dokumentów, że sama nigdy nie dałabym rady kiedykolwiek ich opracować (w zbieraniu materiałów do książki pomagały mi jeszcze dwie osoby). W tej kwestii jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia – to dopiero początek badań archiwalnych nad Czarnobylem. Wciąż nie byłam w archiwum w Równym, na pewno jest sporo materiałów także w polskich archiwach. Białoruś jest dyktaturą, tam tylko niewielka grupa ludzi chce rozmawiać na temat problemów zdrowotnych związanych z Czarnobylem. Na Ukrainie dostęp do informacji jest łatwy.

Mówisz, że jest jeszcze wiele do zrobienia. Czego jeszcze nie wiemy o katastrofie czarnobylskiej? Jakie jest największe wyzwanie stojące przed badaczami tego tematu?

Największe wyzwanie jest związane z określeniem precyzyjniejszej liczby osób, które zmarły oraz ucierpiały zdrowotnie w wyniku skażenia. Na ten temat nie mamy dostatecznych danych. Jak powiedziałeś, skala katastrofy była ogromna i dlatego takich badań nie przeprowadzono. W 1989 roku rząd sowiecki zwrócił się do Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej ONZ o dokonanie oceny szkód w Czarnobylu. Chcieli, aby „międzynarodowi eksperci" potwierdzili to, co sami mówili swoim ludziom – że życie na skażonych obszarach toczy się normalnie. W tym czasie dysponowaliśmy dwudziestoma wynikami biopsji dzieci z rakiem tarczycy – jest to bardzo rzadki nowotwór u dzieci. W skali całej Ukrainy zazwyczaj odnotowywano dwa przypadki rocznie, a tu nagle pojawiło się dwadzieścia, do tego na małym obszarze. Nie uwierzyli w to. Stwierdzili, że to niemożliwe, żeby aż tyle dzieci zachorowało na raka tarczycy. Badacz, który na to natrafił, wziął wyniki do swojego laboratorium w Nowym Meksyku i potwierdził, że ma do czynienia z praktycznie niespotykanym przypadkiem. Pewien białoruski lekarz powiedział mu potem o trzydziestu przypadkach raka tarczycy u dzieci

eprasa.pl 26a741fd42

na Białorusi. To była niewiarygodna wiadomość. Ten sam naukowiec napisał następnie generalny raport dotyczący problemów zdrowotnych w Czarnobylu dla Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej ONZ. Czytamy jednak w nim, że „pogłoski" o raku tarczycy wśród dzieci mają „anegdotyczny charakter". Nie przyznał, że ma dowody na poważną i nieoczekiwaną epidemię. W tym samym czasie Zgromadzenie Ogólne ONZ organizowało zbiórkę, aby kraje przekazały łącznie miliard dolarów (według obowiązującego dziś kursu) na poważne badanie skutków zdrowotnych katastrofy w Czarnobylu, które byłoby podobne do analiz dotyczących Hiroszimy, z udziałem wielu ludzi, prowadzonych przez dziesięciolecia. Ale po opublikowaniu przez MAEA raportu, o którym wspomniałam powyżej, stwierdzili jedynie, że wśród ludzi narażonych na skutki Czarnobyla występuje wiele problemów zdrowotnych, ale żadnego z nich nie można przypisać katastrofie w sposób bezpośredni. Główni darczyńcy – USA, Francja, Wielka Brytania – odmówili przekazania pieniędzy i projekt zamarł. Wszyscy przyjęli za fakt, że nie ma żadnych ponadprzeciętnych problemów zdrowotnych na obszarze skażenia, dlatego też wsparcie finansowe ONZ ograniczono do symbolicznych kwot. To była parodia oraz dowód na to, jak mało wiemy o skutkach wybuchu z 1986 roku.

Jeżeli wykorzystamy materiały archiwalne, będziemy mogli spojrzeć na katastrofę czarnobylską retrospektywnie oraz lepiej poznać znaczenie i zasięg tego wydarzenia. Powinniśmy przygotować obszerną bazę danych na podstawie dokładnych akt medycznych.

Pod koniec książki formułujesz dosyć pesymistyczne wnioski – że niczego nie nauczyliśmy się po Czarnobylu, że nie jesteśmy przygotowani na porównywalne wydarzenie. Obecnie w 2019 roku, czy jesteśmy w podobnym miejscu jak w roku 1986?

Mam nadzieję, że nie. Wiem, że w USA działa zespół naukowców, który przygotowuje plan na wypadek, gdyby coś takiego się wydarzyło. Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli wykorzystywać ich wiedzy w praktyce.

Najwięcej reaktorów jądrowych buduje się w Rosji i Chinach. Rosjanie mają nawet reaktor, umieszczony na pływającej barce – kilka lat temu był zacumowany w dokach Petersburga. Można nim przepłynąć na przykład do Dubaju i podłączyć pod tamtejszą sieć. To nie brzmi jak szczególnie dobry pomysł, biorąc pod uwagę problem z burzami i tsunami.

***Czarnobyl* oraz *Plutopia* to nie jedyne Twoje książki, które przetłumaczono na język polski. W 2013 roku ukazały się *Kresy. Biografia krainy, której nie ma. Jak zniszczono wielokulturowe pogranicze*. Na polskim rynku jest dużo książek o tej tematyce, tymczasem Twoje opracowanie spotkało się z pozytywną recepcją. Co nowego *Biografia krainy, której nie ma* mówi nam o Kresach?**

eprasa.pl 26a741fd42

Pomysł przyszedł mi do głowy w czasie pobytu w Krakowie. Czytałam wtedy w gazetach sporo relacji na temat Polaków w Kazachstanie. Widziałam też ogłoszenie, w którym szukano ludzi gotowych pojechać do Kazachstanu, by uczyć języka polskiego tamtejszych Polaków. Zaskoczyło mnie to. Polacy w Kazachstanie nie znają polskiego? Uznałam, że jest to interesujący problem dotyczący tego, w jaki sposób myśli się w różnych częściach świata o narodowości.

W ten sposób natrafiłam na Kresy i centralną część Ukrainy, gdzie rząd sowiecki w 1925 roku utworzył autonomiczny Polski Rejon Narodowy. Dowiedziałam się również, że istniał tam Niemiecki Rejon Narodowy. Kiedy tam pojechałam, ludzie pokazywali mi stare polskie, niemieckie i żydowskie cmentarze. Nie ma tam wyłącznie polskiej historii, a przeplatają się dzieje wielu grup etnicznych. Żyli tam chłopi, którzy nie mieli wykształcenia podstawowego, a mówili w trzech językach. Kiedy polski, ukraiński czy białoruski autor pisze o Kresach, skupia się na przedstawicielach swojej narodowości, zapominając często o wieloetnicznym charakterze tych terenów. Wieloetniczność tego obszaru uznawano za coś niebezpiecznego dla władzy. W rezultacie Kresy były miejscem, gdzie wszystko mogło się zdarzyć.

W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku realizowano na tym obszarze progresywny program tworzenia Polakom, Żydom, Niemcom ich własnych szkół, struktur administracyjnych, policji i gazet. Było to coś wspaniałego. Szczególnie biorąc pod uwagę moment historyczny – kiedy inne kraje w Europie były na kursie nacjonalistycznym, Sowieci szli w zupełnie innym kierunku. Po tych progresywnych projektach przyszły represje. Doszło do buntu tuż przy granicy, w Szepetówce – był to obszar, który obok Syberii najbardziej opierał się kolektywizacji. Władze się zastanawiały: dlaczego akurat tam pojawiły się takie problemy?

Dziesięć lat wcześniej zbierano na Ukrainie dane statystyczne. Pytano się ludzi, jakiej są narodowości. Słyszeli, że „Moja matka jest Białorusinką, ojciec Polakiem, a ja nie wiem, kim jestem". Chłopi odpowiadali: „Co to jest narodowość?" albo „Jestem tutejszy". W takiej sytuacji każdemu arbitralnie przydzielano jakąś narodowość. Dziesięć lat później, kiedy doszło do buntu, władze sowieckie przeanalizowały te dane i stwierdziły, że sprzeciw pojawił się na terenach, gdzie dominowali Polacy i Niemcy. Do tego przedstawiciele tych narodów dołączali do partii komunistycznej w mniejszym stopniu niż Ukraińcy i Żydzi. Wszystkie te kategorie etniczne były nadawane odgórnie, jednocześnie posługiwano się nimi, by deportować ludzi uznanych za Polaków i Niemców do Kazachstanu w 1935 i 1936 roku.

Kiedy na te tereny wkroczyli Niemcy w okresie II wojny światowej, korzystali z tych samych danych (zbieranych pierwotnie z progresywnych pobudek), by dokonywać czystek na Żydach. Brali te statystyki i zaznaczali miejsca, gdzie znajdowało się słowo „Żyd". Holokaust zaczął

eprasa.pl 26a741fd42

się nie w Auschwitz, a w tych kresowych wsiach, gdzie wykopywano doły, strzelano ludziom w głowy i zasypywano w nich ciała. Miejscowość za miejscowością.

Wiek XX to okres wielkiego rozwoju. Przyglądając się Moskwie, Warszawie i Berlinowi, widzimy ten progres. Jednak gdy przenosimy wzrok na prowincje i obrzeża, dostrzeżemy zupełnie inne procesy. Chciałam o nich opowiedzieć w *Biografii krainy, której nie ma*. Dlatego też poświęcam w niej miejsce również Czarnobylowi – wcześniej wieloetnicznemu, pogranicznemu miasteczku, z którego w ciągu dwudziestu pięciu lat wszystkie mniejszości zniknęły, pozostali tam tylko Ukraińcy, a potem, po następnych dwudziestu pięciu latach dokonano kompletnej depopulacji z powodu katastrofy.

Nic dziwnego, że w Polsce oraz innych krajach Europy Wschodniej mamy do czynienia z wieloma emocjami związanymi z Kresami. Dlatego też zewnętrzna perspektywa jest tak ważna. Jak możemy zachęcić zachodnich historyków, żeby zainteresowali się historią Polski i Europy?

Myślę, że jest dużo interesujących książek o historii Polski napisanych po angielsku. Oczywiście, wszyscy znają Timothy'ego Snydera oraz jego żonę Marci Shore. Jest co badać. Polska dlatego jest tak fascynującą częścią Europy, gdyż właściwie wszystko się tu wydarzyło. Znajdowała się na szlaku handlu niewolnikami, była królestwem, Rzeczpospolitą Obojga Narodów, krzyżowała się tu historia Żydów, potem nastąpiły rozbiory i kraj zniknął z mapy na 123 lata, pojawiły się problemy migracji i diaspory, na tym obszarze miały miejsce Holokaust, I i II wojna światowa. Tak wiele się w Polsce wydarzyło.

Jak zainteresować tym Zachód? Trudno mi powiedzieć. Obawiam się, że dużym problemem jest to, że polski jest trudnym językiem, a przez wiele lat Polska była miejscem, gdzie niełatwo było się dostać. Równocześnie z racji tego, że nie jest już państwem socjalistycznym, nie jest postrzegana jako egzotyczna. Teraz to po prostu kolejne, ładne europejskie państwo – jak Belgia. A w Belgii jest porównywalnie dużo historii.

***Biografia krainy, której nie ma* nie opiera się wyłącznie na tradycyjnym warsztacie historycznym, czyli pracy na pisanych świadectwach z epoki, ale również wykorzystujesz własne obserwacje. Jest to zresztą widoczne także w *Czarnobylu*. Jak możemy wykorzystywać nasze obserwacje w badaniach historycznych?**

Raczej bym zapytała: jak możemy tego nie wykorzystywać? Patrząc na narrację historyczną, często mamy do czynienia z jakimś głosem, który unosi się nad ziemią i opisuje wszystko z lotu ptaka. Chciałabym mieć taką zdolność, ale nie mam. Chcę więc sprowadzić czytelnika nieco na dół, gdyż wierzę, że historia jest subiektywna. Historia w moich książkach wygląda tak, a nie inaczej, ze względu na to, kim jestem; czasy, w jakich żyję; doświadczenia, które mam za sobą. Nie chcę

eprasa.pl 26a741fd42

nikogo okłamywać pod tym względem. Nie uważam się za osobę egocentryczną, ale chcę, żeby moi czytelnicy wiedzieli, jak zdobywałam wiedzę na dany temat i jak go badałam. Chcę, żeby mieli możliwość oceny, czy to, co piszę, jest wiarygodne. Na pewno są miejsca, w których się mylę. Nie wierzę w absolutną prawdę i absolutną nieprawdę. Zależy mi na tym, żeby moi czytelnicy zrozumieli, jak bardzo pisanie historii jest subiektywne. Jedyny sposób, by to zrobić, to wziąć ich ze sobą w podróż.

Gdy byłam w liceum, czytałam więcej powieści historycznych niż książek *stricte* historycznych, gdyż beletrystyka jest bardziej interesująca – ma w sobie emocje. Historiografia chce przedstawiać ludzi jako racjonalnych aktorów, którzy podejmują jedynie pragmatyczne decyzje. Ale życie tak nie wygląda. Ja sama nie jestem racjonalna. Ludzie są pełni emocji, działają pod ich wpływem. Kiedy czytam o kimś z przeszłości, nie jestem w stanie ocenić, co siedziało mu w głowie. Wszystko, co mogę zrobić, to używać pierwszej osoby i powiedzieć, że wyobrażam sobie, co dana postać mogła w danym momencie czuć. Komentuję te emocje moim własnym głosem. W ten sposób możemy czynić narrację historyczną żywszą i bardziej przypominającą ludzkie życie.

Kate Brown jest profesorką historii na Wydziale Nauki, Technologii i Socjologii Massachusetts Institute of Technology. Autorka książek *Kresy. Biografia krainy, której nie ma* (Kraków 2013), *Czarnobyl. Instrukcje przetrwania* (Wołowiec 2019) oraz *Plutopia. Atomowe miasta i nieznane katastrofy nuklearne* (Wołowiec 2016), za które otrzymała wiele prestiżowych nagród, między innymi Nagrodę im. Ellisa W. Hawleya czy Nagrodę Amerykańskiego Stowarzyszenia Historycznego im. George'a Louisa Beera.

eprasa.pl 26a741fd42

Kompletowanie Europy

Z Wiesławem Tarką rozmawia Aureliusz M. Pędziwol

AURELIUSZ M. PĘDZIWOL: Kiedyś o tym obszarze mówiliśmy Jugosławia. Dziś dokleiliśmy Albanię i nazywamy go Bałkanami Zachodnimi. Czy nie za bardzo upraszczamy, łącząc państwa tego regionu jednym terminem geograficznym?

WIESŁAW TARKA: Myślę, że nie. Dokładniej jest to była Jugosławia minus Słowenia i Chorwacja plus Albania. Wystarczy rzut oka na mapę, żeby zobaczyć, że ten obszar jest ze wszystkich stron otoczony Unią Europejską. To wyspa na europejskim morzu, która w oczywisty sposób powinna dołączyć do Unii. Bez niej Europa będzie niekompletna.

Kilka lat temu Angela Merkel wymyśliła inicjatywę, która ma zbliżyć tę wciąż jeszcze pozaunijną część Bałkanów do Unii – Proces Berliński. Co jest jego celem? Członkostwo tych państw czy coś w zamian? Na przykład partnerstwo dla pokoju?

Trzeba pamiętać, że Proces Berliński powstał w 2014 roku, czyli w rok po przyjęciu Chorwacji do Unii Europejskiej, kiedy wydawało się, że rozszerzanie się zatrzymało. Ponieważ życie nie znosi próżni, brak zainteresowania ze strony Unii oznaczałby zachętę do większego zaangażowania się w tym regionie dla różnych aktorów spoza niego, takich jak Chiny czy Rosja. Niekoniecznie w interesie samych tych krajów i całej Europy.

Ta inicjatywa kanclerz Merkel w oczywisty sposób nie miała zastąpić rozszerzenia Unii, bo Proces Berliński go nie dotyczy, co zawsze podkreślała strona francuska. Ale dotyczy zdolności tych państw do przystąpienia do Unii.

Przez to policentryczne pojęcie rozumiem parasol, który przykrywa wiele różnych inicjatyw, wiele różnych działań. Ich jądrem jest *connectivity*, co tłumaczymy jako wzajemne powiązania, chociaż to polskie wyrażenie nie oddaje dobrze oryginału angielskiego. *Connectivity* oznacza bowiem powiązanie tych krajów razem ze sobą zarówno w sposób dosłowny, poprzez infrastrukturę drogową, kolejową, lotniczą i telekomunikacyjną, jak i w sensie przenośnym, ludzkim, poprzez instytucje i uregulowania prawne.

Tak źle jest z infrastrukturą na obszarze byłej Jugosławii?

Zapominamy czasami, że rozpad Jugosławii spowodował również rozpad wspólnej przestrzeni gospodarczej. Powstały granice, pojawiły się odprawy, które stanowią ogromne utrudnienie dla przewozu towarów. Przygotowując się do tego szczytu, jeżdżąc dużo po tym

eprasa.pl 26a741fd42

regionie, zauważyłem, że na przykład ze Skopje do Podgoricy łatwiej jest dotrzeć samolotem przez Warszawę, bo pokonanie tej trasy w inny sposób zajmuje wiele godzin.

Jak w tym kontekście rozumieć słowa Emanuela Macrona o tym, że do rozszerzenia może dojść dopiero wtedy, kiedy się zreformuje procesy decyzyjne w Unii? Jak rozumieć odsunięcie na przyszłość – niedaleką wprawdzie, ale jednak, jak na razie do października – rozpoczęcia negocjacji akcesyjnych z Macedonią Północną i Albanią?

Myślę, że odpowiedzi na oba pytania udzieliła kanclerz Merkel na konferencji prasowej w Poznaniu. Po pierwsze, ona nie odebrała w taki sposób słów francuskiego prezydenta. W kwestii rozpoczęcia negocjacji z Albanią i Macedonią Północną wyraziła zaś optymizm, że ten październikowy termin będzie dotrzymany.

Mówimy więc o optymizmie, ale nie pewności. A czy Europa jeszcze pamięta, że ćwierć wieku temu przez Bałkany Zachodnie przetoczyło się kilka wojen?

To jest pytanie… bardzo trudne. Niedługo minie trzydzieści lat od wybuchu pierwszej wojny na terenie byłej Jugosławii; to więcej niż jedno pokolenie. Myślę, że ta pamięć słabnie. Powinniśmy jednak tę historię traktować jako memento. Europa nie może zapominać o tym, że tam właśnie miały miejsce tak straszne wojny. Tak, Europa powinna o tym wciąż pamiętać.

Krótko przed szczytem w jednej z polskich telewizji dziennikarz, rozmawiając z gościem w studio, zapytał, czy jest nam potrzebny wewnątrz Unii ten kocioł bałkański. Pomyślałem, że Unia, a raczej Wspólnota Węgla i Stali, powstała właśnie po to, by opanować inny kocioł, europejski, który dwa razy już wybuchł i doprowadził do wojen światowych. Stąd moje odwrócone pytanie: czy możemy sobie pozwolić na pozostawienie Bałkanów poza Unią Europejską?

Pozycja Polski jest tutaj jasna. Uważamy, że kwestia rozszerzenia o te kraje jest naszym moralnym obowiązkiem. Jak Pan słusznie zauważył, jeszcze sto lat temu moglibyśmy mówić o kotle europejskim, w którym miały miejsce dwie straszne wojny. Tak więc wydaje się, że bez perspektywy rozszerzenia nie będzie dobrej przyszłości. Nie tylko dla tego regionu, ale i dla Europy jako całości.

Nie powinniśmy też zapominać, że I wojna światowa zaczęła się przecież w sposób bardzo symboliczny właśnie na Bałkanach, w Sarajewie.

Właśnie, Sarajewo. Gdzie są dziś największe problemy Bałkanów Zachodnich? Między Serbią a Kosowem? Czy może właśnie w Bośni i Hercegowinie? Przecież to jest bardzo dziwny, wciąż podzielony kraj, o którym ostatnio tak niewiele słyszymy.

eprasa.pl 26a741fd42



Aureliusz M. Pędziwol

Polacy lubią Bałkany Zachodnie. Liczba polskich turystów jest tam ogromna, nie myślę tylko o Chorwacji, która jest już w Unii Europejskiej. Jeździmy bowiem też do Czarnogóry i Albanii. Każde z tych państw odwiedza 150 tysięcy polskich turystów rocznie.

epress.pl 26

Problemów jest rzeczywiście bardzo dużo, ale w ramach Procesu Berlińskiego staraliśmy się jako polska prezydencja mówić mniej o problemach, a więcej o szansach. O już zrealizowanych zamierzeniach i o tym, co jeszcze można tam osiągnąć.

Ale czy nie należy najpierw zdefiniować, gdzie tkwią przeszkody?

Jeszcze raz podkreślam: rozszerzenie Unii Europejskiej i Proces Berliński są to działania równoległe. W rozszerzenie wpisane są problemy i wypełnianie oczekiwań. W Procesie Berlińskim staramy się o pozytywne cele, takie jak porozumienie dotyczące roamingu, które weszło w życie 1 lipca tego roku i pozwoliło na znaczące obniżenie kosztów rozmów telefonicznych w regionie. To jest przykład pozytywnego myślenia w duchu Procesu Berlińskiego, tej *connectivity*, łączenia tych państw.

W tym przypadku bardzo dosłownego.

Z inicjatywy brytyjskiej i przy dużym wsparciu austriackim, szczególnie na początku, w ramach Procesu Berlińskiego uruchomiono również proces dyskusji na temat stosunków dwustronnych, tak zwanych *bilateral issues*. Pierwsze spotkanie było w Wiedniu, kolejne w Skopje, trzecia edycja odbędzie się w Prisztinie, w Kosowie, prawdopodobnie jesienią.

Oczywiście można powiedzieć, że postęp w stosunkach między krajami Bałkanów Zachodnich przebiega bardzo powoli i z ogromnymi oporami. Ale z drugiej strony, jak zresztą zauważyła kanclerz Merkel na konferencji prasowej w Poznaniu, nie sposób nie zwrócić uwagi na to, że w Prespa jednak udało się osiągnąć porozumienie między Macedonią Północną a Grecją. Wbrew wieloletnim problemom i wielokrotnemu zamrażaniu dialogu między Skopje a Atenami na ten temat, udało się przełamać te lody i ruszyć z miejsca. To pokazuje, że wola polityczna jest w stanie działać cuda.

Za to kanclerz Merkel bardzo chwaliła Macedonię. Za ugodę w sprawie nazwy kraju, za umiejętność znajdywania kompromisu – w tym przypadku z Grecją. Ale chyba dużo trudniejsze będą porozumienia między samymi byłymi republikami Jugosławii, zwłaszcza między Serbią a Kosowem. Czy zna Pan przykłady pokazujące, że i one są możliwe?

Myślę, że polityczne problemy dwustronne tego rodzaju, jak konflikt między Belgradem a Prisztiną, powinny być rozwiązywane bilateralnie, ewentualnie ze wsparciem Unii Europejskiej, ale nie w ramach Procesu Berlińskiego. Oczywiście Komisja Europejska wspiera Proces Berliński i jest w niego zaangażowana, ale jednak są to dwa różne porządki.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na jedną rzecz, o której powinienem był powiedzieć na samym początku. Otóż, jak zauważył premier Morawiecki podczas konferencji prasowej w Poznaniu, nasze poparcie dla rozszerzenia i nasze zaan-

eprasa.pl 26a741fd42

gażowanie w tym regionie wynikają również z faktu, że w Procesie Berlińskim jesteśmy pierwszą prezydencją kraju, który przeszedł w ostatnich latach transformację ustrojową. Wciąż jeszcze mamy jej pamięć, która umożliwia nam wspieranie Bałkanów Zachodnich na przykład przez informowanie, jak sobie radziliśmy ze środkami przedakcesyjnymi, jak współpracowaliśmy z samorządami lokalnymi, żeby były w stanie wykorzystywać pieniądze europejskie. To jest kompetencja, którą jeszcze posiadamy, ale za jakiś czas stracimy ją w naturalny sposób.

Wygląda na to, że już tracimy, ale to temat na całkiem inną rozmowę. Ja jednak nie pytałem o Proces Berliński, lecz o to, czy można już zaobserwować próby osiągania kompromisu pomiędzy poszczególnymi państwami Bałkanów Zachodnich.

Sztandarowymi przykładami są tutaj oczywiście porozumienia Skopje z Atenami o nazwie państwa Macedonia Północna, a także z Sofią o przyjaźni.

A wewnątrz byłej Jugosławii?

To są bilateralne spotkania, które dotyczą też bardzo drobnych, ale istotnych z formalnego punktu widzenia kwestii, jak potwierdzenia przebiegu granic.

Pozostaje ogromny obszar dotyczący przeszłości. Podczas poznańskiego szczytu temu zadaniu służyła debata na Forum Społeczeństwa Obywatelskiego, zatytułowana „Overcoming the Legacy of the Past", „Przezwyciężanie dziedzictwa przeszłości". Ta dyskusja przyciągnęła najwięcej słuchaczy, bo też dotyczyła najbardziej drażliwych tematów.

Jakie to trudne, pokazuje choćby to, co się dzieje w Polsce w odniesieniu do Niemiec. Wydawało się, że tak wiele się udało. Teraz wygląda to tak, jakby czas się cofnął. Tym poprzednim pytaniem zmierzałem ku dwóm obszarom, gospodarce i społeczeństwu obywatelskiemu, bo to chyba właśnie na tych polach może najszybciej dojść do zbliżenia. O tym był drugi dzień szczytu, podczas którego miały miejsce Forum Biznesu i wspomniane przez Pana Forum Społeczeństwa Obywatelskiego. Czy potwierdziły one takie przypuszczenia?

Ten drugi dzień był pokazem naszej koncepcji, którą zrealizowaliśmy moim zdaniem z powodzeniem. Pełnomocnik rządu do spraw organizacji szczytu, minister Szymon Szynkowski vel Sęk od samego początku kładł nacisk na społeczeństwo obywatelskie. *Civil society*, czyli społeczeństwo obywatelskie, było jednym z naszych czterech priorytetów, oprócz *connectivity*, *security*, czyli bezpieczeństwa, i oczywiście gospodarki.

Społeczeństwo obywatelskie doszło na tym szczycie bardzo wyraźnie do głosu. W części plenarnej spotkania minister Jacek Czaputowicz zaprosił przedstawicieli NGO'sów do stołu, do bezpośredniej dyskusji z ministrami spraw zagranicznych. Myślę, że jest to jedno z dużych osiągnięć, bo kontakty między decydentami a spo-

eprasa.pl 26a741fd42

łeczeństwem obywatelskim w tych krajach nie zawsze są najlepsze.

A czy poznański szczyt przyniósł jakieś konkrety? Czy może jego największym osiągnięciem jest już sam fakt, że się w ogóle odbył?

Na początku czerwca, czyli jeszcze przed szczytem, mieliśmy w Rzeszowie Forum Miast i Regionów, w którym uczestniczył między innymi związek samorządów lokalnych Bałkanów Zachodnich NALAS [*Network of Associations of Local Authorities of South-East Europe* – przyp. red.]. To spotkanie miało konkretny charakter, jego celem było przekazanie państwom tego obszaru naszego dorobku przedakcesyjnego. Z tego, co słyszałem i z Komisji Europejskiej, i od samych uczestników z regionu, było to bardzo udane spotkanie.

A z polskiej perspektywy?

Bałkany Zachodnie są też obecne w polskiej gospodarce. W towarzyszącym szczytowi Forum Biznesu wzięło udział około trzystu przedsiębiorców. Trudno określić, jakie będą bezpośrednie efekty tego spotkania, ale chciałbym zwrócić uwagę, że przynajmniej w dwóch aspektach mamy już bardzo widoczną polską obecność na tym obszarze. Po pierwsze, do Skopje, Podgoricy i oczywiście także do Belgradu latają Polskie Linie Lotnicze LOT. Wielu moich rozmówców z regionu, szczególnie z Czarnogóry i z Macedonii Północnej, mówiło mi, że w świat latają często właśnie przez Warszawę. I do Azji, i w różne miejsca w Europie, i do Ameryki Północnej.

A tą drugą sprawą jest to, o czym ludzie często nie wiedzą, że Polacy lubią, a nawet kochają Bałkany Zachodnie. Liczba polskich turystów jest tam ogromna. I nie myślę tutaj tylko o Chorwacji, która jest już w Unii Europejskiej, a którą odwiedza rocznie milion Polaków, co wydaje się niewiarygodną liczbą. Jeździmy bowiem też do Czarnogóry i Albanii. Każde z tych państw odwiedza 150 tysięcy polskich turystów rocznie. A 30 tysięcy Polaków w Macedonii Północnej, głównie w Ochrydzie, a zwłaszcza nad Jeziorem Ochrydzkim, to w ogóle największa grupa turystów zagranicznych w tym kraju.

Zdaje się, że Czesi i Słowacy lubią Bałkany Zachodnie jeszcze bardziej. I również na szczeblu państwowym interesują się tym obszarem. Wspomnę tylko szefa słowackiej dyplomacji Miroslava Lajczáka, który był wysokim przedstawicielem ONZ i specjalnym wysłannikiem Unii Europejskiej w Bośni i Hercegowinie. Dlaczego Czechów i Słowaków nie było w Poznaniu?

Wiele lat temu w Chorwacji było więcej Czechów niż Polaków. Ale podwoiliśmy tam naszą obecność tak, że w tej chwili już jesteśmy na czwartym miejscu wśród turystów zagranicznych [pod względem liczby noclegów, za Niemcami, Austriakami i Słoweńcami, przed Włochami i Czechami; pod względem liczby turystów odwiedzających Chorwację Polaków wciąż jeszcze wyprzedzają Włosi – przyp. red.].

eprasa.pl 26a741fd42

Natomiast nieobecność Czechów i Słowaków na poznańskim szczycie wynika z faktu, że inicjatorem i gospodarzem Procesu Berlińskiego jest właśnie Berlin. Dlatego też to kanclerz Merkel zaprasza do udziału w nim. Polska została zaproszona całkiem niedawno i nie nam decydować o tym, kto jeszcze miałby w nim uczestniczyć. Mogę tylko powiedzieć, że premier Morawiecki zaprosił do Poznania czeskiego premiera Andreja Babisza jako przewodniczącego Grupy Wyszehradzkiej, ale ten nie był w stanie skorzystać z zaproszenia z uwagi na inne zobowiązania.

Szkoda, mielibyśmy Czecha i Słowaka w jednym. Chciałbym jeszcze zapytać o te bardzo konkretne, fizyczne powiązania między państwami Bałkanów Zachodnich, o których Pan wspomniał na początku – o autostrady, drogi, koleje. Jak ważny jest ten aspekt infrastrukturalny w Procesie Berlińskim?

Tak jak mówiłem, jądrem procesu jest *connectivity*, w której zawierają się drogi, koleje, telekomunikacja, a także kwestie społeczne, międzyludzkie. To nie jest żadna abstrakcja, tylko rzeczywiście bardzo konkretna koncepcja, a dla Procesu Berlińskiego rzecz absolutnie podstawowa, albowiem dopiero powiązanie tych krajów między sobą umożliwi również ich powiązanie z Europą.

Wiesław Tarka jest dyplomatą. Był koordynatorem do spraw organizacji lipcowego szczytu Bałkanów Zachodnich w Poznaniu zorganizowanego w ramach Procesu Berlińskiego. Przedtem był ambasadorem Polski w Sztokholmie (2014–2018) i Zagrzebiu (2008–2012), a także podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji (2005–2007).

eprasa.pl 26a741fd42

Dlaczego Macedonia jest Północna?

Krzysztof Popek

Spór o nazwę Macedonii toczył się od 1992 roku i wpychał mieszkańców tego kraju na wiele lat w autorytarny uścisk nacjonalistów. Od 2018 roku trwa proces wygaszania tego sporu i wszystko wskazuje na to, że macedoński sen o Europie w bliższej lub dalszej perspektywie czasu się ziści.

O co chodziło w konflikcie grecko-macedońskim? Według Greków, nazwa Macedonia odnosi się do części państwa greckiego z centrum w Salonikach (tak zwana Macedonia Egejska), a zamieszkująca ją ludność grecka to nikt inny jak właśnie Macedończycy. Powstanie po rozpadzie Jugosławii państwa o nazwie Macedonia potraktowano jako wyraz pretensji terytorialnych do ziem wchodzących w skład Grecji. Potencjał militarny i gospodarczy północnego sąsiada czynił te obawy nieuzasadnionymi, co jednak nie łagodziło stanowiska Aten. Oczywiście, w grę wchodził pewien resentyment. Polacy mają swoje Kresy, Grecy mają swoją Megali Ideę, związaną z powrotem do granic Cesarstwa Bizantyjskiego, obejmującego również Macedonię. Przyjęcie Macedonii do ONZ pod nazwą Byłej Jugosłowiańskiej Republiki Macedonii (FYROM, Former Yugoslavian Republic of Macedonia) czy zmiana flagi nie wystarczyły, a rządy w Skopje i Atenach od lat nie mogły dojść do porozumienia. Co ciekawe, analogiczne pretensje mogliby mieć do Macedończyków Bułgarzy, których południowo-zachodnia część kraju również jest historycznie częścią Macedonii (tak zwana Macedonia Piryńska). W 1991 roku Bułgaria wprawdzie jako pierwsza uznała niepodległość państwa macedońskiego, jednak równocześnie podkreśliła, że nie uznaje narodu macedońskiego, który traktuje jako nierozłączną część wspólnoty bułgarskiej.

Przełom nad jeziorem Prespa

O przełomie w Skopje zadecydowali reprezentanci ludności albańskiej, która stanowi około 25 procent populacji Macedonii Północnej. Rządząca od 2006 roku konserwatywna partia Wewnętrzna Macedońska Organizacja Rewolucyjna – Demokratyczna Partia Macedońskiej Jedności Narodowej (VMRO-DPMNE) straciła

eprasa.pl 26a741fd42

większość w parlamencie za sprawą utraty poparcia partii albańskich, które postawiły na współpracę z proeuropejską Socjaldemokratyczną Unią Macedonii (SDSM). W maju 2017 roku premierem został Zoran Zaev, który za priorytet na kolejne lata przyjął wprowadzenie kraju do Unii Europejskiej i NATO. Mając większość w parlamencie, mógł przystąpić do realizacji tych planów. Dlaczego zaś Grecy odpuścili? O ile decydującym czynnikiem w Skopje okazali się Albańczycy, którzy są w gruncie rzeczy bardziej proeuropejscy niż sami Macedończycy, o tyle w przypadku Grecji ważną rolę odegrało osłabienie pozycji międzynarodowej państwa w wyniku kryzysu zadłużenia.

W 2018 roku premierzy Zoran Zaev i Aleksis Tsipras intensywnie rozmawiali na temat porozumienia i wyjścia z wieloletniego impasu – do przełomu doszło w czerwcu nad jeziorem Prespa, kiedy ustalono, że Macedonia zmieni nazwę państwa na „Republika Północnej Macedonii" (mac. Republika Severna Makedonija) i zerwie z tradycjami starożytnego państwa Aleksandra Wielkiego. Grecja obiecała, że przestanie blokować akces byłej jugosłowiańskiej republiki do Unii i NATO oraz uzna naród i język macedoński. Zmiana nazwy kraju wymagała nowelizacji konstytucji oraz aprobaty niechętnego porozumieniu prezydenta, wywodzącego się z ugrupowania VMRO-DPMNE Gjorge Ivanova.

Wysokie poparcie, niska frekwencja

30 września 2018 roku odbyło się referendum, w którym Macedończycy odpowiadali na pytanie: „Czy jesteś za członkostwem w Unii Europejskiej i NATO, akceptując umowę między Republiką Macedonii oraz Republiką Grecką?". Wprawdzie przytłaczająca część głosujących odpowiedziała twierdząco na to pytanie (91,46 procent), jednak frekwencja wyniosła zaledwie 36,9 procent, co sprawiło, że głosowanie było nieważne. Byłoby wiążące, jeżeli 50 procent uprawnionych poszłoby do urn. Taka frekwencja zresztą od początku wydawała się mało realna do osiągnięcia, zważając na fakt, że zarejestrowanych wyborców w Macedonii jest 1,8 miliona, podczas gdy w kraju, ze względu na procesy migracyjne, żyje około 1,3–1,4 miliona ludzi.

Na Bałkanach w coraz mniejszym stopniu widoczna jest obecność rosyjska.

W tej sytuacji rząd Zaeva musiał poszczególne części umowy z Grecją, w tym zmianę ustawy zasadniczej, przeprowadzać przez parlament, do czego potrzebna była większość konstytucyjna wynosząca dwie trzecie. Zadanie nie było łatwe, szczególnie przy protestach prezydenta i opozycji oraz oskarżeniach o zdradę interesu narodowego, ale SDSM przy wsparciu Albańczyków odniosła sukces. 11 stycz-

eprasa.pl 26a741fd42

nia 2019 roku wprowadzono odpowiednie poprawki do konstytucji, w tym zmianę nazwy państwa na „Republikę Macedonii Północnej", która oficjalnie weszła do użytku 12 lutego. Sześć dni wcześniej władze w Skopje podpisały protokół akcesyjny z NATO i tylko ratyfikacja członków Paktu dzieli Macedonię Północną od zostania trzydziestym członkiem sojuszu. Przyjmuje się, że stanie się to do końca roku. Na razie w czerwcu nieopodal Skopje odbyły się duże ćwiczenia wojskowe sił Macedonii Północnej oraz pięciu państw Paktu (USA, Bułgarii, Albanii, Czarnogóry oraz Litwy) z udziałem dwóch tysięcy żołnierzy.

Bój o pałac prezydencki

Następnym krokiem na tej wyboistej drodze Macedonii Północnej do Europy były wybory prezydenckie, które miały miejsce wiosną tego roku. Kandydaci przeciwnych sobie bloków szli łeb w łeb. Po jednej stronie była przeciwna umowie i wspierana przez VMORO-DPMNE Gordana Siljanovska-Davkova, po drugiej – wystawiony przez SDSM Stevo Pendarovski. W pierwszej turze 21 kwietnia zdobyli oni porównywalne poparcie: na Siljanovską-Davkovą zagłosowało 44,16 procent wyborców, a na Pendarovskiego – 44,75 procent. Na tym etapie nie było więc wiadomo, czy pałac prezydencki, tak jak za urzędowania ustępującego Gjorge Ivanova, wciąż będzie ośrodkiem sprzeciwu wobec porozumienia z Grecją i zmiany nazwy państwa. Kluczowe dla ostatecznego wyniku były głosy oddane w pierwszej turze na kandydata mniejszości albańskiej, Blerima Reka, którego poparło 11,08 procent głosujących. W drugiej turze 5 maja właśnie dzięki tym głosom zwyciężył Pendarovski, uzyskując wynik 53,59 procent wobec 46,41 procent oddanych na kandydatkę VMORO-DPMNE.

Grecja blokowała Macedonii akces do organizacji zachodnich, gdyż wykorzystywała silniejszą pozycję, realizując założenia swojej polityki historycznej.

Ostatni krok

Finalnym i najtrudniejszym zadaniem w perspektywie najbliższych lat będzie przyjęcie Macedonii Północnej do Unii Europejskiej. Od 2005 roku, kiedy Macedonia otrzymała status kraju kandydującego, sprawy stały w miejscu. Na reakcję struktur unijnych na porozumienie między Skopje a Atenami z czerwca 2018 roku nie trzeba było długo czekać. Rada do Spraw Ogólnych Unii otworzyła drogę do rozpoczęcia negocjacji akcesyjnych. I znowu sprawy stanęły w miejscu. Wprawdzie Niemcy są

eprasa.pl 26a741fd42

za dalszym rozszerzaniem Wspólnoty o kraje byłej Jugosławii (to stanowisko wspiera również polski rząd), ale słynne ze sceptycyzmu wobec Bałkanów Holandia czy Francja podkreślają, że przed kolejnym rozszerzeniem należy najpierw uporać się z bieżącymi kłopotami Unii, z Brexitem na czele. Problem stanowi sama kondycja Macedonii Północnej: nie tylko kwestia korupcji oraz słabych instytucji państwa, ale i bieda oraz wolny wzrost gospodarczy. Wiele państw zachodnich podkreśla, że Bułgaria i Rumunia stanowią już dostateczny problem dla gospodarki Wspólnoty. Dialog z Brukselą okazuje się więc wcale nie łatwiejszy niż rozmowy z Grekami. Początkowo decyzja o otwarciu negocjacji akcesyjnych miała zapaść w czerwcu, jednak przeważyły głosy przeciwników rozwoju wspólnoty w kierunku bałkańskim i na razie przełożono ją na październik.

Przytępione zęby Greków

Grecja blokowała Macedonii akces do organizacji zachodnich, gdyż wykorzystywała silniejszą pozycję, realizując założenia swojej polityki historycznej. Wracając do bułgarskich kłopotów z Macedończykami, można byłoby wysnuć tezę, że gdyby mieli w 1991 roku podobne położenie jak Grecy, również mogliby się pokusić o tego typu działania. Jednak ich pozycja była nieporównywalnie słabsza, sami byli przed procesem integracji z NATO oraz Unią Europejską i ograniczyli się wyłącznie do stwierdzenia, że naród macedoński nie istnieje. Z międzynarodowej pozycji Grecji wynikają również ustępstwa wobec północnego sąsiada – zmagający się z kryzysem ekonomicznym Grecy oraz znajdujący się na pierwszej linii frontu w kwestii uchodźców nie tylko stracili na znaczeniu pod względem politycznym i ekonomicznym, ale i ucierpiał poważnie ich wizerunek. Zakończenie trwającego prawie trzydzieści lat konfliktu z Macedonią można było ogłosić jako sukces wśród zaciskającego pasa społeczeństwa greckiego. Nie jest to takie jednoznaczne – ustępstwa wobec Skopje podzieliły scenę polityczną w Grecji i niemal nie doprowadziły do przedwczesnych wyborów na początku roku. Polityka ustępstw Aten wobec północnego sąsiada przyczyniła do mizernego wyniku Syrizy w czasie wyborów do Parlamentu Europejskiego w maju 2019 roku (23,8 procent głosów wobec 31,1 procent, które uzyskała konserwatywna Nowa Demokracja) i rozpisania przedterminowych wyborów parlamentarnych na lipiec, w wyniku których formacja Aleksisa Tsiprasa utraciła władzę.

Albańczycy rozdają karty

Przełom w konflikcie macedońsko-greckim był możliwy dzięki poparciu dla zmian ze strony mniejszości albańskiej. Albańczycy od lat pełnią funkcję języczka u wagi

eprasa.pl 26a741fd42

w sporze między SDSM a VMORO-DPMNE, pokazując, że są gotowi współpracować zarówno z jednymi, jak i drugimi, w zależności od tego, kto im jest w stanie więcej zaoferować. To właśnie utworzenie koalicji socjaldemokratów z mniejszością albańską umożliwiło przeprowadzenie przez parlament wszystkich wymaganych ustaw związanych ze zmianą nazwy państwa i porozumieniem z Atenami. Podobnie bez głosów albańskich Pendarovski mógłby nie zostać kolejną głową państwa, a pałac prezydencki zostałby w orbicie wpływów VMORO-DPMNE i dalej sabotowałby proponowane zmiany (były prezydent Ivanov wszakże odmówił podpisania ustawy dotyczącej zmiany nazwy państwa).

SDSM zapłaciła za to wysoką cenę, wprowadzając kolejne ustawy zwiększające prawa Albańczyków w Macedonii Północnej, w tym ustanowienie albańskiego jako drugiego języka urzędowego na terytorium całego kraju (do tej pory obowiązywał wyłącznie na obszarach zamieszkanych przynajmniej w 20 procentach przez Albańczyków). Wielu Macedończyków obawia się, że dochodzi do zawłaszczania ich kraju przez tę niezwykle liczną mniejszość. Wizja federalnego modelu Macedonii Północnej jako Macedono-Albanii, gdzie drugi z wymienionych członów coraz bardziej przeważa nad pierwszym, nie wydaje się abstrakcyjnym scenariuszem. Nie zapominajmy też o idei „Wielkiej Albanii" – zjednoczenia Albanii, Kosowa i zachodniej części Macedonii Północnej. Jakkolwiek Albańczycy północnomacedońscy na razie nie mówią o niej głośno, to wraz ze wzrastającą pozycją i kolejnymi przywilejami również tę wizję należy uznać za coraz bardziej realną.

Przełom w konflikcie macedońsko-greckim był możliwy dzięki poparciu dla zmian ze strony mniejszości albańskiej.

Coraz krótsze ramię Moskwy

Zmiany zachodzące w Macedonii Północnej wpisują się również w inne zjawisko postępujące na Bałkanach – w regionie w coraz mniejszym stopniu widoczna jest obecność rosyjska. Tradycyjne, sięgające właściwie XVIII wieku, zakorzenienie wpływów rosyjskich na Bałkanach, oparte na koncepcji wspólnoty prawosławnej oraz słowiańskiej, wydaje się obecnie ograniczone wyłącznie do Serbii. Belgrad zaś nieprędko dołączy do NATO, pamiętając o bombardowaniach z okresu wojny w byłej Jugosławii i nie mogąc odpuścić kwestii Kosowa. Bułgaria od lat jest członkiem Unii i NATO, urzędujący od 2017 roku prezydent Simeon Radew, uznawany za prorosyjskiego, nie zmienił kursu na Europę prowadzonego konsekwentnie przez Sofię. Nieco obrażona na Brukselę w czasie kryzysu zadłużenia Grecja zakulisowo odgra-

eprasa.pl 26a741fd42

żała się, że sięgnie do kieszeni Moskwy – kieszeń ta jednak okazała się pusta, a Ateny musiały zacisnąć zęby i współpracować z wierzycielami w ramach działań naprawczych. Albania jest członkiem NATO od 2009 roku, wreszcie do Paktu – co odbyło się przy szczególnym sprzeciwie Rosjan, a nawet próbie sabotowania tych zmian – w 2017 roku dołączyli Czarnogórcy.

Teraz czas na Skopje. Szczególnie chętnie wizytujący Moskwę prezydent Gjorge Ivanov przeszedł do historii, a Macedonia Północna zaraz stanie się członkiem NATO, w dalszej perspektywie również Unii. Rosja przestaje być liczącym się graczem na Bałkanach, a dawne ramię giganta przypomina obecnie rączkę liliputa. Z drugiej strony, jeżeli negocjacje akcesyjne miedzy Unią a Macedonią Północną będą dalej odkładane w nieskończoność, niewykluczone, że opcja prorosyjska odzyska znaczenie w Skopje.

Wizja federalnego modelu Macedonii Północnej jako Macedono-Albanii nie wydaje się abstrakcyjnym scenariuszem.

Destruktywna polityka historyczna

Czego może nas nauczyć sprawa Macedonii Północnej? Przede wszystkim tego, jak bardzo polityka historyczna (bo w gruncie rzeczy tego dotyczył spór grecko-macedoński) potrafi być destruktywna. Gdyby nie greckie weto wobec macedońskiej integracji z Unią Europejską i NATO, Macedonia Północna byłaby w zupełnie innym punkcie rozwoju, niż jest teraz.

Trudno rozsądzać, czy byłaby już członkiem Wspólnoty (jakkolwiek moment uzyskania niepodległości oraz potencjał nasuwa skojarzenia z drogą Chorwacji), jednak nie ma wątpliwości, że należałaby już do NATO (skoro udało się to już Albanii oraz Czarnogórze). Może to spore uproszczenie, ale spór o jedno słowo, o dodanie określenia Północna do Macedonia sprawił, że Macedończycy przez lata niemal stali w miejscu, kiedy takie kraje jak Bułgaria i Rumunia przechodziły faktyczną metamorfozę dzięki uczestnictwu we wspólnocie europejskiej. Winę zaś za ten spór ponosi Grecja, która strzelała sobie w stopę – traciła wizerunkowo, gdyż miała być ambasadorem integracji unijnej na Bałkanach, traciła też gospodarczo, utrwalając swoje geograficzne położenie jako odciętych peryferii Unii. Jakkolwiek od polityki historycznej się nie ucieknie i trzeba wchodzić w dialog z sąsiadami na trudne tematy związane ze wspólną przeszłością, to może warto pamiętać o kłopotach Macedończyków, wdając się w kolejny jałowy spór z Ukrainą czy Izraelem.

eprasa.pl 26a741fd42

Pomiędzy wczoraj i dziś

Z Tornike Bziawą, gruzińskim reżyserem, rozmawia Stasia Budzisz

STASIA BUDZISZ: Na warszawskim przeglądzie filmów gruzińskich Gamardżoba Kino mogliśmy zobaczyć pierwszą część Twojej trylogii, krótkometrażowy film *Kwietniowy dreszcz* z 2010 roku. To obraz, który zdobył międzynarodowe uznanie, był wyświetlony na ponad czterdziestu festiwalach filmowych. Pozwól jednak, że zaczniemy od tradycji tańca, do której nawiązujesz w każdej z części. Dlaczego właśnie tańcem kończysz pierwszą i ostatnią część tryptyku?

TORNIKE BZIAWA: Lubię motyw tańca. Dla naszej kultury, która jest bardzo stara, taniec jest czymś budzącym wielkie emocje. W nim wyrażone jest wszystko to, co można nazwać gruzińskością. Tutaj widać podział ról i schematy zachowań. Poza tym gruziński taniec jest estetyczny. Daje podwójne doświadczenie piękna – duchowego i cielesnego. W *Kwietniowym dreszczu* trudny gruziński taniec próbuje wykonać sowiecki żołnierz, co mu nie wychodzi, a w *Wake Manie* – mieszkanki domu starców. Taniec stanowi klamrę kompozycyjną, łączy bohaterów w trzech częściach, które dzieli od siebie trzydzieści lat.

W Twoich filmach nie ma zbędnych dźwięków, każdy szmer ma znaczenie. Odnoszę wrażenie, że muzyka i brzmienia odgrywają tu ważną rolę. Prócz gruzińskiej muzyki tradycyjnej sięgasz po klasykę oraz po dźwięki, które zaskakują zarówno Twoich bohaterów, jak i widza. Jaki jest tego sens?

Dźwięk silnie działa na wyobraźnię. Odgłos czołgów czy uderzenia bębna to brzmienia, które nie pasują do rzeczywistości, która jest przedstawiona w filmie. One pojawiają się z zewnątrz, wytrącają z równowagi, są nienaturalne. Gruzińska muzyka towarzyszy nam od najmłodszych lat. Jestem bardzo wrażliwy na muzykę, dlatego w drugiej części trylogii, w *Gnieździe* pojawia się jej najwięcej. Tam jest i Chopin, i Rachmaninow, ulubieni kompozytorzy mojego ojca. Zresztą on nauczył mnie słuchać klasyki i jemu ten film zadedykowałem.

Polskie akcenty?

Tak, oczywiście. Mój ojciec był chemikiem i od lat sześćdziesiątych do osiemdziesiątych mieszkał w Polsce. Ja też mówię po polsku, lubię ten kraj i fascynuję się polskim kinem.

***Gniazdo* jest swego rodzaju pożegnaniem z ojcem?**

Tak. Mój ojciec zmarł dziesięć miesięcy po premierze tego filmu. Jest to obraz osobisty i dla mnie najważniejszy z całej

eprasa.pl 26a741fd42

trylogii. To opowieść o męskiej samotności. Żona bohatera nie żyje, opiekuje się nim syn, który jest rozwiedziony. Oboje są więc samotni. Ojciec i syn, taki symbol zmiany generacji, zamiany ról. Ojciec, który staje się dzieckiem: nie mówi, jest zobojętniały, ma demencję, stracił umiejętność pisania i całkowicie poddaje się woli syna, który staje się jego opiekunem. To podziękowanie i pożegnanie jednocześnie. Bo ostatnie miesiące życia mojego ojca wyglądały podobnie.

Dużo w Twoich obrazach starości. To wynika ze strachu przed nią czy raczej z jej oswajania?

To temat, który siedzi we mnie głęboko. Od dziecka obcuję ze starszymi ludźmi. W moim rodzinnym domu mieszkały cztery starsze kobiety, to one mnie wychowały. Babcia, czyli matka mojego ojca, i trzy ciotki. Starość jest krucha, łatwo ją zranić, złamać, mam do niej wielki szacunek. To chyba jeden z tematów mojego życia. Fascynuje mnie jej nieuchronność, jeśli uda nam się jej dożyć. Szacunek do starości zapisany jest też w gruzińskich wzorcach kulturowych. Dla nas opieka nad starszymi członkami rodziny jest czymś zwyczajnym. Szokiem jest podejście zachodnie, czyli izolacja starszych, odstawianie ich na boczny tor. Kiedy zrobiłem film *Wake Man* (2015), to na festiwalu we Francji nie wierzono, że nakręcił go trzydziestopięciolatek. Myśleli, że ktoś zdecydowanie starszy. To film o tym, że starość czuje się niepotrzebna. Każdy z nas będzie stary, każdemu z nas zostaną tylko wspomnienia i doświadczenie życia. Myślę, że powinniśmy korzystać z rad osób starszych, uczyć się od nich. Tak naprawdę cała ta trylogia przyszła do mnie przez starszych ludzi.

W jakim sensie?

Gdyby nie moja babcia, to pewnie nie zobaczyłbym (jako dziewięciolatek) wydarzeń kwietniowych w Tbilisi w 1989 roku. Ona zabrała mnie na mityng, pierwszy raz zobaczyłem czołgi na ulicy i ludzi z bronią. Jak dziś o tym myślę, to mogło to wtedy wyglądać jak gra, tyle że wszystko było naprawdę. W kwietniu 1989 roku sowieckie wojska spacyfikowały pokojową demonstrację, podczas której zginęło dwadzieścia jeden osób. Pamiętam noc, kiedy babcia obudziła mnie o 3.40 i postawiła przy oknie, żebym patrzył na to, co się dzieje. Mam te obrazy w głowie, w pamięci. One są czarno-białe. *Trylogia* jest czarno-biała i taka musi być, to swego rodzaju powrót do korzeni kina, do jego pierwotnego stanu. Kino wychodzi z pamięci. Pamięć jest czymś pierwotnym, więc czuję, że powinna być w tych dwóch podstawowych barwach.

Klarownie patrzysz na historię i na aktualne kłopoty swojego kraju. Zauważasz biedę, prowadzisz dialog z historią, ale nie moralizujesz. Sięgasz do pamięci. Pierwszą część trylogii – *Kwietniowy dreszcz* od ostatniej – *Wake Mana* dzieli trzydzieści lat. Doprowadzasz do spotkania bohaterów po latach. Ten zabieg założyłeś na początku?

eprasa.pl 26a741fd42

Tak, taka była koncepcja. Ci bohaterowie mieli się ze sobą stykać. Takim łącznikiem między trzema filmami jest Tornike i jego droga od chłopca do dorosłego mężczyzny. W *Kwietniowym dreszczu* uczy się tańczyć tradycyjnego gruzińskiego tańca. To absurdalna sytuacja, w Gruzji jest sowieckie wojsko i nagle gdzieś w opuszczonym budynku ktoś uczy się tańczyć. W *Gnieździe* Tornike opiekuje się ojcem, w *Wake Manie* Rezo, nauczyciel tańca w *Kwietniowym dreszczu* spotyka się ze swoim uczniem w ostatniej części, na stypie i w dość kłopotliwej dla nauczyciela sytuacji. Rezo mieszka w domu starców, nie ma pieniędzy, więc od czasu do czasu wiąże krawat i idzie na stypę do nieznanych sobie osób. Chodzi się najeść i zabrać jedzenie dla współmieszkańców.

O ile w *Kwietniowym dreszczu* tradycja wyróżnia Gruzinów i sowiecki żołnierz nie jest w stanie zatańczyć tradycyjnego gruzińskiego tańca, o tyle w *Wake Manie* tradycja pokazana jest inaczej. Odnoszę wrażenie, że sugerujesz, iż musi nastąpić zmiana. No i w *Wake Men'e* dopuszczasz widza blisko gruzińskiej tradycji, a raczej jej niedopasowania do współczesności. Myślisz, że Gruzini powinni zrezygnować z niektórych jej elementów?

I tu zaczyna grać te trzydzieści lat, zmiana pokolenia, stylu życia i sytuacji politycznej. Nie myślę, że powinniśmy od tradycji odchodzić. To jest niemożliwe i prawdopodobnie się nie uda. Ona jest w nas. Poza tym powinniśmy dokładać starań, by ją pielęgnować, bo jesteśmy małym narodem. Tradycja trzyma nas razem, jednoczy i dzięki niej przetrwaliśmy tyle wieków jako naród, który może pochwalić się językiem i jednym z najstarszych alfabetów świata. Jednak prawda jest taka, że pewne elementy naszej tradycji są już przebrzmiałe. Można powiedzieć, że niepotrzebne. Ludziom nie chce się już odgrywać teatru na suprach (gruzińskich biesiadach). Nie chce się nam już słuchać ciągle tych samych toastów, które nie zmieniają się od lat. To jest fajne dla kogoś, kto przyjeżdża, ale my już nie chcemy tego gadania. Taniec, śpiew to co innego, toasty są zbędne. To się zmieniło w ciągu ostatnich pięciu, sześciu lat, pewnie miała na to wpływ technologia. Staram się balansować między pamięcią a współczesnością, ciągle nawiązywać relacje między jedną a drugą.

W *Wake Manie* jest scena, kiedy jeden człowiek za stołem, przy którym wspominają zmarłego, narzeka na jedzenie. Komentuje, że człowieka takiego formatu nie powinno się żegnać tak kiepską rybą. Wydaje mi się, że trochę pokazujesz tym Gruzję z innej strony, tej mniej przyjemnej. Miałeś taki cel?

Ta scena pokazuje prawdę, ponieważ często zdarzają się takie komentarze, nie tylko na stypach, ale także na weselach. Ludzie są ludźmi i zawsze komuś coś nie będzie pasowało, tak jest wszędzie. Poza tym to scena z życia wzięta. No i odsłania Gruzję.

Gruziński taniec jest wyrazem męskości. W Twoich filmach męskość nie

eprasa.pl 26a741fd42

jest wyrażana brutalnie. Czym ona jest dla ciebie?

Ideałem męskości dla mnie był mój ojciec. Nie znoszę męskości, która kojarzy się z brutalnością, siłą i patriarchatem. Ona nie musi być synonimem tych rzeczy. Istnieje męskość, która jest miękka i piękna. Świat kobiet jest inny od świata mężczyzn, też bardziej jestem na nim skupiony w trylogii. Staram się pokazać to różnymi symbolami. Staram się pokazać męskość na poziomie intelektualnym.

Krawat pełni u Ciebie funkcję symbolu męskości?

Tak. To jest rodzaj pomostu między światem ojca i syna. Mój ojciec uczył mnie wiązać krawat, podarował mi też pierwszy krawat w życiu. To też jest nawiązanie do zmiany pokoleniowej. Krawat potem wraca w *Wake Manie*, tu jest symbolem wyrażenia szacunku dla umarłego. Choć Rezo, bohater, nie zna człowieka, na którego pogrzeb przyszedł. Krawat jest też nawiązaniem do tradycji, to taki symbol, który ma łączyć pokolenia.

***Kwietniowy dreszcz* jest rozliczeniem z komuną?**

Dla mnie ten film to powrót do dzieciństwa. Wydarzenia kwietniowe wywarły na mnie wielki wpływ, ale to zrozumiałem wiele lat później. Poza tym uważam, że kwiecień 1989 roku był jednym z istotniejszych wydarzeń we współczesnej historii Gruzji, i czuję, że powinniśmy o nim pamiętać.

A gruzińskość? Co z nią zrobić?

Nic. Z gruzińskością nic nie da się zrobić. Nie da się jej z siebie wyrzucić: choć wydaje mi się, że jestem obywatelem świata, to zawsze w głębi duszy będę Gruzinem.

Kto jest dla Ciebie wzorem?

Oczywiście Tengiz Abuładze i Siergiej Paradżanow, czerpię z nich garściami.

Nad czym teraz pracujesz?

Nad pełnometrażowym filmem o tematyce historycznej. Chcę przybliżyć historię Kotego Abchazego, bo to ważny gruziński bohater. To dzięki niemu w 1918 roku Gruzini ogłosili niepodległość, a kiedy Gruzja została zajęta przez Sowietów, nie wyjechał, tylko zszedł do podziemia. Został rozstrzelany w 1923 roku. W ogóle uważam, że kino polityczne jest ważne w wielu kwestiach, ale przede wszystkim dlatego, by móc rozliczyć się z historią.

Tornike Bziawa jest gruzińskim reżyserem, pochodzi z rodziny z bogatymi tradycjami filmowymi. Skończył wydział aktorski oraz reżyserski na Państwowym Uniwersytecie Teatru i Kina w Gruzji. Wyreżyserował cztery filmy i zagrał w dziesięciu.

eprasa.pl 26a741fd42

Nie tylko Ossolineum

Wojciech Konończuk, Piotr Kosiewski

W 1997 roku Polska przekazała Ukrainie osiem wniosków rewindykacyjnych dotyczących wybranych kolekcji dzieł sztuki i archiwaliów, w tym przedwojennego Ossolineum. Choć zbiory te stanowią jedynie niewielką część dóbr kultury ważnych dla naszego kraju, a przechowywanych na Ukrainie, zostały one odrzucone. Po ponad dwóch dekadach pojawia się pytanie: skoro nie rewindykacja, to co? Jak Polska powinna zadbać o pozostałą na Ukrainie ważną część naszego dziedzictwa?

Powojenne przesunięcia granic sprawiły, że za wschodnią rubieżą znalazła się istotna część polskiego dziedzictwa kulturowego. Ziemie wschodnie przez stulecia stanowiły nieodłączną część przestrzeni społecznej i kulturowej dawnej Rzeczpospolitej. W tym czasie powstało tam wiele dóbr kultury, które współczesna Polska – obok innych narodów – uważa za część swojej narodowej spuścizny. W skład tego dziedzictwa wchodzą zabytki architektury, sztuki, archiwalia, biblioteki i cmentarze. Trudno jest wprawdzie szczegółowo określić, jak duża część polskich dóbr kultury pozostała na Białorusi i Ukrainie. Niezależnie od tego, czy jest to 25 procent, czy więcej, to z całą pewnością można uznać, że bez nich historia polskiej kultury nie może być pełna.

Syzyfowe prace

Od 1945 roku polskie władze starały się o przekazanie najważniejszych zbiorów, które pozostały za wschodnią granicą, w tym przede wszystkim w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie. Założone w 1817 roku tamtejsze biblioteka, archiwum i muzeum zajmowały wyjątkowe miejsce na mapie polskich placówek kulturalnych. Po długich zabiegach między lipcem 1946 a marcem 1947 roku jako „dar narodu ukraińskiego dla narodu polskiego" do Polski trafiła część ossolińskich kolekcji: około 260 tysięcy książek oraz 43 procent rękopisów i 44 procent starych druków. W tym samym czasie udało się z muzeów lwowskich oraz z innych – już wtedy sowieckich – miast przewieźć także niewielką część kolekcji obrazów (między innymi dzieł Artura Grottgera, Józefa Brandta, Cypriana Godebskiego, Jana Matejki, Piotra Michałowskiego, Henryka Rodakowskiego). Na kolejne dziesięciolecia temat zamknięto.

eprasa.pl 26a741fd42

„Wydarzenia po II wojnie światowej sprawiły, że całe kolekcje praktycznie stały się niedostępne dla polskich badaczy" – podkreśla Ihor Chomyn, kurator Lwowskiej Galerii Sztuki (dawniej: Lwowskiej Galerii Obrazów) i osoba bardzo zasłużona dla relacji polsko-ukraińskich. „[Przed 1991 rokiem] wypożyczenia eksponatów na wystawy należały do rzadkości i miały jednostronny charakter. Tylko największe i najbardziej znane muzea w Polsce mogły zabiegać w Moskwie o zezwolenie na przekazanie pojedynczych dzieł na monograficzne wystawy artystów polskich"[1].

Po uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę sytuacja się zmieniła. Zbiory muzealne, archiwalne czy biblioteczne zaczęły być coraz szerzej udostępniane polskim badaczom, a obiekty wypożyczane na wystawy do polskich instytucji. Kwestia zachowania i opieki nad tym dziedzictwem stała się ważnym elementem naszej polityki wschodniej, choć zwykle rzadko dostrzegalnym publicznie. Wokół tej problematyki właściwie nie ma żadnej dyskusji, temat pozostaje domeną wąskiego środowiska specjalistów.

Od 1945 roku polskie władze starały się o przekazanie najważniejszych zbiorów, które pozostały za wschodnią granicą, w tym przede wszystkim Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.

Chociaż sprawa rewindykacji niektórych dóbr kultury właściwie nie istniała w relacjach z Litwą i Białorusią, to miała duże znaczenie w stosunkach z Ukrainą. Właśnie w tym państwie znajdują się jedne z najważniejszych publicznych zbiorów sztuki, archiwów i bibliotek związane z kulturą polską. Kluczowe znaczenie ma Lwów, ale istotne obiekty, archiwalia i książki są również w innych miastach. 25 czerwca 1996 roku podpisano dwustronne porozumienie w sprawie ochrony i zwrotu dóbr kultury utraconych i bezprawnie przemieszczonych podczas II wojny światowej. Na tej podstawie w grudniu 1996 roku powołano Międzyrządową Komisję Polsko-Ukraińską ds. ochrony i zwrotu dóbr kultury utraconych i bezprawnie przemieszczonych podczas II wojny światowej.

W 1997 roku Pełnomocnik Rządu ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą przedłożył stronie ukraińskiej osiem wniosków rewindykacyjnych. Zmarły niedawno Jacek Miler, przez lata zajmujący się w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego problemem dóbr kultury za granicą, tłumaczył zasadę, którą kierowała się wówczas strona polska: „Dobór wniosków nie był przypadkowy. Zależało nam przede wszystkim na rozpoczęciu rozmów"[2]. Złożono zatem wnioski dotyczące rzeźby Madonny Cypriana Godebskiego będącej własnością prywatną, zdeponowaną

[1] Ihor Chomyn, Wystąpienie podczas seminarium *Polska–Ukraina – wspólne dziedzictwo. Współpraca a problem roszczeń"* zorganizowanego przez Fundację im. Stefana Batorego, 5–7 października 2005, maszynopis.

[2] Jacek Miler, *Realizacja polsko-ukraińskiego porozumienia międzyrządowego w sprawie dóbr kultury*, maszynopis.

eprasa.pl 26a741fd42

we wrześniu 1939 roku w zbiorach Ossolineum oraz dwóch luf armatnich z Zamku Królewskiego na Wawelu, zdeponowanych w latach dwudziestych XX wieku i przekazanych w długoletni depozyt do Muzeum Historycznego Miasta Lwowa. Kolejne dotyczyły obiektów ze zbiorów Bolesława Orzechowicza, które trafiły do Muzeum im. Jana III Sobieskiego z zastrzeżeniem dotyczącym prawa do dysponowania. Podobnie było w przypadku księgozbioru księdza Witolda Czartoryskiego. „Przekazując go jako darowiznę do zbiorów Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, poczynił zapis, że gdyby językiem wykładowym na tym uniwersytecie nie był język polski, zbiory te powinny zostać przewiezione do Krakowa" – podkreślał Jacek Miler. „Podobny zapis dotyczący swojej darowizny poczynił Bolesław Orzechowicz, ofiarowując swe zbiory Muzeum im. Jana III Sobieskiego" [3]. Poza tym – dodawał – „wnioski rewindykacyjne dotyczyły ważnych pamiątek narodowych, w tym regaliów zgromadzonych dawniej w Muzeum Narodowym im. Jana III Sobieskiego (…). Składając właśnie te wnioski, chcieliśmy zasygnalizować, że te obiekty mają szczególną wartość dla polskiego dziedzictwa narodowego". Wreszcie najbardziej obszerny wniosek dotyczył zbiorów Ossolineum.

Zbiory, o których zwrot wnioskowała Polska, stanowią zaledwie niewielką część dóbr kultury ważnych dla naszego kraju, a przechowywanych na Ukrainie. W 1999 roku strona ukraińska odrzuciła jednak wszystkie wnioski rewindykacyjne. Od tego czasu Warszawa nie składała kolejnych. Zrobiła to natomiast Ukraina: w 2002 roku złożyła wniosek rewindykacyjny dotyczący części zbiorów założonego w 1873 roku we Lwowie Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki, najstarszej ukraińskiej instytucji naukowej. Zostały one wywiezione przez Niemców w 1944 roku ze Lwowa do Adelina na Dolnym Śląsku i w 1945 trafiły do Biblioteki Narodowej w Warszawie, gdzie są przechowywane do dziś.

Od 2002 roku kwestia zbiorów sztuki stała się tematem kolejnych rozmów polsko-ukraińskich. Początkowo strona polska proponowała wzajemną wymianę całości kolekcji, aby następnie złożyć propozycję wymiany – po opracowaniu i zmikrofilmowaniu – tylko archiwum Ossolineum. Jednak nigdy do tego nie doszło, chociaż strona polska kilkukrotnie powracała do idei wymiany (ostatnio w 2015 roku).

Lepiej układała się współpraca między archiwami. W 2003 roku szefowie państwowych służb archiwalnych Polski i Ukrainy podpisali deklarację wzajemnej wymiany archiwaliów, która zostanie przeprowadzona w ramach „pierwszego kroku". Ustalono wówczas, że przedmiotem wymiany mają być ze strony polskiej księgi miejskie i grodzkie pochodzące z terytoriów obecnej Ukrainy, a ze strony ukraińskiej dokumenty pergaminowe oraz dokumenty „Komisji do rozpatrzenia roszczeń

[3] Tamże.

eprasa.pl 26a741fd42

finansowo-majątkowych między Austrią a Królestwem Polskim". Jednak także w tym przypadku do wymiany nie doszło.

Nie tak łatwo

Poza działaniami na poziomie państwowym pojawiały się propozycje społeczne – dzisiaj już trochę zapomniane – rozwiązania problemu zbiorów polskich na Ukrainie. W szczególności odnosiło się to do zbiorów ossolińskich, będących jednymi z najważniejszych – używając określenia znanego francuskiego historyka Pierre'a Nora – miejsc pamięci. Najbardziej znaną przedstawił w 1997 roku Jan Nowak-Jeziorański, którego głos w polskiej debacie publicznej zawsze miał znaczenie. Postulował on, by zebrać dobra kultury należące do ukraińskiego dziedzictwa, a przechowywane w polskich zbiorach publicznych. A następnie zorganizować pod egidą Ossolineum we Wrocławiu ich wystawę. „Jej otwarcie – przekonywał – można by połączyć z uroczystym aktem zawiązania braterskiego partnerstwa miasta Wrocławia z Lwowem. Reszta zależałaby już tylko od decyzji miasta Lwowa. Czy wolą mieć u siebie pamiątki dziejów polskich, czy ukraińskich. Rozwiązanie takie przyczyniłoby się walnie do scementowania przyjaźni polsko-ukraińskiej i zamknięcia bolesnego rachunku przeszłości. (…) Chyba że zadowolimy się oglądaniem zdjęć i mikrofilmów"[4].

Jan Nowak-Jeziorański całkowicie pominął problemy prawne, jakie wiązałyby z taką wymianą dóbr kultury. Warto jednak – za Nawojką Cieślińską-Lobkowicz – zauważyć, że opinia publiczna, a także eksperci rzadko uświadamiają sobie „prawdę, że zwrot dóbr kultury przemieszczonych w wyniku wojny nie jest wyłącznie – ani nawet przede wszystkim – kwestią prawną, bo uzgodnienie zbliżonej wykładni interpretacyjnej stosownych regulacji prawnych, międzynarodowych i wewnętrznych, w praktyce okazało się niemożliwe. Słowem, że decydująca będzie wola polityczna obu stron"[5]. Jest jeszcze jeden aspekt pomysłu Jana Nowaka-Jeziorańskiego, na który nie zwrócono chyba uwagi. Gdyby został on zrealizowany, doprowadziłoby to do „wyczyszczenia" polskich zbiorów ze śladów polsko-ukraińskiej przeszłości.

Własność czy dostęp?

Złożenie przez Polskę wniosków rewindykacyjnych początkowo ograniczyło współpracę z niektórymi instytucjami ukraińskimi. Wymusiło także poszukiwanie

[4] Jan Nowak-Jeziorański, *Kultura polityczna*, „Wprost", 10 stycznia 1999.

[5] Nawojka Cieślińska-Lobkowicz, *Zwrot dóbr kultury w stosunkach polsko-niemieckich ostatniego dziesięciolecia*, w: *Przemieszczone dobra kultury. Przypadek Europy Zachodniej i problemy państw Europy Środkowej i Wschodniej w XX wieku*, red. Grażyna Czubek i Piotr Kosiewski, Warszawa 2004, s. 141.

eprasa.pl 26a741fd42

form współpracy w sytuacji, w której sporna pozostaje kwestia własności. W latach 2005–2005 na zlecenie Fundacji im. Stefana Batorego przygotowano opracowanie *Wspólne dziedzictwo a pragmatyka współpracy w sytuacjach spornych. Opinie polskich i ukraińskich muzealników, archiwistów i bibliotekarzy*. Na jego potrzeby rozmawiano z wieloma dyrektorami i kustoszami kluczowych polskich i ukraińskich instytucji kultury. Jedną z podstawowych kwestii było „prawo do przechowywania". Co istotne, większość rozmówców – z przesłanek pragmatycznych – opowiadała się za przyjęciem za obowiązujące istniejącego *status quo*: „każdy, kogo obowiązkiem jest ochrona zbiorów, kto zostaje dyrektorem muzeum, biblioteki, archiwum, powinien chronić wszystko to, co zastał; nie powinien być tym pierwszym, który biegnie z tą księgą i oddaje ją komuś, kogo uznaje w swoim moralnym wnętrzu za byłego właściciela, bo sprawy bywają bardzo, bardzo skomplikowane" – czytamy we wspomnianym raporcie. Jednak, co ważne, uznanie *status quo* przez specjalistów nie oznacza, że obie strony nie wysuwają względem siebie roszczeń w zakresie zwrotu dóbr dziedzictwa kultury.

Okazało się też, że samo zadanie pytania o to, kto jest prawowitym właścicielem (a nie jego przemilczenie) – nie musi prowadzić do zakończenia współpracy. Wręcz przeciwnie. Dobrym przykładem jest Międzyrządowa Komisja Polsko-Ukraińska ds. ochrony i zwrotu dóbr kultury utraconych i bezprawnie przemieszczonych podczas II wojny światowej oraz związane z nią zespoły eksperckie. Problem zwrotu dóbr miał być jednym z jej dwóch podstawowych zadań. W chwili, w której rozmowy na ten temat utknęły w martwym punkcie, ważne stało się drugie z zadań: ochrona, badania i współpraca. Ten obszar uczyniono zatem podstawowym tematem rozmów polsko-ukraińskich. Pomogło to także w budowaniu relacji i zaufania między poszczególnymi instytucjami z Polski i Ukrainy oraz badaczami.

W przypadku najbardziej spornego zbioru przełom nastąpił już w 2001 roku. „Z trudem, ale pojęliśmy – podkreśla Adolf Juzwenko, dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich – że Ossolineum jest jedno – ze zbiorami we Wrocławiu i we Lwowie i podjęliśmy dyskusję nad tym, co należy zrobić, aby zachować jedność bez konieczności przemieszczenia zbiorów"[6]. W latach 2003–2005 między Biblioteką im. Stefanyka, do której należą pozostałe we Lwowie zbiory dawnego Ossolineum, a wrocławskim Ossolineum podpisane zostały trzy umowy dotyczące różnych form współpracy, wśród których znalazły się takie działania, jak cyfrowe kopiowanie lwowskich zbiorów, przede wszystkim rękopisów i czasopism oraz archiwum. Rozpoczęto też we Lwowie, a w 2007 roku również we Wrocławiu – skanowanie dawnych zbiorów Biblioteki Ossolińskich, by ich całość mogła być dostępna na nośni-

[6] Wypowiedź Adolfa Juzwenki w dyskusji *Polskie dobra kultury na Wschodzie*, w: *Polska polityka wschodnia. Materiały z konferencji zorganizowanej w dniach 28–29 października 2005 roku we Wrocławiu*, Wrocław 2005, s. 105.

eprasa.pl 26a741fd42

kach elektronicznych. Polska pomogła też finansowo w remoncie dawnego budynku Biblioteki Baworowskich (przed wojną jednej z największych bibliotek, po 1945 roku włączonej do Biblioteki im. Stefanyka), w którym w 2006 roku powstało stałe biuro pełnomocnika Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.

W 1999 roku Ukraina odrzuciła wszystkie wnioski rewindykacyjne. Od tego czasu Warszawa nie składała kolejnych. Zrobiła to Ukraina w 2002 roku.

Wymienić można też wieloletnią współpracę archiwistów, bibliotekarzy i muzealników. Jednak lista problemów jest długa. Przykładem jest współpraca przy organizacji wystaw muzealnych, w której niejednokrotnie pomijano lub obchodzono procedury, które obowiązują w dzisiejszym muzealnictwie. Długo opierała się ona na indywidualnych kontaktach, dzięki którym częstokroć możliwe było i jest wypożyczanie obiektów ze zbiorów zinwentaryzowanych jedynie częściowo. Dominuje też jednostronny charakter wypożyczeń na wystawy (z Ukrainy do Polski), co wydaje się naturalne, gdyż to w zbiorach ukraińskich znajdują się ważne dla kultury polskiej obrazy i inne dzieła sztuki. Dostęp do nich stał się w ostatnich latach znacznie łatwiejszy, czego najnowszym przykładem jest trwająca w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie wystawa „Jan Matejko z Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki im. B.G. Woźnickiego, Muzeum Narodowego w Warszawie oraz z kolekcji prywatnych".

I tak pan nie da rady

W polsko-ukraińskich rozmowach powoli upowszechnia się termin „wspólne dziedzictwo". Warto jednak pamiętać o przestrodze prawnika Jana Pruszyńskiego, który podkreślał, że nieporozumieniem jest uznawanie za własne lub wspólne „dzieł sztuki i zabytków przemocą odebranych ich prawowitym właścicielom bądź przemieszczonych w wyniku konfliktów wojennych, okupacji cudzego terytorium, zmian granic lub przemian politycznych (…). Jakież bowiem więzy mogą łączyć przywłaszczyciela z ograbionym?"[7].

Jest też inny problem – jak wypracować zasady praktycznego postępowania ze spornymi dobrami kultury? W europejskim muzealnictwie coraz powszechniejsza staje jest instytucja współwłasności. Jest ona szczególna, gdyż stosuje się ją przede wszystkim w przypadku dzieł, których zakup przekracza możliwości nawet największych instytucji (dobrym przykładem jest wspólny zakup za 160 milionów euro

[7] Jan Pruszyński, *Dziedzictwo kultury Polski. Jego straty i ochrona prawna*, t. 1, Kraków 2001, s. 58.

eprasa.pl 26a741fd42

portretów Martena Soolmansa i Oopjen Coppit autorstwa Rembrandta dokonany w 2015 roku przez amsterdamskie Rijksmuseum i paryski Luwr). W przypadku Polski i Ukrainy można w przyszłości – zapewne dość odległej – pomyśleć o zastosowaniu takiej formuły w przypadku dzieł ważnych dla obydwu narodów, na przykład pochodzących z dawnych ziem wschodnich Rzeczpospolitej, a pojawiających się na międzynarodowym rynku sztuki. Pomogłoby to budować współpracę między instytucjami polskimi i ukraińskimi.

Obecnie trzeba przede wszystkim zastanawiać się nad poszukaniem rozwiązań pozwalających na większą obecność dóbr kultury przechowywanych w ukraińskich instytucjach, którymi polska strona jest szczególnie zainteresowana. Jest to możliwe na zasadzie wypożyczeń, a nawet wieloletnich depozytów oraz w wyniku wieloletniego deponowania polskich dzieł w instytucjach ukraińskich (podobne rozwiązania stosowane są w wielu krajach europejskich). O takiej możliwości mówił w niedawnym wywiadzie dla „Nowej Europy Wschodniej" dyrektor Juzwenko, uznając, że „priorytetem będzie projekt muzealny oparty na założeniu: muzeum we Wrocławiu, magazyny we Lwowie" (NEW 2019, nr 3–4).

Konieczna jest wreszcie znacząca pomoc finansowa z polskiej strony, ale także podzielenie się doświadczeniem, wiedzą i kontaktami z instytucjami ukraińskimi. W polskich muzeach w ciągu ostatnich dwóch dekad dokonała się ważna zmiana i to w każdym wymiarze: stanu infrastruktury, zabezpieczenia zbiorów, wystawiennictwa, edukacji i kontaktów z odbiorcami. Modernizacja instytucji odpowiedzialnych za dziedzictwo kulturalne na Ukrainie ma kluczowe znaczenie także dla Polski, gdyż od tego będzie zależeć, czy znajdujące się tam dzieła sztuki – w tym wiele ważnych dla polskiej kultury – będą przechowywane i konserwowane zgodnie ze standardami.

Najważniejszym zadaniem jest odtworzenie historycznego kształtu przedwojennych zbiorów, które dzisiaj są rozproszone między różne ukraińskie (lub ukraińskie i polskie) instytucje.

Dotyczy to również stanu gmachów muzealnych. Każdy, kto kiedykolwiek był w jakiejkolwiek z ukraińskich instytucji kultury, wie, jakim problemem jest ich niedofinansowanie. Chodzi nie tylko o odpadający tynk z elewacji czy o wrażenie, że wewnątrz czas zatrzymał się w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Smutnym symbolem ich stanu jest także to, że zimą osoby z obsługi często pracują w paltach, bo placówki starają się oszczędzać na wysokich kosztach ogrzewania. Niektóre archiwa, ważne również dla polskich badaczy, w okresie zimowym zmniejszają wręcz liczbę dni pracy. Niedawno jeden z autorów tego tekstu usłyszał od pracowniczki jednego z kijowskich archiwów: „I tak nie da pan rady siedzieć tu przez cały dzień, bo w sali jest za zimno".

eprasa.pl 26a741fd42

Najważniejszym zadaniem na najbliższą przyszłość jest odtworzenie historycznego kształtu przedwojennych zbiorów, które dzisiaj są rozproszone między różne ukraińskie (lub ukraińskie i polskie) instytucje. Rzecz jasna, nie jest to możliwe fizycznie, ale jak najbardziej realne w formie publikacji katalogowych. Modelem może tu być dobrze się rozwijająca współpraca między Ossolineum i Biblioteką im. Stefanyka oraz innymi instytucjami lwowskimi. Ważnym krokiem w tym kierunku była zorganizowana w latach 2017–2018 wystawa *Muzeum Książąt Lubomirskich. Nie/zapomniana historia*, na której zaprezentowano dziewięćdziesiąt obrazów ze zbiorów Lwowskiej Galerii Sztuki, które do wojny stanowiły część kolekcji dawnego Muzeum Książąt Lubomirskich, wchodzącej w skład Narodowego Zakładu im. Ossolińskich we Lwowie. Większość z nich nie była wystawiana publicznie od kilkudziesięciu lat czy wręcz nawet nieznana z reprodukcji. A na ekspozycji znalazły się wybitne przykłady malarstwa portretowego dawnej Rzeczpospolitej, najlepsze dzieła artystów polskich tworzących na przełomie XIX i XX wieku. Wystawa najpierw została pokazana we Lwowie, a następnie przewieziona do Wrocławia. Z pewnością jest to model, który można powielać. Dowodzi to również tego, że istniejące problemy związane ze sporną własnością dóbr kultury nie oznaczają braku polsko-ukraińskiej współpracy.

Wojciech Konończuk jest analitykiem w Ośrodku Studiów Wschodnich, gdzie kieruje zespołem Białorusi, Ukrainy i Mołdawii.

Piotr Kosiewski jest historykiem i krytykiem sztuki, publicystą, wicedyrektorem forum Idei Fundacji Batorego. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego".

Autorzy przygotowali kompleksowy raport „Zagrożone dziedzictwo. Polskie dobra kultury na Ukrainie i Białorusi", który jesienią br. opublikuje Ośrodek Studiów Wschodnich.

eprasa.pl 26a741fd42

Granica jest zwierciadłem

Z Kapką Kassabovą, bułgarską pisarką i poetką, autorką książki *Granica. Na krawędzi Europy*, rozmawia Krzysztof Usakiewicz

KRZYSZTOF USAKIEWICZ: To było w Strandży – podzielonym między Bułgarię i Turcję paśmie górskim, które rozciąga się na zachód od wybrzeża Morza Czarnego. Jeden z Pani rozmówców zapytany o to, jak wygląda granica po drugiej stronie, odparł: „Tak jak tutaj, ale inaczej". Pani własne doświadczenia pozwalają zgodzić się z tym stwierdzeniem?

KAPKA KASSABOVA: To słowa pochodzącego z Tracji Nevzata, którego uważam za prawdziwego człowieka granicy. Opowieści o górach i ludzkich wędrówkach potrafił snuć godzinami. Bo w ogóle na Bałkanach te dwa elementy – góry i ciągłe przemieszczanie się – wydają się nierozłączne.

W stwierdzeniu, które Pan przytoczył, kryje się głęboka prawda. Jest tak samo, ale inaczej. Dlaczego? Spójrzmy na to od strony formalnej. Odkąd jedna góra została przedzielona granicą, ludzie widzą ją z dwóch różnych stron. Jedni mówią po turecku, drudzy po bułgarsku. Na papierze wszystko się zgadza, ale jak to wygląda w rzeczywistości? Ci sami ludzie zachowują podobne zwyczaje, chcą utrzymywać kontakt. Okazuje się, że przedzielenie na pół górskiego szczytu, nawet żelazną kurtyną, nie jest wcale takie proste.

Podczas zbierania materiałów do *Granicy* szybko zaczęłam mieć poczucie, że kolejne historie – opowiadane przez tubylców, których spotykałam po raz pierwszy w życiu – gdzieś już wcześniej słyszałam. Tyle że w innym języku. Dla mnie granica jest niczym zwierciadło, w lustrzanym odbiciu oczami sąsiada można zobaczyć samego siebie. Czy to, co teraz mówię, ma sens?

Myślę, że tak. Na pierwszych stronach *Granicy* zdecydowała się Pani umieścić definicję „granicy" z *Oxford English Dictionary*. Objaśnienie tego terminu jako „linii oddzielającej terytoria dwóch państw" wskazuje na typowo politologiczne podejście do tematu. Odnoszę jednak wrażenie, że opisuje Pani jeszcze wiele innych granic. Również takich, których nie odnajdzie się nawet na najdokładniejszej mapie.

Coś, co rozdziela, kojarzy się z polityką z definicji. Na terytorium, przez które przebiega, granica tworzy wręcz coś w rodzaju subkultury. Wyczuwałam to i w Strandży, i w Saraku, i w Rodopach. Było jednak dla mnie zaskakujące, kiedy podczas swojej podróży odkrywałam, że ta sama granica może również jednoczyć.

eprasa.pl 26a741fd42

I tu właśnie dostrzegam rolę osoby, która tworzy opowieść. Zebrać historie i spróbować znaleźć w nich punkt wspólny – to moje zadanie. Świadectwa ludzi z dwóch stron granicy – którzy nigdy nie widzieli się na oczy i zapewne nigdy się nie zobaczą – mają szansę spotkać się na kartach książki. I w naszej wyobraźni.

Ale dzięki Pani spotykają się nie tylko ludzie i ich historie. *Granica* konfrontuje realne z czymś nierzeczywistym i atawistycznym, w Pani książce zimnowojenna ludzka trauma przenika się z bałkańskim realizmem magicznym oraz mistycyzmem. Dla mnie to wszystko są opowieści o przekraczaniu pewnej niewidzialnej bariery.

Pogranicze zawsze jest miejscem pełnym paradoksów. Moi bohaterowie przez lata żyli w wielkiej niepewności i izolacji. To pozornie destrukcyjne odosobnienie, choć rzeczywiście traumatyzujące, sprawiło zarazem, że na tych ziemiach można po dziś dzień zaobserwować obyczaje czy rytuały niepraktykowane już nigdzie indziej w Europie. Żywym symbolem Strandży są ludzie w Bułgarii nazywani *nestinarami*, a w Grecji *anastenaridami*, którzy w dionizyjskiej ekstazie tańczą boso na rozżarzonych węglach. W Rodopach spotkanie z niedźwiedziem brunatnym nie powinno być dla nikogo niespodzianką. Całkowita izolacja regionu, dla człowieka tragiczna, wydaje się jednocześnie zbawienna zarówno dla kultury, jak i natury.

Jeśli chodzi o tę korzyść dla natury, od razu przychodzi na myśl czarnobylska Strefa Wykluczenia, o której ostatnio znów zrobiło się głośno na fali popularności serialu HBO. Ten przykład pokazuje, że dla fauny i flory silne promieniowanie jest znacznie mniej groźne niż obecność człowieka w pobliżu.

Bo granica jest ambiwalentna. Zło niesie za sobą dobro. Ludzką traumę, która bez wątpienia należy do sfery realnej, równoważą abstrakcyjne wiara i miłość. Mieszkańcy pogranicza bezinteresownie oddają się temu, co rzeczywiście kochają, i to ich definiuje. To – nieraz beznadziejne – poświęcenie starałam się pokazać. Po tureckiej stronie spotkałam ostatniego pasterza w okolicy, który za nic nie oddałby swojego stada. U wybrzeży Morza Czarnego rozmawiałam z Cyganem, który od czterdziestu lat pilnuje bizantyńskiego monastyru skalnego. Robi to wyłącznie z wewnętrznej potrzeby, za swoją pracę nie otrzymuje wynagrodzenia. To właśnie jest miłość. Od tych skromnych, niewykształconych ludzi moglibyśmy dużo się nauczyć.

Prawdę mówiąc, po lekturze pierwszych stu, może stu pięćdziesięciu stron *Granicy* czułem się lekko skonfundowany. Trudno było mi powiedzieć, co czytam. Esej? Reportaż? Zbeletryzowany przewodnik? Nie dawało mi spokoju, dlaczego typowo etnograficzne opisy przeplatają się ze świadectwami ludzi, którzy podczas

eprasa.pl 26a741fd42

zimnej wojny próbowali nielegalnie przekroczyć granicę. Tę granicę. Dopiero potem zrozumiałem, że to są naczynia połączone. Jedno jeśli nie wzbogaca, to przynajmniej uzupełnia drugie. A dzięki tej całej hybrydzie czytelnik ma szansę doświadczyć, choćby w niewielkim stopniu, nastroju pogranicza.

Kiedy przekazuję czyjąś opowieść i w ogóle kiedy tworzę literaturę non-fiction, potrafię wiernie odtworzyć atmosferę opisywanego miejsca. W przestrzeni, w której się znalazłam, przerażały pamięć o nieludzkiej brutalności i trauma, ale zachwycały piękno natury i rytuały praktykowane przez tubylców od czasów antycznych. Dla Bałkanów wciąż typowa jest kultura słowa mówionego. A jeśli wsłuchać się w historie miejscowych, szybko się okazuje, że oddzielenie polityki od ludzkiej wyobraźni i poezji jest niemożliwe. To wszystko są komponenty składające się na wyjątkowość odwiedzanych przeze mnie miejsc.

Imponuje nie tylko liczba wywiadów, które Pani przeprowadziła na potrzeby książki, ale także sam dobór rozmówców. Duże wrażenie robi polifoniczność *Granicy*. Czytelnik znajdzie relacje i ofiar, i katów. Dopuszcza Pani do głosu zarówno mężczyznę, który wiele miesięcy spędził w enerdowskim więzieniu w absolutnie niehumanitarnych warunkach, jak i byłego agenta Stasi. Chyba niełatwo było zdobyć zaufanie tych ludzi i przekonać ich do podzielenia się swoją historią?

Wymagało to ode mnie oczywiście dużo czasu i wysiłku, ale nie powiedziałabym, że było „niełatwe". Przy tego typu przedsięwzięciu absolutnie kluczową sprawą jest znajomość języka. Nawet jeśli nie zrozumiem wszystkiego, bo rozmówca mówi dialektem z dziwnym akcentem albo posłuży się słowem, którego nie znam. Język daje dostęp do ludzi, historii, sprawia, że jestem dla moich bohaterów „swoja". Gdybym nie mówiła po bułgarsku i nie znała przynajmniej podstaw tureckiego, nigdy nie napisałabym *Granicy*. Moi rozmówcy natychmiast by wyczuli, że jestem spoza Bałkanów i nie otworzyliby się przede mną. Owszem, pewnie by się uśmiechnęli, może nawet poczęstowali winem, zamienilibyśmy kilka słów i wymienili uprzejmości, ale nic więcej.

Tymczasem wszyscy naprawdę chętnie opowiadali mi o swoim życiu. Choć, naturalnie, na swój sposób i z własnej perspektywy. Wiedziałam na przykład, że wspomniany przez Pana mężczyzna, dawny pogranicznik z Wioski w Dolinie, wielokrotnie przeprowadzał egzekucje. Ale on nie powiedział mi wprost: „Tak, zastrzeliłem tylu, a tylu ludzi". W takich momentach warto pamiętać, że słowa to nie wszystko. Historię często może Pan sobie dopowiedzieć z oczu osoby siedzącej naprzeciwko albo z ciszy, która zapada między kolejnymi zdaniami.

Mnie jako pisarkę i poetkę interesuje człowiek. Każdy człowiek, niezależnie od tego, jaka kryje się za nim przeszłość.

eprasa.pl 26a741fd42

Chyba najbardziej poruszająca w całej książce była dla mnie historia opowiedziana przez Feliksa, który starając się nielegalnie przekroczyć granicę bułgarsko-turecką, został pojmany i przez wiele lat więziony w dramatycznych warunkach. Chociaż jego relacja nie jest długa, w polskim wydaniu zajmuje dwadzieścia pięć stron, trudno mi było przez nią przebrnąć. Gdzieś mniej więcej w połowie musiałem zrobić sobie przerwę, wyjść na balkon i wziąć kilka głębszych wdechów. To niesamowite. W Strandży, na nadmorskim klifie widzi Pani tablicę, a na tej tablicy jedno zdanie po niemiecku namazane długopisem. I co? Kilka tygodni później już siedzi Pani w Berlinie w mieszkaniu mężczyzny, który te słowa napisał.

Dużo w tym było szczęśliwego zbiegu okoliczności. Na ten temat powstały już wcześniej dwa artykuły, jeden w Niemczech, drugi w Bułgarii. Feliks jest artystą i ma stronę internetową, na której zamieścił dane kontaktowe. Napisałam do niego i poprosiłam o spotkanie.

Nie miał oporów przed tym, by jeszcze raz opowiedzieć, co przeżył. To bardzo bolesne, ale wyrzucenie z siebie tej historii jest dla Feliksa formą terapii. Zresztą on wydaje się tego w pełni świadom. Już wcześniej przygotował instalację artystyczną, która również była jawnym powrotem do jego tragicznej historii sprzed niemal pięćdziesięciu lat.

W rzeczywistości ta opowieść brzmiała jeszcze brutalniej. Za namową mojego amerykańskiego wydawcy zdecydowałam się jednak niektóre fragmenty wyrzucić. „To jest nieludzkie, nikt nie będzie w stanie tego przeczytać" – usłyszałam. Pominęłam więc na przykład wątek brata Feliksa, który też był więziony przez Stasi, a niedługo po wyjściu na wolność popełnił samobójstwo.

A teraz proszę sobie wyobrazić, że takie historie można liczyć w tysiącach. Próby nielegalnego przekroczenia granicy podejmowali najczęściej obywatele NRD oraz Polacy.

Napis na wspomnianej tablicy głosił: „21.09.1971 zaczęła się tutaj gehenna dwóch osób". Tamtej feralnej nocy Feliksowi towarzyszył jeszcze Dominik...

Zdobyłam jego numer, ale ostatecznie nie zadzwoniłam. To był instynkt. Czasami cisza jest bardziej wymowna niż słowo.

Podejrzewam, że Dominik nie chciałby ze mną rozmawiać. Ludzie wyznaczają swoje granice i należy to uszanować. Gdybym pisała wyłącznie o próbach przekroczenia żelaznej kurtyny w Europie czasów komunizmu, zapewne spróbowałabym nawiązać kontakt i nalegałabym. Nie było takiej potrzeby.

W okresie zimnej wojny granica, którą Pani opisuje, była przedłużeniem muru berlińskiego. Niewidzialnym, ale paradoksalnie znacznie bardziej zdradliwym.

Takim samym. Takim samym, ale innym. W Strandży czyhały inne niebezpie-

eprasa.pl 26a741fd42

czeństwa. I nie chodzi tu wcale o ciągnący się przez wiele kilometrów las, w którym każdy natychmiast się gubił. Ta granica była po prostu perfekcyjnie strzeżona, pomyślano o wszystkim. Wydawano nawet celowo sfałszowane mapy, aby zmylić potencjalnych śmiałków i od razu zaprowadzić ich w pułapkę. Jedynie nieliczni miejscowi wiedzieli, którędy dokładnie przebiega Bruzda Śmierci. Które miejsce i o jakiej porze należy wybrać, aby nie zostać zastrzelonym. Tymczasem niejeden ulegał złudzeniu, że wystarczy przeskoczyć drut kolczasty biegnący górskim grzbietem. O ileż to prostsze niż sforsować mur berliński, prawda? W Strandży ta bariera była znacznie mniej ostentacyjna, a równie groźna.

Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale dopiero kiedy skończyłam pisać książkę, w obawie przed napływem kolejnej fali uchodźców podjęto decyzję o budowie wielkiego płotu na granicy bułgarsko-tureckiej. Dokładnie na tej samej linii, po której do niedawna przebiegał drut kolczasty oddzielający demoludy od kapitalistycznego Zachodu. Ten nowy płot jest zdecydowanie wyższy. I cały lśni.

Nawet o tych najtrudniejszych sprawach opowiada Pani z dystansem i poczuciem humoru. Te przykłady można by mnożyć. W *Granicy* sen z powiek pogranicznikom spędza kapitalistyczny jeż, który pod osłoną nocy dyskretnie przekrada się na terytorium Turcji. Opisując swój pobyt w Swilengradzie, niespodziewanie odchodzi Pani od głównej narracji, by zacząć się zastanawiać, jak by to było się przekwalifikować i zmienić zawód z pisarki na kierowcę ciężarówki…

Myślę, że odnalazłabym się w takiej pracy. Szeroka droga ciągnąca się aż po horyzont, możliwość ciągłego przekraczania granic. Czego chcieć więcej?

Również Pani rozmówcy, naprawdę ciężko doświadczeni przez życie, wcale nie porzucają optymizmu. Wrażenie bardzo pozytywnego człowieka wywarł na mnie Wenci ze Swilengradu. Chciałbym kiedyś poznać go osobiście…

No proszę, słyszę to nie po raz pierwszy! Naprawdę, jest Pan już którymś z kolei dziennikarzem, który podczas wywiadu zwierza mi się, że chciałby poznać Wenciego. To rzeczywiście pozytywna postać w mojej opowieści – taki dobry człowiek mieszkający na terenie przygranicznym. W czasach komunizmu nie miał większego wyboru, był strażnikiem. Dwuletnia obowiązkowa służba pozostawiła trwały ślad w jego psychice. Jak Feliks próbuje oswoić traumę, tworząc instalacje artystyczne, tak Wenci pisze wiersze. I tatuuje.

Czy do granicy, która przebiega kilkaset metrów od miejsca zamieszkania, można w ogóle się przyzwyczaić?

Oczywiście. Człowiek potrafi przywyknąć do wszystkiego. *Granica* w dużej mierze jest opowieścią o tym, jak lu-

eprasa.pl 26a741fd42

dzie uczą się przetrwać. I jak wegetacja w skrajnie trudnych warunkach uruchamia ludzką pomysłowość. Nie tylko kata i ofiary. Wzdłuż granicy aż roi się od archetypów – mamy strażnika, pogranicznika, przemytnika, złodzieja, uchodźcę. W krajobrazie górskim zawsze znajdzie się pasterz…

No właśnie. Na terytorium pogranicza opanowanym przez ustrój totalitarny nie da się pozostać neutralnym. Tragizm tego miejsca polega na tym, że nie można być wyłącznie pasterzem. Wyobrażam sobie, że wypasam stado i nagle widzę zmierzających w moim kierunku ludzi obwieszonych tobołami. Muszę przecież w jakiś sposób zareagować, zresztą brak reakcji też będzie niósł określone konsekwencje. A przy tym wszystkim powinienem pamiętać, że nie tylko obserwuję, ale także najprawdopodobniej jestem obserwowany. Przez kogoś, kto ma nade mną pełnię władzy.

Tak jest. Nawet jeśli nie dostrzegam świata poza moimi owcami, władza prędzej czy później zacznie się mną interesować. Najpierw padną propozycje, a jeśli te odrzucę, wkrótce usłyszę rozkazy lub groźby.

Ale… Czy aby nie zapędziliśmy się za bardzo z tym pesymizmem? Nie zapominajmy, że granica może być również miejscem pozytywnym – nie tylko dla natury. Zaczęliśmy rozmowę od tego, że po tej drugiej stronie wszystko wygląda „tak samo, ale inaczej". To „inaczej" nie musi być wcale odbierane pejoratywnie. Odmienność czasami inspiruje, zachęca do nauki i działania. Właśnie tak postrzegam obecną granicę turecko-bułgarską, która jest stałym punktem na trasie podróżujących do Unii z całej Azji. I ona jest obciążona traumatyczną historią, w 1989 roku przekraczali ją Bułgarzy przesiedlani z Turcji i Turcy przesiedlani z Bułgarii.

Według mnie tak właśnie powinna wyglądać granica. Oczywiście abstrahuję w tym momencie od tego zbudowanego ostatnio płotu szczelnie owiniętego drutem kolczastym, bo to zupełnie inna sprawa. Mówię o moich doświadczeniach z okresu, kiedy pracowałam nad książką. Po jednej stronie pośród meczetów można było wsłuchać się w język turecki, po drugiej stronie turecki zastępował bułgarski, a w miejscu muzułmańskich świątyń pojawiały się zrujnowane fabryki doskonale pamiętające czasy komunizmu. Czy to Bułgaria, czy Turcja handel kwitł. W tym tumulcie ludzie mieszali się, poznawali język swojego sąsiada, bo przecież trzeba jakoś się dogadać z kupcem czy klientem. Kiedy w pewien piątek trafiłam na bazar w tureckim Edirne, wydawało mi się, że uczestniczę w jakimś rytuale, który podkreśla jedność ludzi w różności.

Nie musimy od razu pozbywać się granic. Uczyńmy je łatwo przekraczalnymi i po prostu bardziej ludzkimi.

Mówiła Pani dotychczas o granicy bułgarsko-tureckiej. A inna grani-

eprasa.pl 26a741fd42

ca, dziś wewnątrz Unii Europejskiej, oddzielająca Bułgarię od Grecji? Czy ona już jest ludzka?

Nie tak łatwo ją przekroczyć, ponieważ występuje kłopot z infrastrukturą. Na Bałkanach mamy dużo leniwych polityków, a mało dróg. Aczkolwiek jeden z rozmówców opowiadał mi, że greccy drogowcy wykonali wreszcie swoją robotę i wkrótce zostanie otwarte nowe przejście. Doczekamy się transgranicznego połączenia między pomackimi wioskami. Pomacy to wyznająca od setek lat islam słowiańska mniejszość, która zamieszkuje Rodopy po obydwu stronach granicy. Cała inwestycja zajęła raptem dwadzieścia pięć lat.

Ironia ironią, ale tak naprawdę to jest wspaniała wiadomość. Nowe przejście daje nadzieję na rozwój, szansę na dodatkowy zarobek dla miejscowych, być może region odżyje. Całe Rodopy zmagają się obecnie z problemem wyludnienia. Zarówno po bułgarskiej, jak i po greckiej stronie można dotrzeć do opuszczonych wiosek, w których nie ma już żywego ducha.

Ludzka, łatwa do przekroczenia granica może tę ziemię uratować. O ile nie jest za późno.

Wiem, że podróżowała Pani samotnie. To ułatwiało czy, zgoła przeciwnie, utrudniało zbieranie materiału? Nie oszukujmy się, Bałkany wciąż są bardzo patriarchalne. Chyba nigdy nie zdarzyło mi się widzieć kobiety, która spędzałaby wieczór sama przy stoliku w bałkańskiej kawiarni. A Pani właśnie to robiła.

To prawda, szczególnie patriarchalna jest grecka prowincja. Ale co zrobić, byłam naprawdę zdeterminowana (śmiech). Czasami się bałam. Kiedy przez kompletnie bezludną okolicę wiózł mnie swoim samochodem szmugler Ziko, a ja nikomu wcześniej nie dałam znać, dokąd się wybieram, był to wręcz paniczny strach. Wiedziałam, że ta historia może źle się skończyć. Ale od początku byłam gotowa zapłacić praktycznie każdą cenę za to, żeby dotrzeć do serca granicy i pojąć jej istotę.

Samotność umożliwiała mi zupełnie inny kontakt z ludźmi. Oczywiście podróż odbywana w towarzystwie daje przyjemne poczucie bezpieczeństwa. Tyle że pisarz powinien zdobywać od napotkanych osób historie, a nie czuć się bezpiecznie. Na pewno jest jedna zaleta bycia kobietą. Miejscowi od samego początku nie czuli się zagrożeni moją obecnością.

Co najwyżej mogli Panią łatwo posądzić o przemyt.

To prawda, ale tylko narkotyków! Ludzi przemycają zawsze mężczyźni.

Nierzadko role się zamieniały i to Pani odpowiadała miejscowym na kolejne pytania o swoją tożsamość, ojczyznę, życie prywatne.

Tak, moi rozmówcy chętnie wchodzili w niecodzienne dla siebie role. Nie tylko wtedy, kiedy przejmowali inicjatywę podczas spotkania ze mną. W pewnym

eprasa.pl 26a741fd42

sensie *Granica* jest książką wywrotową. Wielką historię przekazuje ustami zwykłych obywateli.

Ta podróż w ogóle mnie zmieniła i zmusiła do refleksji. Bałkany, które zobaczyłam, w niczym nie przypominały tych zapamiętanych z dzieciństwa, sprzed mojej emigracji do Anglii, a następnie Nowej Zelandii i Szkocji. Teraz są one dla mnie przede wszystkim metaforą – kosmopolityzmu, styku cywilizacji, wyraźnych wpływów Orientu.

Chociaż zastanawiam się też, czy miejsce pobytu w danym momencie tak naprawdę ma jakiekolwiek znaczenie. Zajmuję się zawodowo tworzeniem opowieści, więc moim prawdziwym domem jest świat wyobraźni. Dzięki temu mogę być u siebie w każdym miejscu na świecie.

Dużo mówiło się o przystąpieniu Rumunii i Bułgarii do strefy Schengen. Do tej pory to się nie wydarzyło, za to pomiędzy Bułgarią a Turcją wyrósł gigantyczny płot. Czy w opowieści o granicy będzie można kiedyś postawić ostatnią kropkę?

Niegdyś żelazna kurtyna, a teraz te powstające płoty – posługuję się liczbą mnogą, bo przypadek bułgarsko-turecki nie jest przecież odosobniony – zdają się wyrazem zbiorowego strachu. Ale człowiek przede wszystkim tworzy sobie granice we własnej głowie. Wielki lśniący płot nie jest wcale niezbędny, żeby żyć w paranoi. W kulturze strachu i nienawiści można funkcjonować równie dobrze w Warszawie, Sofii czy Londynie, gdziekolwiek, w przestrzeni bez żadnych ostentacyjnych symboli podziału. Łatwo możemy stać się więźniami naszej własnej imaginacji. Jeszcze raz to podkreślę: granica jest zwierciadłem.

A jeśli chodzi o stawianie ostatniej kropki – nie sądzę. Ta historia wydaje się bardziej cykliczna niż linearna. Wszystko się powtarza, jak w jakimś rytuale.

Kapka Kassabova jest bułgarską pisarką i poetką. Dzieciństwo spędziła w Bułgarii, w 1992 roku z całą rodziną wyemigrowała do Nowej Zelandii. Opublikowała tam dwa tomiki wierszy: *All Roads Lead to the Sea* (1997) oraz *Reconnaissance* (1999). Od 2005 roku mieszka w Szkocji. Wydała książki: *Street Without a Name* (2008), *Dwanaście minut miłości. Opowieść o tangu* (2011; polskie wydanie: Warszawa 2016) oraz *Granica. Na krawędzi Europy* (2017; polskie wydanie: Wołowiec 2019). Laureatka wielu prestiżowych nagród w dziedzinie literatury.

eprasa.pl 26a741fd42

Artykuł sponsorowany

Współpraca międzynarodowa z młodzieżą

Czy mamy ofertę dla Europy Wschodniej?

Mirosław Skórka, Dyrektor Programu Study Tours to Poland

Budowanie przyjaznych relacji z sąsiadami jest nieodzownym elementem polityki każdego kraju, który ceni sobie stabilność oraz bezpieczeństwo swojego regionu. Współpraca i wymiana młodzieżowa jest ważnym elementem tego procesu. Wystarczy tylko wspomnieć, jaką rolę odegrała ona w normalizacji i procesie zbliżenia niemiecko-francuskiego po II wojnie światowej. Potrzeba budowania zaufania w relacjach ze wschodnimi sąsiadami Polski ma analogiczne znaczenie dla naszego regionu jak proces pojednania niemiecko-francuskiego dla projektu europejskiego, bez którego nie byłoby Unii Europejskiej. Bez zbliżenia Polski ze wschodnimi sąsiadami nie będzie stabilnego i współpracującego ze sobą regionu Europy Wschodniej, a w przyszłości, być może, Unii Europejskiej rozciągającej się aż po Morze Azowskie i rzekę Don. Współpraca i wymiana młodzieży z tego regionu powinna być takim samym priorytetem jak kwestie bezpieczeństwa czy współpraca gospodarcza. W momencie powoływania do życia Wspólnoty Węgla i Stali mało kto z twórców tego projektu mógł wyobrazić sobie, że w 2019 roku ich zamysł przybierze kształt Unii Europejskiej sięgającej Bugu i obejmującej znaczną część Bałkanów. Strategiczne myślenie o przyszłości Europy wymaga odwagi działań zaplanowanych na długą perspektywę.

Tak też należy patrzeć na wszelkie programy współpracy skierowane do młodzieży, na przykład na wymianę polsko-niemiecką i polsko-ukraińską. Działają one długofalowo i pozwalają burzyć mity i stereotypy kumulowane w przeszłości, poznawać sąsiadów, ich życie, obawy i oczekiwania. W ramach różnych projektów młodzi ludzie poznają codzienność sąsiadów. To najprostszy i najbardziej efektywny sposób

eprasa.pl 26a741fd42

budowania relacji zaufania w stosunku do siebie. Jak pokazują badania wpływu polsko-niemieckiej wymiany młodzieży, osoby uczestniczące w wymianach szkolnych lub pozaszkolnych polecają uczestnictwo w nich. Co więcej, doświadczenia i przeżycia z takich wymian często skutkują tym, że uczestnicy sami chcą realizować analogiczne projekty. Pomimo obserwowanego ostatnio zmniejszenia zainteresowania wymianą ze strony młodzieży niemieckiej ma ona ciągle ogromny potencjał poznawczy i może aktywnie wpływać na formowanie postaw młodego pokolenia. Wymaga ona jednak mocniejszego podkreślenia i docenienia takich zalet wymiany, jak nabycie i wzmocnienie nowych kompetencji kulturowych, pozytywne doświadczenie poznania inności kulturowej, różnorodności językowej oraz doświadczeń historycznych i punktów odniesienia koniecznych dla określania wzajemnych relacji. Te umiejętności okazują się dzisiaj ważne i potrzebne chociażby na rynku pracy i stają się cennym elementem, pożądanym przez przyszłych pracodawców.

Oprócz działań rządowych czy międzyrządowych współpraca i wymiana młodzieży jest także ważnym celem organizacji pozarządowych. Jednym z podmiotów realizujących taką aktywność jest Polsko-Amerykańska Fundacja Wolności. Powołała ona w roku 2004 program „Study Tours to Poland", którego jednym z kierunków działania są wizyty studyjne studentów do Polski. Fundacja wyszła z założenia, że celem ma być wzmocnienie miejscowych elit i liderów tak, aby oni sami mogli dokonywać dojrzałych i odpowiedzialnych wyborów przyszłości własnych krajów i społeczności. Wizyty studyjne dla studentów pokazują precyzyjnie określone obszary funkcjonowania współczesnej Polski. Programy są w znacznej mierze oparte na podobnym zestawie tematów, pokazujących funkcjonowanie państwa prawa, gospodarkę wolnorynkową, działanie organizacji społecznych, samorząd terytorialny, wolne i odpowiedzialne media, kulturę i historię, a także regionalną różnorodność Polski.

Wizyty są realizowane przez doświadczone polskie NGO, które są zarówno obyte we współpracy międzynarodowej, jak i wykazują aktywność we własnym środowisku lokalnym. One właśnie te ogólne założenia przekładają na programy konkretnych wizyt, dostosowując je do specyfiki miejsca realizacji oraz własnych zainteresowań i działalności.

Ogólnie zdefiniowanym celem wizyt jest wszczepienie przekonania, że przyszłość zależy od odwagi podejmowania mądrych i odpowiedzialnych decyzji, które zmieniają otoczenie, zarówno to najbliższe, jak i dalsze. Kluczowe znaczenie ma zatem pokazanie efektywnych i sprawdzonych rozwiązań systemowych, ale także szczegółowych, wynikających z potrzeb i możliwości małych społeczności. Rozwiązania te są kluczem do wprowadzania zmian. Akcent pada na uniwersalną wartość stosowanych rozwiązań tak, aby uniknąć pokusy „łatwego pouczania". Polskim

eprasa.pl 26a741fd42


Fot. Fundacja Liderzy Przemian

kluczem do rozwoju i modernizacji ostatnich dekad były: demokratyczne państwo prawa, liberalna gospodarka rynkowa, pluralizm polityczny oraz szeroko rozumiana wolność obywatelska. One pozwoliły Polsce stać się ważnym członkiem NATO oraz Unii Europejskiej, a w konsekwencji dokonać niespotykanego w historii procesu modernizacji. Te, wydawałoby się, dosyć oczywiste zasady nie są takimi dla naszych wschodnich sąsiadów.

Program wizyt studyjnych skierowany jest do studentów z Białorusi, Mołdawii, Rosji i Ukrainy. Każdy z tych krajów ma własną specyfikę. Rosyjska aneksja Krymu i agresja w Donbasie stały się niezwykłym wyzwaniem dla polskich organizacji, które realizują takie wizyty. W zdecydowanej większości udział w nich biorą jednocześnie studenci ukraińscy i rosyjscy. Różne są też perspektywy studentów z Mołdawii czy Białorusi. Napięcie pomiędzy członkami grupy jest nieuniknione, ale realizatorzy nauczyli się sposobów, jak je rozładowywać i integrować.

eprasa.pl 26a741fd42

Ci młodzi ludzie wiedzą o sobie znacznie mniej, niż im się wydaje. Dopiero ich spotkanie w jednej grupie pozwala im zweryfikować mity wytwarzane w ich własnych krajach. Taki kontakt uzmysławia im wszystkim, jakie brzemię historii na nich ciąży i jak bardzo nie są tego świadomi. Pomimo to młodzi ludzie są na tyle otwarci, że potrafią już po kilku dniach ze sobą współpracować oraz kontynuować współpracę po zakończeniu wizyty. I to jest wymierny efekt pracy polskich koordynatorów, którzy stali się ekspertami w przekraczaniu nowych granic, tworzonych pomiędzy tymi krajami.

Stworzenie spójnego programu dwutygodniowej wizyty dla tak różnorodnej grupy jest wyzwaniem. I nie chodzi tu tylko o tematy spotkań i miejsca, gdzie takowe się odbywają, ale przede wszystkim o program integracji grupy oraz o osiągnięcie ważnego celu długofalowego – zbudowanie relacji kooperacji i zaufania pomiędzy nimi oraz włączenia ich w szereg działań tworzących sieć współpracy. Program „Study Tours to Poland" oferuje narzędzia do wzmacniania potencjału w przyszłości. Istotą programu nie jest bowiem jednorazowa wizyta, ale budowanie długoletniego mechanizmu podtrzymującego relacje pomiędzy uczestnikami, który będzie pomocny w realizacji różnych projektów. Uczestnicy utrzymują także kontakt i współpracują z Programem STP oraz innymi programami Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności, takimi jak Program Stypendialny im. Lane Kirklanda oraz z Programem Przemiany w Regionie RITA. To znacznie wzmacnia ich kapitał w społecznościach lokalnych, organizacjach i uczelniach. Ci, którzy tego potrzebują, otrzymują możliwość realizacji projektów z Polską oraz budowania partnerstwa z organizacjami z innych krajów. Staje się to niezwykle cennym kapitałem dla młodego człowieka, który wchodzi w aktywne życie społeczne i zawodowe. Sieć absolwentów różnych, ale wspierających się programów, ma szansę na bardziej efektywne oddziaływanie zarówno w małych środowiskach, jak i w dużych społecznościach.

Sieci absolwentów stają się cennymi narzędziami do aktywizowania działalności społecznej. Nie mniej ważnym jest stworzenie warunków dla recepcji fundamentalnych wartości otwartego społeczeństwa demokratycznego. Studenci wielokrotnie powtarzają w ankietach ewaluacyjnych, że warunkiem wstępnym, który budzi w nich chęć poznawania w Polsce mechanizmów zmian i ich implementacji u siebie, jest wspólnota doświadczeń Polski i ich krajów. To, że dziadkowie i ojcowie mieli podobne losy, to, że mieliśmy tożsame doświadczenia dziejowe i byliśmy poddani niemal tym samym procesom historycznym, jest ważnym punktem wyjścia dla dalszej rozmowy o przyszłości. Fakt, że ludzie i ich historie są do siebie tak podobne, tworzy szanse na to, że analogiczne zmiany można zrealizować u siebie. To otwiera drogę do przyjęcia tezy wyjściowej – że sukces społeczeństwa jest rezultatem wdrożenia procedur i mechanizmów demokratycznych oraz aktywności obywatelskiej mieszkańców.

eprasa.pl 26a741fd42

Wpływ programów realizowanych na rzecz wzmocnienia postaw prodemokratycznych wśród młodzieży jest przedmiotem wielu badań. Program STP dla studentów jest ewaluowany na bieżąco, ale także stał się przedmiotem dodatkowych analiz realizowanych przez dr Paulinę Pospieszną w ramach grantu badawczego Narodowego Centrum Nauki[1]. Przeprowadzone badanie wpływu projektów prowadzonych przez NGO skierowanych na rozwijanie postaw prodemokratycznych pokazuje, jak bardzo ważne stają się dla młodych odbiorców reguły demokracji, akceptującej ich podmiotowość, swobodę decydowania oraz podkreślającej wartość odpowiedzialnych wyborów jako właściwej odpowiedzi na oczekiwania innych uczestników procesu demokratycznego.

Analizowana w trakcie innych programów ewaluacyjnych grupa respondentów, którzy brali udział w wizytach STP, w porównaniu do grup rówieśniczych z ich krajów korzystała ze znacznie szerszego spektrum pojęć dla opisu procesu demokratycznego. Dotyczy to chociażby rozumienia norm bycia obywatelem. Dla większości respondentów były to: podporządkowanie się prawu i rola państwa prawa, płacenie podatków, udział w wyborach oraz bycie lojalnym i wdzięcznym wobec swojego kraju. Grupa absolwencka STP podkreślała znacznie częściej, że oprócz tej listy o postawie prodemokratycznej świadczy także, a niekiedy nawet przede wszystkim, udział w działalności partii politycznych i organizacji społecznych oraz wszelkie formy zaangażowania, które wpływają na wprowadzanie zmian w swoim środowisku lokalnym. Właśnie ten element „demokracji włączającej w zmianę" jest najbardziej pożądanym rezultatem w Programie STP. Doświadczenie własnego, małego, ale potrzebnego sukcesu przełamuje pechowy determinizm historii, który zmuszał wiele pokoleń do bycia pasywnymi przedmiotami w grze rządów i ideologii.

Program „Study Tours to Poland" w ścisłej współpracy z Fundacją Borussia z Olsztyna realizuje wizyty dla studentów od piętnastu lat. W ich rezultacie prawie trzy i pół tysiąca studentów odwiedziło Polskę w ramach dwutygodniowych wizyt. Wielu z nich to obecnie ludzie bardzo zaangażowani na wielu polach. Jest sprawą oczywistą, że ta aktywność zależy nie tylko od ich możliwości i chęci, ale także od warunków, jakie panują w ich krajach. Niemniej jednak wielu z nich współpracuje ze sobą oraz utrzymuje kontakt z zespołem STP. Wielu realizuje wspólne projekty, często inspirowane tym, co widzieli w Polsce. Bardzo rzadko zdajemy sobie sprawę, że to, co codziennie widzimy i czego na co dzień dotykamy, może stać się inspiracją dla naszych sąsiadów. Zaangażowani ludzie, którzy mają odwagę mieć swoje plany i mają możliwość je realizować w formie aktywności społecznej, to jest bez wątpienia nasza *soft power*, z której nie zawsze chcemy i potrafimy korzystać.

[1] Paulina Pospieszna, *Democracy Assistance Bypassing Governments in Recipient Countries. Supporting the "Next Generation"*, Routledge–London–New York 2019.

eprasa.pl 26a741fd42

We wrześniu 2019 roku, dzięki wsparciu polskiego MSZ Fundacja Liderzy Przemian, operator Programu STP, organizuje spotkanie dla sześćdziesięciu najbardziej aktywnych reprezentantów wszystkich piętnastu roczników wizyt studenckich. Celem projektu *Polskie inspiracje. Podniesienie kompetencji liderów – uczestników wizyt studyjnych do Polski w działaniach społecznych w Rosji, Białorusi i Ukrainie* jest wsparcie młodych lokalnych liderów w tym, co robią na co dzień, i zmotywowanie ich do dalszych działań. Zaproponujemy im udział w warsztatach i pokażemy przykłady działań lokalnych w Polsce. Zaprosimy ich też do refleksji o trzydziestu latach przemian w Polsce. Chcemy, by ta rozmowa była nie tyle podsumowaniem polskich dokonań, ile spojrzeniem na perspektywę zmian w naszym regionie. Okazją do rozmowy będzie konferencja *Rok 1989 i 2019 – wyzwania i inspiracje*. Bo historia się nie kończy. Ona tylko rozpoczyna przyszłość.

Zadanie publiczne współfinansowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP w konkursie „Dyplomacja publiczna 2019”.

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Program „Study Tours to Poland” dla studentów jest realizowany przez Fundację Liderzy Przemian we współpracy z Fundacją Borussia ze środków Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności.

eprasa.pl 26a741fd42

Recenzje

Rzetelna monografia na stulecie obrony Lwowa

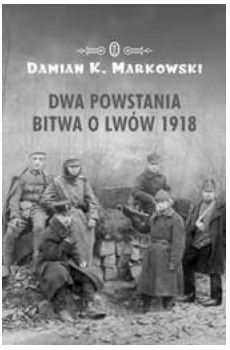

Damian K. Markowski, *Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Niewdzięcznie jest recenzować książkę, która w zasadzie nie ma wad. Taką, już trzecią w swoim dorobku, napisał Damian K. Markowski – historyk, pracownik Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN. Najnowsza: *Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918*, która zdobyła nagrodę w III edycji konkursu o Nagrodę im. Janusza Kurtyki, jest prawie pięćsetstronicowym tomem, podzielonym na dziewięć rozdziałów, zawierającym szczegółową rekonstrukcję listopadowych walk polsko-ukraińskich o stolicę Galicji Wschodniej, z których ostatnie 70 stron stanowią pieczołowicie przygotowane indeksy, przypisy, bibliografia itp. Rekonstrukcja ta jest ponadto wzbogacona różnymi kontekstami, pozwalającymi lepiej zrozumieć zarówno ówczesne motywacje i sposoby działania obu stron, jak i współczesne ich interpretacje. Choć o wojnie polsko-ukraińskiej w latach 1918–1919 w Polsce pisano (zresztą znacznie więcej niż na Ukrainie), dotychczas nie ukazała się praca tak kompleksowo traktująca o jej zarzewiu, czyli zmaganiach dwóch narodów o wspólne miasto w listopadzie 1918 roku.

Mocnych stron książki jest znacznie więcej niż słabszych, dlatego właśnie od tych pierwszych warto zacząć. Przede wszystkim autorowi udało się znaleźć dystans do takiego sposobu narracji, obecnego w Polsce i na Ukrainie zarówno w okresie międzywojennym, jak i obecnie, który traktuje Lwów jako miasto przynależne tylko jednemu narodowi i jednej kulturze, a nie będące dziedzictwem wielu. Autor wyszedł z założenia, że i Polacy, i Ukraińcy, i Żydzi mieli prawo do uznawania miasta za własne, i założenie to zastosował w praktyce, starając nie angażować się emocjonalnie po żadnej ze stron, lecz ukazać ich, jakże sprzeczne, kalkulacje polityczne. Ta, udana zresztą, próba zrównoważonego ujęcia widoczna

eprasa.pl 26a741fd42

jest już na poziomie tytułu: autor nie rozsądza, czyim Lwów był miastem, i celnie podkreśla, że oba narody, powodowane podobnymi pobudkami, musiały działać w podobny sposób – zamiast przejąć miasto z rąk Austrii, Polacy musieli wpierw, zaskoczeni, powstać przeciwko Ukraińcom, tak jak ci powstali przeciwko upadającym Habsburgom.

Na plus autorowi należy zaliczyć nieuciekanie od dosadnych ocen poszczególnych wydarzeń, przede wszystkim tragicznych, przy jednoczesnym powstrzymaniu się od generalizujących stwierdzeń, która ze stron ma większy udział w polsko-ukraińskim bilansie zbrodni. Markowski zdecydowanie potępia pacyfikację Sokolnik, podczas której żołnierze ukraińscy wraz z miejscową ludnością zamordowali co najmniej jedenastu Polaków, a wieś spalili; zabójstwo z zimną krwią polskiej sanitariuszki Bieganówny, gdy udzielała pomocy żołnierzowi podczas masakry w Ogrodzie Jezuickim, a także stosowanie przez sfrustrowanych ukraińskich żołnierzy odpowiedzialności zbiorowej wobec cywilnych polskich mieszkańców miasta. Z polskich przewinień autor za niegodne uznaje pojedyncze zabójstwa uliczne, lecz przede wszystkim jednak haniebny pogrom Żydów tuż po ustaniu walk. Markowski skrupulatnie odtwarza możliwe przyczyny tej zbrodni, takie jak udział Milicji Żydowskiej w walkach po stronie ukraińskiej czy niepoinformowanie tej formacji przez siły ukraińskie o odwrocie, jednocześnie też przypomina o wcześniejszych, masowych aktach rabunkowych i pojedynczych zabójstwach Żydów. Autor stwierdza, że „pogrom nie był działaniem zorganizowanym, a wyrazem przemocy lwowskiej ulicy i części wojskowych", zaś „komenda Wojsk Polskich nie stanęła na wysokości zadania w sprawie zahamowania oddolnej przemocy wobec Żydów".

Inna mocna strona książki to faktografia, dzięki której czytelnik dostaje szczegółową kronikę listopadowych wydarzeń dzień po dniu. Markowski koncentruje się na aspektach militarnych, opisując liczebność i skład walczących, rodzaje uzbrojenia, sposoby mobilizacji i aprowizacji, zajmowane pozycje, realizowane taktyki walk itp. Na szczęście nie są to suche opisy. Autor przeplata je cytatami ze wspomnień, bieżących zapisków uczestników lub świadków wydarzeń, a także własnymi refleksjami na temat decyzji podejmowanych przez poszczególnych dowódców. Dzięki wykorzystaniu szerokiej bazy źródłowej: archiwaliów, dokumentów, gazet czy pamiętników trzystustronicowa lektura zmagań bitewnych aż tak bardzo nie nuży.

Opis przygotowań, a następnie kolejnych dni walk prowadzi Markowskiego do pewnych wniosków natury ogólnej. W jego opinii, choć Ukraińcy dysponowali przewagą liczebną i lepszym uzbrojeniem, przede wszystkim dzięki udziale w walkach Ukraińskich Strzelców Siczowych, brakowało im determinacji. Tą zaś nadrabiali Polacy, którzy spontanicznością, zorganizowaniem i morale potrafili od pierwszych godzin skutecznie prze-

eprasa.pl 26a741fd42

ciwstawić się oponentom (niezależnie od tego, że w dniach poprzedzających 1 listopada lekceważyli przeciwnika, bagatelizując między innymi zajęcie przez Ukraińców Przemyśla). Polacy walczyli o własne domy i ulice, które dobrze znali, podczas gdy oddziały ukraińskie, złożone głównie z włościan, nie znały miasta i nie umiały walczyć w gąszczu ulic. W przypadku dowództwa Polacy również radzili sobie lepiej. Choć wiele mitów narosło wokół postaci kapitana Czesława Mączyńskiego – dowódcy obrony Lwowa, a jednym z głównych ich autorów był on sam, dwie najważniejsze formacje wojskowe we Lwowie: Polska Organizacja Wojskowa i Polskie Kadry Wojskowe zdołały dość szybko dojść do porozumienia w kwestii dowództwa, podczas gdy po stronie ukraińskiej w ciągu niespełna miesiąca walk zmieniło się ono dwukrotnie, a najzdolniejszy zdaniem autora ukraiński oficer miał ograniczony wpływ na podejmowanie decyzji.

Wreszcie bardzo ciekawy jest ostatni rozdział IX o konflikcie pamięci wokół walk o Lwów, stanowiący klamrę między wydarzeniami sprzed stu lat a współczesnymi polsko-ukraińskimi sporami o Cmentarz Orląt we Lwowie czy też, jakże współczesny, los ustanowionych tam posągów lwów. Szczególnie ciekawe zaś są nie tyle polskie działania na rzecz upamiętniania bohaterstwa obrońców miasta (jak wylicza Markowski: 6022 osoby, z których niemalże czwartą część stanowiły dzieci i młodzież przed siedemnastym rokiem życia), zapoczątkowane już w latach dwudziestych ubiegłego wieku, ile ukraińskie próby ich kopiowania, a także walka bohaterów powstania, generałów Romana Abrahama i Mieczysława Boruty-Spiechowicza, o pamięć tych wydarzeń w okresie PRL.

Książka wad ma mało i zupełnie nie wpływają one na jej ogólną pozytywną ocenę: niekiedy razić może patetyczny ton, szczególnie we wstępie. Brakuje map – Markowski często szczegółowo opisuje, jak zmieniały się pozycje poszczególnych zgrupowań, jakie nowe obiekty były zajęte i jakie miało to znaczenie dla dalszych walk, lecz bez możliwości zwizualizowania tych zmian na mapach opisy tracą efekt. Wreszcie miejscami chyba zabrakło szerszego kontekstu, choćby spojrzenia na walki we Lwowie na tle ówczesnych działań Warszawy i Kijowa, na przykład czytelnik dość długo czeka na odpowiedź, dlaczego obie stolice nie decydowały się na wysłanie posiłków. To jednak drobiazgi, bo tom, choć niemały, zdecydowanie wart jest uważnej lektury.

Tadeusz Iwański

eprasa.pl 26a741fd42

REKLAMA

12 FESTIWAL FILMÓW POLSKICH

kwiecień - grudzień 2019

www.festiwalwisla.pl

WISŁA

Gruzja
Czechy
Turcja
Białoruś

Uzbekistan
Rosja
Kazachstan
Kirgistan

Chorwacja
Serbia
Azerbejdżan
Tadżykistan

Słowacja
Słowenia
Chile

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministerstwo Kultury FR:

Współfinansowanie:

Współfinansowanie Rosja:

Fundacja "Centrum Rosyjsko-Polskiego Dialogu i Porozumienia"

Organizatorzy:

Fundacja Wspólnego Domu

DAJ SIĘ WCIĄGNĄĆ!

FESTIWAL FILMÓW ROSYJSKICH



21 XI – 1 XII
WARSZAWA

XII 2019 – IV 2020
cała Polska

WWW.SPUTNIKFESTIWAL.PL

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministerstwo Kultury FR:

Współfinansowanie:

Projekt współfinansuje m.st. Warszawa:

Współfinansowanie Rosja:

Fundacja "Centrum Rosyjsko-Polskiego Dialogu i Porozumienia"

RUSSKY MIR FOUNDATION

Organizatorzy:

Fundacja Wspólnego Domu

SPUTNIK

eprasa.pl 26a741fd42

REKLAMA

Szalona, pełna niesłychanych opowieści
i humoru książka o dwudziestu najbardziej
rozpowszechnionych językach świata

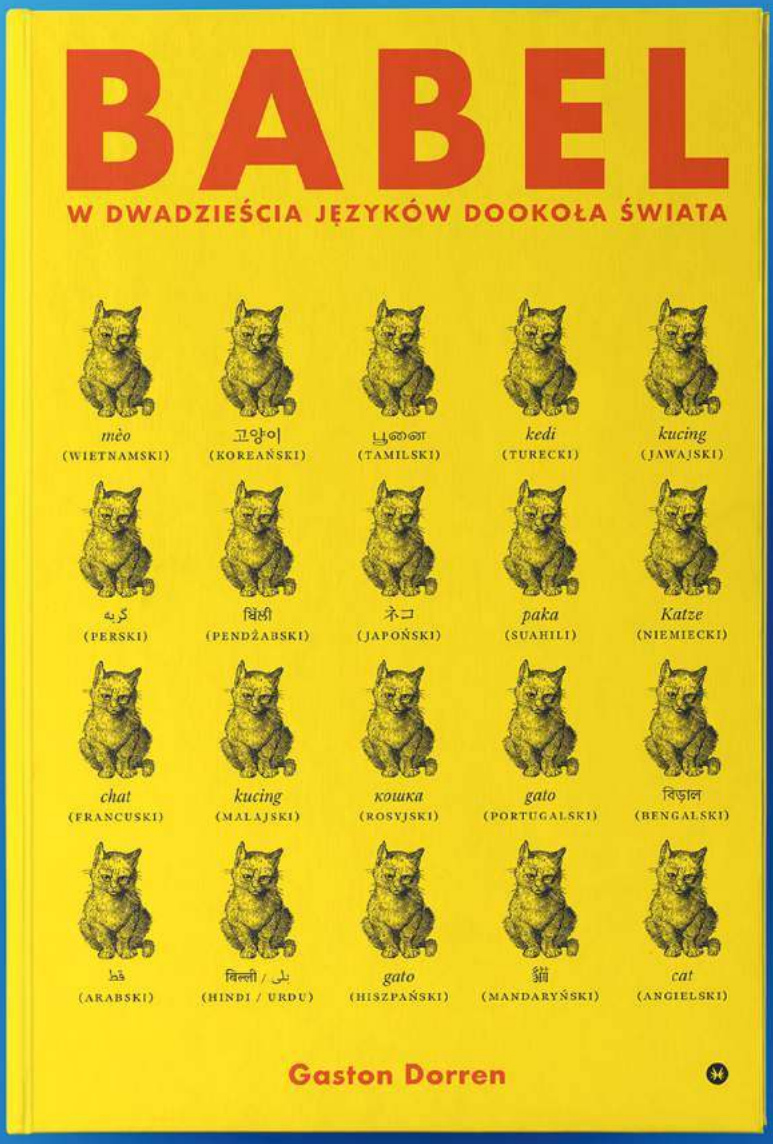

Odkryj niezwykły lingwistyczny archipelag!

W sierpniu w księgarniach
i na karakter.pl

eprasa.pl 26a741fd42

REKLAMA

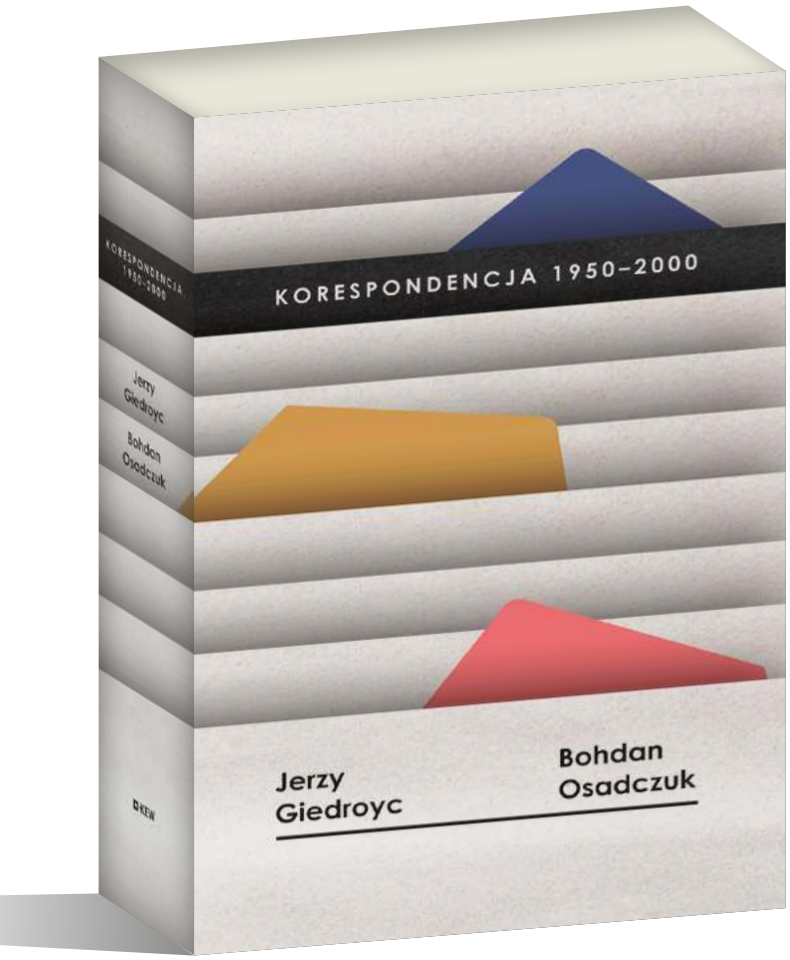

Do kupienia
na stronie
www.kew.org.pl

Oprawa twarda,
liczba stron **938**

54,90 zł ~~84,90 zł~~

KEW

Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

Nowa Europa Wschodnia

New Eastern Europe

KORESPONDENCJA
1950–2000

Jerzy Giedroyc i Bohdan Osadczuk

Ataman i Redaktor.
Pół wieku sprawy polsko-ukraińskiej

Pod redakcją
Bogumiły Berdychowskiej i Marka Żebrowskiego

eprasa.pl 26a741fd42

REKLAMA

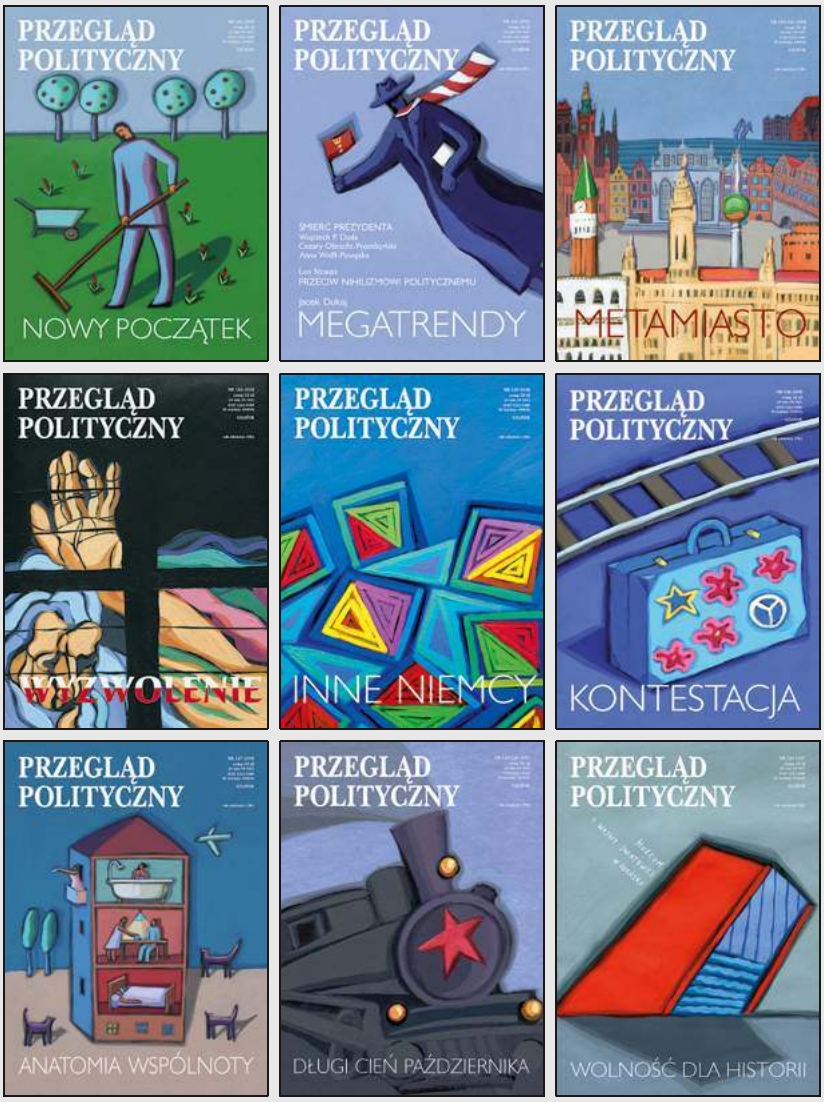

Zapraszamy na naszą witrynę internetową:
www.przegladpolityczny.pl

Stowarzyszenie Kulturalno-Edukacyjne „Kolegium Gdańskie”
PKO BP Oddział 27 w Gdańsku (Przegląd Polityczny)
nr 02 1440 1185 0000 0000 0710 0132

eprasa.pl 26a741fd42

Grzech pierworodny II RP



Grzegorz Gauden, *Lwów: kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918*, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2019

22 listopada 1918 roku stała się rzecz straszna. Po dwudziestojednodniowej zaciętej bitwie o Lwów, stoczonej między wojskami ukraińskimi a polskimi powstańcami, część oddziałów Obrony Lwowa dopuściła się krwawej zbrodni na żydowskich mieszkańcach miasta. Doszło do wydarzeń, których w żaden sposób nie da się usprawiedliwić, ponieważ przemoc wobec osób bezbronnych nigdy nie powinna doczekać się usprawiedliwienia. Pogrom lwowski, dokonany rękoma polskich żołnierzy i mieszkańców miasta, pochłonął siedemdziesiąt dziewięć ofiar śmiertelnych (wliczając osoby zmarłe później w szpitalach i z powodu ciężkich ran) i ponad czterysta lżej rannych i okaleczonych. Liczba obrabowanych szła w tysiące. Pogrom okazał się czarną kartą w księdze obrony Lwowa przed wojskami ukraińskimi.

To właśnie zagadnieniu lwowskiego pogromu z 1918 roku poświęcił swą ciekawą, ważną, ale i kontrowersyjną książkę Grzegorz Gauden. Dlaczego kontrowersyjną? O tym dalej. Zacznijmy od jej zalet. Autor opisuje pogrom, nie szczędząc szczegółów okrucieństwa, jakiego dopuścili się sprawcy wobec ofiar – w ogromnej większości zupełnie bezbronnych, w tym starców, kobiet i dzieci. W poszukiwaniach autor dotarł również do materiałów, szczególnie lwowskich, które nie były jeszcze znane polskim historykom, przez co spore fragmenty jego pracy można uznać za odkrywcze.

Cytując zeznania ofiar, Gauden tworzy bez wątpienia najpełniejszy dotąd plastyczny obraz tragedii. Obraz, nad którym nie można przejść do porządku dziennego. Uderzające, że wielu z tych ludzi nie spodziewało się wybuchu przemocy skierowanego wobec nich jedynie dlatego, iż zamieszkiwali dzielnicę żydowską oraz byli innej narodowości i wiary. Słusznie, że Gauden pokazuje dwulicowość ppłk Czesława Mączyńskiego, który starał się nie dopuścić do szybkiego stłumienia rozruchów. Ba, jak wykazał autor, Mączyński odegrał pierwszoplanową rolę w tym, by wyzwoliciele Lwowa mogli „pohulać" z żydowskimi mieszkańcami miasta, co szybko przybrało formę krwawego pogromu. Pod względem scharakteryzowania roli dowódcy „Orląt" w tym przerażającym dziele, ustalenia zawarte w książce mają wartość pionierską.

Chwała autorowi za wprowadzenie do obiegu czytelniczego niektórych niepublikowanych materiałów poświęconych pogromowi. Dobrze się stało, że pokazał również (przedrukowane) drastyczne fotografie, ukazujące zmasakrowane ciała ofiar zbrodni.

Za szczególnie cenny można uznać passus o nieudolnych próbach tuszowa-

eprasa.pl 26a741fd42

nia przez polskie władze znaczenia wydarzeń po wyzwoleniu miasta. Ten fragment książki jest potrzebny i ponadczasowy także z uwagi na zjawisko prób tuszowania przez instytucje państwowe kompromitujących wydarzeń (w tym przypadku – zbrodni w czystej postaci), czy przynajmniej usunięcia ich w cień jakiejś chwalebnej karty (tutaj – próbowano „przykryć" pogrom dziejami obrony Lwowa). Ciekawie wypadło też przedstawienie stosunku polskich Żydów do pogromu w zależności od ich pozycji społecznej i poczucia polskości. Boleśnie uderza historia tych żydowskich lwowian, którzy z pełnym przekonaniem podjęli walkę o Polskę, a po jej faktycznym zaprowadzeniu musieli bezsilnie obserwować bezmiar przemocy wobec swoich współwyznawców.

Książka to też ciekawy reportaż, solidna literatura faktu. Wywód autora oparty jest na bogatych źródłach, w tym archiwach lwowskich, w których znajdują się kluczowe dokumenty dotyczące tematu. Jak jednak na tle faktograficznym wypada strona interpretacji?

Powszechnie wtrącane przez autora w narrację opinie są dość jednostronne, natomiast szereg wydarzeń i faktów został nietrafnie wyciągnięty z kontekstu wydarzeń drugiej połowy 1918 roku w tej części Europy i samym Lwowie.

Przechodząc do spraw najważniejszych oraz ustaleń kluczowych, warto pochylić się nad kilkoma wątkami. Prawdopodobnie – jak zresztą napisał Gauden – pogrom *en masse* zaczął się nie od napadu na sklep jubilerski Zippera. Nie sposób jednak zanegować, że innym ogniskiem zapalnym tragedii była wymiana ognia między Polakami a żydowskimi milicjantami w północnej części miasta. Na nieszczęście, oddziały żydowskiej milicji nie zostały powiadomione przez ukraiński sztab o wycofaniu się z miasta i – nie zdając sobie sprawy z beznadziejności własnego położenia – nie można wykluczyć, że próbowały podjąć walkę z nacierającymi Polakami. Zresztą – co wykazano już we wcześniejszej literaturze przedmiotu – Żydzi mieli w pełni uzasadnione obawy i podstawę, by bronić się choćby przed polskimi bojownikami z Sektora Bema. Nie wiedzieli, że we Lwowie w godzinach rannych 22 listopada pozostały już tylko tylne straże armii ukraińskiej. Rzecz jasna, nawet jeśli taka potyczka dała początek masowemu rozpoczęciu odwetu (wymierzonemu w ludność żydowską jako całość, nie zaś w milicjantów) przez wojsko, w żadnym stopniu nie usprawiedliwia to wygodnej dla polskich sprawców pogromu zbrodniczej zasady zastosowania odpowiedzialności zbiorowej. Dodajmy jednak, że wojska ukraińskie opuściły Lwów w dużym pośpiechu i nieładzie, nie informując o tym również niektórych własnych pododdziałów, w tym części obrońców Cytadeli.

Autor pisze (słusznie zresztą), że udzielenie pomocy Żydom podczas pogromu musiało być ze strony przedstawicieli polskiej społeczności aktem wyjątkowej odwagi. Nie polemizuję z tą oczywistością. Gauden milczy jednak na te-

eprasa.pl 26a741fd42

mat tych przypadków, które rzeczywiście miały miejsce, a nawet były ogłaszane we lwowskiej prasie przez samych poszkodowanych, w ramach dziękczynienia tym, którzy zachowali człowieczeństwo. Szkoda, że autor nie zdecydował się przywołać choćby kilku z nich, skoro lwowską prasę zbadał dość dokładnie. Ogranicza się właściwie do przypadku żołnierza odprowadzającego gromadę Żydów w bezpieczniejsze miejsce oraz do przykładów, gdy sprawcy zbrodni rezygnują z niektórych okrucieństw, zapewne kierowani nagłym przypływem współczucia. Dziwi, że Gauden nie chciał sięgnąć również do akt policyjnych, zawierających jeszcze więcej relacji o zbrodni. Także tych świadczących o aktach pomocy.

Polacy są w oczach autora czynnikiem sprawczym żydowskiego nieszczęścia, jeszcze zanim do niego doszło. Doprawdy nie rozumiem, czemu służyć mają zdania typu: „Żydowska kamienica pełna złota, klejnotów, zegarków na polskim już od kilku godzin Rynku musiała działać na emocje polskiej katolickiej publiczności Lwowa". Ostatecznie z lektury książki wysnuć można wniosek, iż podjęcie przez polską społeczność miasta walki przeciw ukraińskiej władzy miało na celu przede wszystkim dokonanie krwawej rozprawy z żydowskimi sąsiadami. Wniosek taki jest błędny. I niesprawiedliwy. Stawianie symbolicznego znaku równości między Jurkiem Bitschanem a młodocianym pogromowcem, żądnym krwi i pieniędzy „batiarem" jest nie tylko nieuprawnione, ale i krzywdzące dla tych wszystkich, którzy walczyli o polski Lwów z poczucia patriotyzmu. Także dla Żydów, których było w polskich szeregach wcale niemało. O tym jednak z książki się nie dowiemy. Zadziwia, że Gauden poszedł tą drogą. Biel i czerń rzadko kiedy kroczą w historii obok siebie. Nawet, jeśli dobrze wyglądają razem na kartach książek.

Mocno nietrafione pozostają również wzmianki o „ukrywanej" zbrodni, rzekomo w pełni ujawnionej dopiero w opracowaniu Gaudena. Można zrozumieć, że takie sformułowanie ma podkreślić znaczenie książki (której jednak nie trzeba w ten sposób promować, ponieważ poświęcona jest wystarczająco ważnemu wydarzeniu). Czytelnik niewprawiony w tematyce odniesie jednak mylące wrażenie, że przed Grzegorzem Gaudenem polska historiografia celowo milczała o lwowskiej zbrodni, a materiały poświęcone pogromowi były skrzętnie ukrywane w przepastnych archiwach, by nigdy nie ujrzeć światła dziennego.

Odpowiadając autorowi w tej kwestii, warto podkreślić: nie, pogrom lwowski nie był zbrodnią ukrywaną. Pisano o nim już ponad trzydzieści pięć lat temu, zaś zbrodniczy charakter tej plamy na honorze odradzającego się państwa polskiego dobitnie podkreślił choćby profesor Jerzy Tomaszewski na łamach „Przeglądu Historycznego". By nie wspominać kolejnych historyków, którzy nie zamierzali ukrywać tej czarnej karty polskiej historii i także wnieśli wkład w poszerzenie wiedzy o pogromie, takich jak Michał Klimecki, Maciej Tramer, Christoph Mick czy Ta-

eprasa.pl 26a741fd42

rik Cyril Amar. Przerażające wspomnienia ofiar pogromu były publikowane choćby na łamach „Karty". Dziwne, że autor, który przecież był redaktorem naczelnym „Rzeczpospolitej", nie pamięta, iż właśnie w 2006 roku tytuł ten opublikował dodatek historyczny poświęcony obronie Lwowa, w którym znalazły się fragmenty o zbrodni z 22–24 listopada 1918 roku.

Autor sprawnie włada językiem, stąd też zdania książki pełne są zarówno dobrej polszczyzny, jak i słów mocnych i – zdawać by się mogło – nieznoszących sprzeciwu. Stanowczo i pewnie Gauden wskazuje poszczególnym aktorom tamtych wydarzeń spośród lwowskiej społeczności miejsce w historycznym szeregu. Wydaje sądy prawdziwe i nieprawdziwe, sprawiedliwe i niesprawiedliwe, złożone i uproszczone.

Padają również porównania historyczne tyleż mocne, ile niesprawiedliwe, jak to zestawiające zbrodnię roku 1918 z pogromem roku 1941. Bo pogrom listopadowy – dla którego usprawiedliwienia nie ma – nie był pogromem z roku 1941 roku, gdy ofiary śmiertelne szły w tysiące zabitych. Czy zatem – zestawiając te dwa tragiczne i haniebne, ale przecież nieprzystające do siebie wydarzenia – autor nie idzie o krok za daleko? Czy nie mierzy tym samym jedną miarą II Rzeczpospolitej i III Rzeszy i nie zmierza ku jakże prostemu i tyleż nieprawdziwemu stwierdzeniu, że zarówno przedwojenna Polska, jak i nazistowskie Niemcy miały taki sam cel, jakim było fizyczne wyniszczenie Żydów?

Dla jasności dodam, że mimo krytycznych uwag wobec warstwy interpretacyjnej autora aktualne pozostają słowa wstępu książki, skreślone przez Adama Zagajewskiego i boleśnie przecież żywe:

„Jak żyć z tą wiedzą? Przecież my takiego Lwowa nie znamy. Lwów w naszej wyobraźni to poczciwy Lwów Szczepcia i Tońcia (…), pięknej architektury, kościołów, synagog i cerkwi, to Lwów leżący na wzgórzach jak kot, który wygrzewa się w cieple, Lwów matematyków o światowej sławie, miasto Leopolda Staffa i Zbigniewa Herberta, Aleksandra Fredry i Stanisława Lema, Ostapa Ortwina, Wysokiego Zamku, Targów Wschodnich, Cmentarza Łyczakowskiego. Lwów, gdzie nawet miękka wschodnia intonacja sygnalizuje dobroduszność – a przynajmniej tak nam się wydaje. Lwów, w którym – jak nam mówiono – różne wyznania współżyły ze sobą w zgodzie, w największej harmonii: miasto, któremu już nic nie może zagrozić, które trwa spokojnie w micie, w albumach, w piosenkach i w książkach, w fotografiach naszych pałaców, naszych świątyń, naszych bibliotek, naszych parków, naszych dzielnic willowych, odsłania tu inne oblicze, przerażające.

Przywykliśmy do myśli: pogromy to oni, to Ukraińcy. To nie my". I dalej dodaje „To jednak my". W tych kilku zdaniach streścić by można zasadniczy przekaz książki Grzegorza Gaudena. Z jednej strony trzeba się z nim zgodzić – pogromu dokonali polscy żołnierze, ludność Lwowa, ale i pospolity motłoch. Czyli – maksymalnie upraszczając – „my". Z dru-

eprasa.pl 26a741fd42

giej strony – mniej wygodne dla swej tezy wydarzenia czy wątki autor po prostu przemilczał. A z tym nie sposób już się zgodzić.

Tytułem konkluzji, po lekturze trudno przejść obojętnie obok zbrodni i krzywdy. „To jednak my" – przyzna czytelnik. Pod tym względem książka spełni swą funkcję, uświadamiając odbiorcy jakże uproszczony społecznie obraz dawnego Lwowa. Miasta, które odeszło. „To jednak my" – wypada przyznać przed samym sobą, pochylając się nad tragedią lwowskich Żydów, dokonaną polskimi rękoma. Pomijając poruszone wcześniej kwestie interpretacji wybranych aspektów opisywanych wydarzeń, z którymi nie sposób się zgodzić, książka spełnia swą rolę, jeśli chodzi o jej treść faktograficzną i winna zająć swoje miejsce obok sielskich, przebrzmiałych i zgranych dawno obrazków przedwojennego Lwowa.

Jan Frassati

Skruszyć milczenie betonu

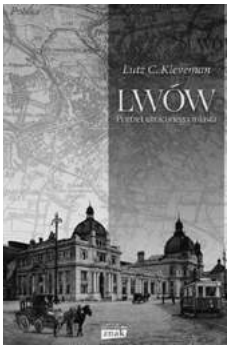

Lutz C. Kleveman, *Lwów. Portret utraconego miasta*, przeł. Dariusz Guzik, Znak-Horyzont, Kraków 2019

Najnowszą książkę niemieckiego dziennikarza wziąłem do ręki z nieukrywaną ciekawością. Znałem jej treść po lekturze niemieckiego wydania, które ukazało się przed dwoma laty. Moja ciekawość polegała przede wszystkim na tym, czy Kleveman zadał sobie trud, by przynajmniej częściowo wzbogacić swe dzieło o wątki, które stanowiłyby coś nowego, nieznanego dotąd polskiemu czytelnikowi. I tutaj – pierwsze rozczarowanie. Podobnie bowiem jak w przypadku niemieckiego wydania, opowieść ta, o kształcie luźnego reportażu, jest niczym innym, jak niezobowiązującą wędrówką po Lwowie. Autor prowadzi czytelnika od czasów habsburskich, poprzez I wojnę światową, okres II Rzeczpospolitej, aż po hekatombę Zagłady, masowych deportacji i powojennej sowietyzacji Lwowa. Z perspektywy obecnej wiedzy o historii Lwowa w Polsce książka może miejscami rozczarować, choć dla mniej wprawnych we „lwowskiej" tematyce będzie z pewnością interesująca.

Podczas lektury na plan pierwszy wysuwa się pytanie, które autor zadał sobie sam: jaka naprawdę jest Ukraina? I jaki naprawdę jest Lwów? Kleveman przyznaje, że jednym i drugim zagadnieniem zainteresował się stosunkowo niedawno, ponieważ dopiero po aneksji Krymu przez Rosję. Nadaje to jego relacji pewnej autentyczności, choć nie pozbawionej małej dozy naiwności. Tym bardziej, że ostatecznie nie znajdziemy na łamach książki oczekiwanej odpowiedzi.

Trudno nie przymrużyć oka, czytając, że Lwów doby międzywojnia był miastem „kosmopolitycznym". O nie, w dobie coraz bardziej agresywnych nacjonalizmów to stwierdzenie nazbyt rażąco narusza

eprasa.pl 26a741fd42

historię, której lepiej nie pisać na nowo w poszukiwaniu literacko chwytnego pojęcia. Kleveman kreśli ciekawy, choć nie zawszy wierny historii obraz miasta, które pasuje do jego wizji wschodnioeuropejskiego tygla etnicznego opakowanego w austriacki papier. Myli się chwilami, podając informacje nieścisłe, czy też nazbyt daleko idące interpretacje. Można mu to wybaczyć, mając na uwadze, że książka była wszakże pisana przede wszystkim dla niemieckiego czytelnika.

Stąd też liczne i niekiedy denerwujące wtrącenia typu „pewien ukraiński student" (rzecz o Siczyńskim, zabójcy namiestnika Potockiego) czy dość groteskowe zdziwienie autora graniczące z podziwem, że „kilkoro" Żydów lwowskich ukryło się w kanałach podczas niemieckiej okupacji i doczekało w nich nadejścia Armii Czerwonej. Autor pisze, że Lwów nie został zniszczony podczas II wojny światowej i „w mieście żywa jest pamięć raczej o 1914 niż 1945 roku". Tyle, że w pierwszym roku wielkiej wojny Lwów został przez Austriaków poddany bez walki, a w 1945 roku znajdował się już setki kilometrów za linią frontu… W 1918 roku Lwów zostaje w jego książce odbity przez… „Legiony Polskie", a straty polskie i ukraińskie w walkach o miasto idą w fantastyczne trzy tysiące zabitych, kiedy były one niemal dziesięciokrotnie mniejsze.

Wpadek jest zresztą znacznie więcej i niektóre z nich są na tyle groteskowe, że trudno z nimi polemizować. Jak bowiem skomentować tak infantylne stwierdzenie, jak to, że niemieccy okupanci nie zdecydowali się na zniszczenie lwowskiego pomnika Adama Mickiewicza, ponieważ po zniszczeniu podobnego monumentu w Krakowie „pchnęło to" wielu Polaków do wstąpienia do ruchu oporu?

Na plan pierwszy wysuwa się u Klevemana miasto jako organizm. Żywe ciało, złożone z ludzi, ale im niepodporządkowane, bezwolne, a jednak odciskające swe piętno na historii, zdawać by się mogło – zapisując jej karty w sposób przedziwny, wedle scenariusza, którego dalszego ciągu nie sposób przewidzieć. Czy jednak organizm ten ma duszę? Opowieść autora jest ciekawa, nie nuży, choć i przesadnie nie porywa. Podróż z nim przez najnowszą historię Lwowa pełna jest ciekawostek, dat, częściej jeszcze – osób, związanych z miastem, barwnie komponuje się z tyleż osobistymi, ile odważnymi wnioskami Klevemana na temat przeszłości miasta nad Pełtwią.

I czy w ostatecznym rozrachunku zgodzić się można z autorem, że Lviv, Lemberg, Leopolis, Lwów – to paneuropejskie panopticum, soczewka historii Starego Kontynentu? Śmiem twierdzić, że Klevemanowi zamiast panopticum wyszła raczej pocztówka. A zatem nie klucz do zrozumienia miasta, jego duszy, mózgu, tożsamości, ale właśnie pocztówka. Tyleż subiektywna, ile ciekawa. I bez wątpienia godna polecenia komuś, kto jest otwarty na przemyślenia innych, nawet jeśli się z nimi nie zgadza.

Joseph Roth, który – czy szczęśliwie? – nie dożył końca „jego" Galicji Wschodniej, twierdził w jednym ze swych dzieł, że

eprasa.pl 26a741fd42

organizmy miejskie są trwalsze i „Miasta przeżywają narody, którym zawdzięczają swoje istnienie, i języki, w których porozumiewali się ich budowniczowie. Narodziny, życie i śmierć miasta zależą od wielu praw, których nie sposób ująć w żaden schemat, które nie dopuszczają jakichkolwiek reguł. To prawa wyjątku". Umarł zatem Lwów w latach czterdziestych XX wieku, czy też narodził się ponownie?

Podobnie otwartym pozostaje pytanie, czy Lwów – ale ten dzisiejszy, obecny, taki, jakim jest bez upiększeń czy „prykras" – jak mawiają Ukraińcy – już się odnalazł. Chyba nie. A przynajmniej jeszcze długo będzie się odnajdywał, ze swoją nową, nadal niezakończoną pieśnią o tożsamości, miotającej się od twarzy jednej ze wschodnioeuropejskich stolic kultury po wizerunek miasta o żywym, nacjonalistycznym duchu. Także w negatywnym znaczeniu tego słowa.

Mimo licznych błędów merytorycznych i faktograficznych książka kusi świetnym językiem autora, przypomina raczej barwną opowieść o ciekawym zakątku Europy niż kolejną historyczną „cegłę", której rolą jest zapełnienie miejsca na półce. Bo – nie sposób ukryć – wędrówka do Lwowa była dla autora kolejną życiową przygodą. Czy można o to mieć pretensje? Tytułem podsumowania warto by krótko skreślić w kilku słowach, o jakim Lwowie opowiada ta ciekawa książka, świeża perspektywą piszącego, który nie zdołał jeszcze „zelwowieć". Oddajmy zatem głos jednemu z arcylwowian, Józefowi Wittlinowi:

„To jest właśnie Lwów. Różnolity, wzorzysty, olśniewający jak wschodni kobierzec. Grecy, Ormianie, Włosi, Saraceni, Niemcy lwowieją przy tubylcach polskich, ruskich i żydowskich, a lwowieją *na fest*". O tak, taki właśnie był Lwów. Ciekawie było przeczytać o nim na łamach książki Lutza Klevemana, nawet jeśli okazała się opowieścią ze skazą i pozbawioną szczęśliwego zakończenia. I nawet jeśli mieszkańcy tamtego Lwowa, który starał się opisać, bardziej niż ze sobą żyli obok siebie.

Damian K. Markowski

Pitawal fantasmagoryczny



Jurij Andruchowycz, *Kochankowie Justycji*, przeł. Ola Hnatiuk, Katarzyna Kotyńska, Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2019

Kochankowie Justycji, najnowsze dzieło doskonale u nas znanego Jurija Andruchowycza, gwiazdy literatury ukraińskiej i laureata Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus", nosi zgrabnie wpisujący się w secesyjną okładkę podtytuł *Powieść parahistoryczna w ośmiu i pół odcinkach*. Opis ten jest świadectwem kokieteryjnej skromności autora, ponieważ *Kochankowie Justycji* wyrastają daleko poza tę charakterystykę – to przecież w dużej mierze również powieść łotrzy-

eprasa.pl 26a741fd42

kowska, kryminał, esej na temat Europy Środkowej, wspaniała literacka zabawa oraz (biorąc zwłaszcza pod uwagę wzmiankowane „pół odcinka", czyli „Rozdział ostatni") nostalgiczna opowieść z wątkami autobiograficznymi. Stworzenie tak szeroko zakrojonej powieści było *idée fixe* Andruchowycza – środowiskowa plotka głosi, że ukraiński autor pracował nad tą książką dwadzieścia siedem lat.

Pomysł wyjściowy był przedni – opowiedzieć historię Ukrainy (czy raczej ziem, które obecnie zajmuje Ukraina) za pomocą mniej lub bardziej ufikcyjnionych opowieści o sławnych mordercach, rzezimieszkach i wyrzutkach żyjących poza prawem i niejako poza społeczeństwem. Wśród bohaterów Andruchowycza znajdują się między innymi Samijło Niemirycz – podolski rozbójnik z XVII wieku, osiemnastowieczny „Sinobrody z Druhobycza", który w murowanej wieży przetrzymywał zwłoki zabitych przez siebie służek, czy oficer KGB, wykonawca wyroku na Stepanie Banderze. Niemal we wszystkich zbójeckich historiach niebagatelną rolę odgrywa miłość – i nie jest to przypadek. Bohaterowie Andruchowycza są wszak „podwójnymi kochankami" – stają się bowiem nie tylko ofiarami romantycznego, nieszczęśliwego, prowadzącego ku zgubie uczucia, ale też wybrankami tytułowej Justycji, czyli Sprawiedliwości (nierzadko tracą dla niej głowę w sposób dosłowny).

Już sama taka konstrukcja – ukraiński, czy wręcz środkowoeuropejski pitawal – byłaby niezwykle intrygująca, ale Andruchowycz idzie o kilka kroków dalej. Pozwala sobie na literackie aluzje, stosuje elegancką stylizację językową, wprowadza kontrastujące z wysokim stylem dowcipne nawiązania do współczesności (choćby do akcji #metoo) i miesza porządek rzeczywisty z fantasmagorią oraz legendami. Ten rys fantasmagoryczny, błazeński, to wykorzystanie stylistyki charakterystycznej dla literatury łotrzykowskiej, to uwielbienie dla tajemnic półświatka, to wprowadzanie ludowych bohaterów-trybunów wyklętych spod prawa – wszystko to są zabiegi typowe dla Andruchowycza – nad podobnymi protagonistami autor z Iwano-Frankiwska pochyla się w swojej twórczości (czy to będzie proza, poezja czy teksty piosenek) w zasadzie nieustannie od czasów debiutu w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Można wręcz zaryzykować twierdzenie, że „fenomen stanisławowski" (którego Andruchowycz jest najznamienitszym przedstawicielem) w dużej mierze opierał się na wykorzystaniu w literaturze współczesnej ukraińskiego folkloru – zwłaszcza tego związanego z bohaterami niejednoznacznymi, stojącymi na granicy prawa i bezprawia, w jakiś sposób naznaczonymi anatemą.

Szczególnie istotnym elementem tej specyficznej układanki, jaką są *Kochankowie Justycji* (nie ma chyba sensu zastanawiać się, czy to powieść, czy raczej zbiór opowiadań…), jest pojawiająca się w większości tekstów tajemnicza „instytucja" – cyrk Wagabundo, obwoźny jarmark cudów, łgarstw i mrożących krew

eprasa.pl 26a741fd42

w żyłach spektakli. W tym ze wszech miar nieodgadnionym tworze – pojawiającym się epizodycznie także w innych utworach Andruchowycza – można upatrywać podstawowego symbolu twórczości autora *Perwersji*. Atmosfera mrocznej fantazji, okrutnej rubaszności, rozrywki, na której cieniem kładzie się brutalność, błazenady kroczącej pod rękę ze zbrodnią – oto elementy składowe literackiego świata Andruchowycza.

Wszystkie te literackie aluzje dodatkowo spina wyjątkowo interesujący komentarz odautorski, czyli „Rozdział ostatni". Jest to poniekąd perła w koronie tych opowieści – to sięgająca po mitologię dzieciństwa opowieść przedstawiciela „pokolenia Fantomasa", które żyło filmami i historiami z awanturniczych książek oraz próbowało rozwikłać tajemnicę pewnego morderstwa popełnionego w Stanisławowie na początku lat siedemdziesiątych XX wieku. „Nie ma co ukrywać, lubiliśmy mroczne fantazje" – pisze autor, dodając, że najważniejszy w tych nieledwie fantastycznych historiach zawsze był element niedopowiedzenia. I właśnie z poczuciem niedopowiedzenia zostawia Andruchowycz swoich czytelników, kończąc książkę w następujący sposób: „Historia niedokończona przestaje być historią. Ale większość historii tego świata to właśnie historie niedokończone. To znaczy nie, nie obiektywnie. Są niedokończone – dla nas. Nie możemy objąć ani początków, ani końców, zawsze pozostając gdzieś pomiędzy, na jakimś przypadkowym odcinku". Patrząc na *Kochanków Justycji* z takiej perspektywy, można powiedzieć, że jest to książka należąca do klasyki tego gatunku.

Maciej Robert

Świetna powieść z nieszczęśliwym tytułem

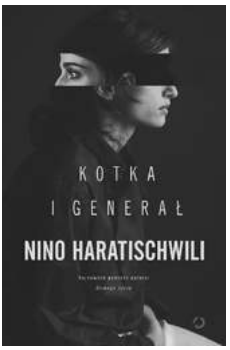

Nino Haratischwili, *Kotka i Generał*, przeł. Urszula Poprawska, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2019

Na wojnę Osesek zabiera ze sobą książki, ale kiedy z niej dezerteruje, w pośpiechu pakuje tylko dwie: *Antygonę* Sofoklesa i *Adę albo Żar* Władimira Nabokowa (po bohaterce tej drugiej imię otrzyma jego córka). Światem literatury i teatru będzie się zresztą otaczał przez całe życie, nawet jednego ze swoich psów nazwie Szałamow. Jednak zanim Aleksander Orłow zmieni się z Oseska w Generała, przyjdzie mu przeżyć piekło.

Na wojnę w Czeczenii trafia dzięki matce, która oczekuje, by dorównał własnemu ojcu, bohaterowi z Afganistanu. Jako intelektualista kompletnie niezainteresowany wojaczką nie ma lekko. Ale to tam staje się Generałem, choć nikt nie dodaje mu gwiazdek na pagonach. Wręcz przeciwnie, przezwisko zdobywa po brutalnym akcie, którego jest nie tylko świadkiem, ale współwinnym.

Zacznijmy jednak od początku.

eprasa.pl 26a741fd42

Po dobrym przyjęciu przez krytykę literacką *Ósmego życia (dla Brilki)* Nino Haratischwili po raz kolejny serwuje nam solidną dawkę niezłej prozy. Swoją nową powieścią dowodzi, jak trudno jest skleić Wschód z Zachodem. Mimo to autorka *Kotki i Generała* sprawnie balansuje między tymi światami i na naszych oczach próbuje je do siebie dopasować. Są jednak nie do pary, choć muszą istnieć obok siebie.

Fabułę Haratischwili prowadzi dynamicznie. Od początku do końca trzyma czytelnika w napięciu. Zgrabnie wiedzie go przez wielowątkową opowieść rozłożoną na kilku płaszczyznach czasowych. I zaskakuje. Zwłaszcza na końcu.

Trochę jesteśmy w latach dziewięćdziesiątych XX wieku w oszalałej transformacją Moskwie, trochę w pozbawionej światła i perspektyw Gruzji Eduarda Szewardnadzego, trochę w ogarniętej wojną Czeczenii. I w końcu, w drugim dziesięcioleciu XXI wieku, trafiamy do Berlina. Od początku do końca tej historii mijają dwadzieścia dwa lata.

W 1994 roku w jednej z czeczeńskich wiosek poznajemy siedemnastoletnią Nurę. Czeczenkę, która marzy o zostaniu aktorką i o tym, by wyrwać się z surowych zwyczajów swoich rodzinnych stron. Nie wie jeszcze, że nic z tego jej się nie uda. Zostanie zamordowana przez oddział pułkownika Szujewa, a wcześniej brutalnie zgwałcona.

Po dwudziestu dwóch latach, w sylwestrową noc 2016 roku w przepięknej scenerii czeczeńskiego jeziora Kiezenoj-am jej miejsce zajmuje Sesili, młoda gruzińska aktorka do złudzenia przypominająca Nurę. Ma być wspomnieniem, wyrzutem sumienia, zaproszeniem do śmiertelnej gry, którą dla swoich wojennych kamratów przygotował Generał.

Ten powrót po latach na Kaukaz ma zupełnie inny wymiar. Czeczenię widzimy po wojnie, ale wręcz organicznie czujemy jej idylliczną powierzchowność. Na pierwszy rzut oka nic nie przypomina okropieństw, przez które przeszedł ten kraj podczas dwóch wojen po rozpadzie Związku Sowieckiego. Spadła na nie zasłona milczenia. Nawet jej mieszkańcy zdają się nie pamiętać o wojennych zbrodniach. W oficjalnym dyskursie istnieje pamięć wojny, ale tej z 1941 roku. O kolejnych lepiej nie mówić.

Podobnie zmieniła się i Rosja, i Gruzja. I bohaterowie, których stworzyła Haratischwili.

A tych serwuje nam z krwi i kości, bez znieczulenia zmusza do oglądania ich dobrych i złych stron. Nie pozwala bezwzględnie lubić i absolutnie nienawidzić. Nie ocenia. Na ich historiach buduje dramat w trzech aktach.

Aktem pierwszym jest historia Nury oparta na faktycznych wydarzeniach z II wojny czeczeńskiej. Inspiracją do stworzenia tej postaci jest precedensowy przypadek opisany przez Annę Politkowską w *Rosji Putnia*. Nino Haratischwili zbudowała opowieść fabularną na podstawie historii Elzy Kungajewej, Czeczenki, która została uprowadzona, brutalnie zgwałcona i zabita przez oddział

eprasa.pl 26a741fd42

pułkownika Jurjego Budanowa. Była to też jedyna zbrodnia popełniona w Czeczenii na ludności cywilnej, która została osądzona. Uzależniony od alkoholu pułkownik Budanow na dziesięć lat trafił do więzienia.

Aktem drugim jest Sesili, tytułowa Kotka, gruzińska aktorka nieznosząca kompromisów. Poznajemy ją w Berlinie w 2016 roku, kiedy miota się między ciężką sytuacją finansową a brakiem pracy oraz między Niemcami i Gruzją. Zaś trzecim – oligarcha w średnim wieku, zwany Generałem, który nie potrafi pogodzić się ze stratą córki oraz własną mroczną przeszłością.

Dookoła jest wiele postaci, którymi Haratischwili tłumaczy konteksty kulturowo-historyczne. Poznajemy gruzińską emigrację w Niemczech i rosyjską finansjerę w Europie. Mamy okazję zobaczyć rosyjskich żołnierzy, którzy w I wojnie czeczeńskiej przywracali „porządek konstytucyjny" w zbuntowanej republice. Haratischwili sprawnie ubiera fakty w opowieść. Pokuszę się o stwierdzenie, że nie ma w literaturze pięknej tak dobrze opisanej traumy wojennej i sytuacji rosyjskich żołnierzy, którzy walczyli w Czeczenii.

Ale nie jest to opowieść o wojnie ani nawet o gwałcie, choć od niego wszystko się zaczyna i trzeba przyznać, że rzadko w literaturze można spotkać tak plastyczny i realny jego opis. To historia przemocy, żądzy władzy, strachu. I samotności.

To powieść o Rosji, Gruzji, Czeczenii. O upadku imperium, potrzebie wolności, która okazuje się naiwną mrzonką. I o tym, że życie to wydmuszka. O fasadowych społeczeństwach, uczuciach i kłamstwie. I o upokorzeniu.

To książka o zbrodni i karze, z jawnymi nawiązaniami do Soni i Raskolnikowa z powieści Fiodora Dostojewskiego. O tym, że nie ma zbrodni bez kary i za wszystko w życiu trzeba zapłacić.

Tak naprawdę nieszczęśliwy jest tylko tytuł powieści. Sugeruje coś innego i dopiero po przeczytaniu książki nabiera uzasadnienia.

Natomiast tłumaczenie Urszuli Poprawskiej perfekcyjne: żywe, jasne, precyzyjne.

A temat? Nabokow mawiał, że wszystkie motywy są wspólne dla wszystkich pisarzy, kunszt w tym, jak zostały napisane. A Haratischwili pisać potrafi. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Czytajcie więc tę mroczną i piękną powieść gruzińskiej autorki.

Stasia Budzisz

eprasa.pl 26a741fd42

Wojna nie daje odpocząć



Współczesna dramaturgia ukraińska od A do Ja, wybór, przekład i wstęp Anna Korzeniowska-Bihun, Agencja Dramatu i Teatru ADiT, Warszawa 2018

Sztuki napisane przez młode pokolenie ukraińskich autorek i autorów (na osiem dramatów sześć autorek i jedynie dwóch autorów). Każdy z dramatów ma indywidualny szkielet kompozycyjny i własną problematykę, jednak pewne wątki są obecne częściej. Po pierwsze, wojna opisana z perspektywy cywilnej generująca problem uchodźców, pozostawionych mieszkań, zespołu stresu pourazowego, ogólnego zubożenia; po drugie, szpitale – niedofinansowane, z brakiem personelu, przeciążonymi lekarzami, którzy też mają problemy i nałogi, więc nic dziwnego, że popełniają błędy; po trzecie, samotność. Samotność kobiet, mężczyzn i dzieci, która na pierwszy rzut oka wydaje się nie do przezwyciężenia za pomocą języka, kultury czy utrwalonych wzorów zachowań odziedziczonych po poprzednich straumatyzowanych pokoleniach i niebędących już wyrazem nowego doświadczenia.

Co ciekawe, autorki i autorzy widzą światełko w tunelu, a jest nim odzyskanie podmiotowości na własnych, elementarnych zasadach. W dramacie *Chwała Bohaterom* Pawła Arje, osnutego wokół spotkania leżących w jednej sali szpitalnej weteranów Ukraińskiej Powstańczej Armii i Armii Czerwonej z łapówkarstwem w tle, urodzona na zesłaniu wnuczka upowca mówi do dziadka: „Dopiero teraz zrozumiałam, że nigdy z tobą nie rozmawiałam. Zawsze mówiłeś tylko ty, a ja słuchałam, słuchałam, słuuuchałam (…). Byłam pustym miejscem, jakbym w ogóle nie istniała, ale teraz JESTEM, nowo narodzona, teraz jestem Wojowniczką. (…) Jak umrzesz, będzie mi smutno, no po prostu katastrofa, tak… smutno. Ale będę żyć dalej, bo wiem jak, i wiem, czego chcę". Anna Jabłońska w *Gdzieś i około* buduje postać kobiety, która w ogłoszeniu matrymonialnym pisze „Dzieciństwo w Perwomajsku. Gryzące rajstopy. Promień słoneczny. Krojczyni. Samotność. Nadija", w tym samym dramacie to ślusarz porzucony przez żonę, opiekuje się dwójką dzieci, odbiera je z przedszkola i chodzi na zebrania do szkoły.

Ukraińskie dramaturżki i dramaturdzy przypominają, że wojna nie zawiesza problemów dnia codziennego – małżeńskiej zdrady, choroby nowotworowej, jąkania, nie jest też czasem skoncentrowanego bohaterstwa, tylko ogromnie wyniszczającym doświadczeniem całego kraju. Prezentowane dramaty mają charakter raczej ilustracyjny, towarzyszący burzliwej ukraińskiej rzeczywistości, próbując oddać ją za pomocą metafory, symbolu lub nawet nienarracyjnych introspekcji, nie naruszają jednak żadnego drucika w konstrukcji *common knowled-*

eprasa.pl 26a741fd42

ge. Na odsłonięcie nowego pola musimy pewnie poczekać do następnych tomów.

Chociaż teksty czyta się płynnie, czasem miewałam wrażenie, że powinny jeszcze poleżeć i zostać przeczytane ponownie. Wtedy na pewno udałoby się uniknąć kilku dźwięcznych, ale jednak ukrainizmów tak syntaktycznych, jak i semantycznych, chociaż to doprawdy drobiazgi, które pewnie zostałyby wytropione w trakcie redakcji literackiej.

Współczesna dramaturgia ukraińska Anny Korzeniowskiej-Bihun to kolejny po między innymi publikacji *Nowy dramat ukraiński. Tom 1: W oczekiwaniu na Majdan* czy monograficznym numerze pisma „Teatr" (nr 10/ 2014) projekt tej konsekwentnej promotorki ukraińskiej kultury teatralnej.

Zofia Bluszcz

Kryminalna historia



Leszek Szerepka, *Ukraiński gambit*, Wydawnictwo MG, Kraków 2019

Tytuł książki Leszka Szerepki, poety, historyka, dyplomaty i publicysty, nawiązuje do słynnej powieści detektywistycznej Borysa Akunina *Gambit turecki*. W jednej i drugiej na bieg wydarzeń decydujący wpływ mają działania sekretne: w wypadku wojny turecko-rosyjskiej z końca wieku XIX afera szpiegowska, zaś na przebieg rewolucji godności – działania służb specjalnych. Lekkość pióra Akunina zastępuje wrażliwość oraz wiedza analityka i dyplomaty, która kształtuje wybory i poglądy bohaterów splecionych wirem wydarzeń sprzed pięciu laty.

W *Ukraińskim gambicie* plansza do gry jest bardziej skomplikowana niż szachownica. Po jednej stronie mamy głównego bohatera, szeregowego rewolucjonistę – studenta Stasia Sycza z Kołomyi obecnego na Majdanie od początku protestu przeciwko zmianie prouropejskiego kursu Ukrainy. Po drugiej – podpułkownika Igora Mazepkę Ukraińca z Moskwy, odkomenderowanego przez rosyjską FSB (Federalna Służba Bezpieczeństwa) na Ukrainę w celu kontroli nad poczynaniami SBU (Służba Bezpieczeństwa Ukrainy) i destabilizowania sytuacji: „Dostaliśmy polecenie, aby zainicjować w mediach dyskusję na temat federalizacji Ukrainy, która realnie jest krajem dość zróżnicowanym. Trzeba wydać odpowiednie polecenia naszej agenturze. Byłoby idealnie, jakby taka dyskusja rozpoczęła się we Lwowie, na przykład pod hasłem ochrony własnej specyficznej tożsamości, której zagraża zsowietyzowany Wschód". Zaś po trzeciej Saszę Werbyckiego – społecznego doradcę przy prezydencie Ukrainy, donieczczanina byłego kryminalistę, który pod wpływem uczucia do żony nabywa patriotyzmu i pozostaje niechętny przejęciu kraju przez Rosję, chociaż nie traci z oczu faktycznego układu sił. Odpowiada za komunikację między prezydentem a trzymającym władzę w Doniecku Tatarem.

eprasa.pl 26a741fd42

Na dobrą sprawę fabułę organizuje brutalna rozgrywka między FSB a wokółoligarchicznymi kryminalistami współdziałającymi z SBU. Wszystko wskazuje na to, że Mazepce uda się zrealizować swój niecny scenariusz dyskredytacji Majdanu i pogrążenia Ukrainy w pełnym chaosie, który pozwoli na wprowadzenie tam „pokojowych sił rosyjskich". Mazepko rozumie miejscową mentalność, orientuje się w szarej strefie, wie, jak szantażować nieuczciwych urzędników. Nie docenia jednak miejscowych układów kryminalno-administracyjnych. Ich członków cechuje coś na kształt wasalnego patriotyzmu, motywowanego interesem własnym – dobrze pracujące układy w razie przejęcia Ukrainy przez Rosję staną się co najmniej zagrożone.

Opowieść ma tempo, momentami jest wzruszająca, chociaż nie wiem, czy to efekt literatury, czy też bliskich wspomnień. Pisanie kryminałów osadzonych we współczesności wymaga nie tylko analizy i rekonstrukcji wydarzeń, do czego autor z pewnością przejawia pasję (i chociażby ze względu na ten aspekt warto *Ukraiński gambit* przeczytać), ale też wyobrażenia na temat tego, czego ludzie w przyszłości nie będą już wiedzieć. Wiele oddolnych działań i wydarzeń, które jako oczywiste weszły do historii rewolucji godności znajduje wytłumaczenie i opis. Na przykład Automajdan, robienie kanapek, trzymanie linii obrony przed Berkutem, ucieczka pobitych studentów do Michajłowskiego Soboru, Biblioteka Majdanu, Uniwersytet Majdanu i wiele innych. Spośród wielu utkwiła mi w pamięci scenka zdobywania starych opon, które potrzebne były do wzmocnienia obrony w dni najzacieklejszych ataków Berkutu. Kierownik ośrodka wczasowego tłumaczy, skąd u niego taki zapas starych opon: „kiedyś była moda, aby wykorzystywać stare opony do wytyczania leśnych alejek albo klombów. W oponach, jak w donicach, sadzono kwiaty…".

Jeśli *Ukraiński gambit* zostanie przetłumaczony na języki obce, kilka charakterystycznych aspektów polskiego spojrzenia na stosunki polsko-ukraińskie stanowić będzie oryginalny wkład w opis wydarzeń na Majdanie:

> – A pan skąd?
>
> – Z Polski.
>
> – Z Polski!? Zawsze marzyłem, że spotkam w końcu prawdziwego Polaka i będę mu mógł osobiście podziękować za tę pomoc, jaką Polska nam okazuje. Tylko wy nas rozumiecie.
>
> – Niech pan nie przesadza. – Chłopak był z jednej strony zakłopotany, a z drugiej mile podłechtany. – Cała Europa wam pomaga. Teraz w Kijowie jest baronessa Ashton.
>
> – Eee tam, panie. – Kożara machnął ręką. – Oni tylko gadają o pomocy. I z kim rozmawiają, z naszym prezydentem, a to przecież bandyta i bandycki system w kraju utworzył. I Europa chciała Ukrainę, z tym bandyckim systemem, do siebie przyjąć?
>
> – Nie tak szybko – zaoponował Polak. – Tam miały być okresy przejścio-

eprasa.pl 26a741fd42

> we, które pozwoliłyby zdemokratyzować wasz system polityczny. Wyplenić bandytyzm, korupcję (s. 193).

Ta na pozór niewinna rozmowa toczy się między agentem SBU a młodym polskim parlamentarzystą. Wyobraźmy sobie na chwilkę, że sytuacja rozgrywa się w latach osiemdziesiątych XX wieku w Polsce między przebranym za stoczniowca ubekiem a młodym kongresmenem. Wszystko wydaje się proste, trzeba tylko zacząć. Myślę, że Leszkowi Szerepce udało się w tym obrazku świetnie zarysować paternalizm podbudowany pragnieniem słusznych rozwiązań i klarownych sądów, które świetnie sprawdzają się na sąsiedzkich podwórkach.

Na koniec wróćmy jeszcze do *Gambitu tureckiego* – główna postać kobieca u Borysa Akunina to uratowana przez Erazma Fandorina Warwara Suworow. Emancypantka, która ucieka z domu i rusza w samodzielną podróż, by ratować swojego ukochanego. Choć ukształtowana zgodnie z upraszczającymi motywację zasadami kąśliwego humoru i popkultury pozostaje wzorem obyczajowości rosyjskiej inteligencji drugiej połowy XIX wieku wraz z jej ideami, buntami, niepokojami, lekturami i odwagą. U Leszka Szerepki uratowana zostaje Dasza – profesorska córka studiująca w Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, która uwielbia opowiadać o architekturze Kijowa, przynosi bohaterowi czystą bieliznę, opiekuje się nim w chorobie, robi kanapki, chociaż za tym nie przepada i czyta książki ukraińskich żyjących pisarzy, ale też chce edukować w tym kierunku swojego wybawcę. Dobra wiadomość dla polskich czytelników i czytelniczek – twórczość Serhija Żadana, Jurija Andruchowycza i Oksany Zabużko, lubianych przez powieściową Daszę, dostępna jest w języku polskim.

Anna Łazar

eprasa.pl 26a741fd42

REKLAMA

WROCŁAW MIASTO KRASNALI

Miasto jest szczególnie przyjazne dzieciom – mnóstwo zabawy zapewni im wizyta w Hydropolis, Humanitarium – parku rozrywki edukacyjnej, Kolejkowie – największej w Polsce makiecie kolejowej czy na licznych placach zabaw, ale najbardziej ekscytujące są zawsze poszukiwania niemal 400 krasnali rozsianych po całym mieście! Wrocławianie zaprzyjaźnili się z nimi i obecnie skrzaty są jednym z miejskich symboli. Raz w roku we wrześniu mają nawet swoje święto – Wrocławski Festiwal Krasnoludków. To prawdziwie bajkowa uroczystość, kilka dni radosnej, kolorowej fiesty, w której uczestniczą mali i duzi. Szczegółowy wykaz wrocławskich skrzatów znajduje się na stronie www.krasnale.pl.

VisitWroclaw.eu

Podróż do Wrocławia warto wcześniej zaplanować – tu nieocenioną pomocą służy Oficjalny Serwis Turystyczny Wrocławia visitwroclaw.eu, a w szczególności Informator turysty (visitwroclaw.eu/informator), który zawiera wiele praktycznych wskazówek dotyczących wizyty w mieście. Na bieżąco na nurtujące turystów pytania odpowiada także chatbot na facebookowym profilu Visit Wroclaw (@visitwro). Dużym udogodnieniem w zwiedzaniu jest także Wrocław Tourist Card, która pozwala zwiedzać najważniejsze atrakcje miasta taniej. Wrocław Tourist Card to także specjalna oferta na usługi transportowe (w tym komunikację miejską) oraz rabaty w najciekawszych punktach gastronomicznych i noclegowych we Wrocławiu.

eprasa.pl 26a741fd42

REKLAMA


Wrocław miasto spotkań
SPOTKAJMY SIĘ WE
WRO
WROCŁAWIU
visitWroclaw.eu
Oficjalny serwis turystyczny

W numerze między innymi:

Krzysztof Popek: Spór o nazwę Macedonii toczył się od 1992 roku i wpychał mieszkańców tego kraju na wiele lat w autorytarny uścisk nacjonalistów. Od 2018 roku trwa proces wygaszania tego sporu i wszystko wskazuje na to, że macedoński sen o Europie w bliższej lub dalszej perspektywie czasu się ziści.

Niektórzy twierdzili, że w Polsce islamofobia zastąpiła antysemityzm. Byłem od samego początku ostrożny wobec tej tezy. Wydawało mi się, że nie tyle islamofobia zastąpiła antysemityzm, ile go uzupełniła. Od przełomu stycznia i lutego 2018 roku mamy do czynienia z falą antysemityzmu w Polsce – mówi **Rafał Pankowski**.

Odnowione kierownictwo Gazpromu stoi przed szeregiem wyzwań. Stawką jest pozycja najważniejszej rosyjskiej firmy. Spółka przespała między innymi wzrost znaczenia gazu skroplonego LNG – teraz musi nadrabiać utracony czas – **Marek Budzisz**.

Kolegium
Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego
we Wrocławiu

eprasa.pl 26a741fd42